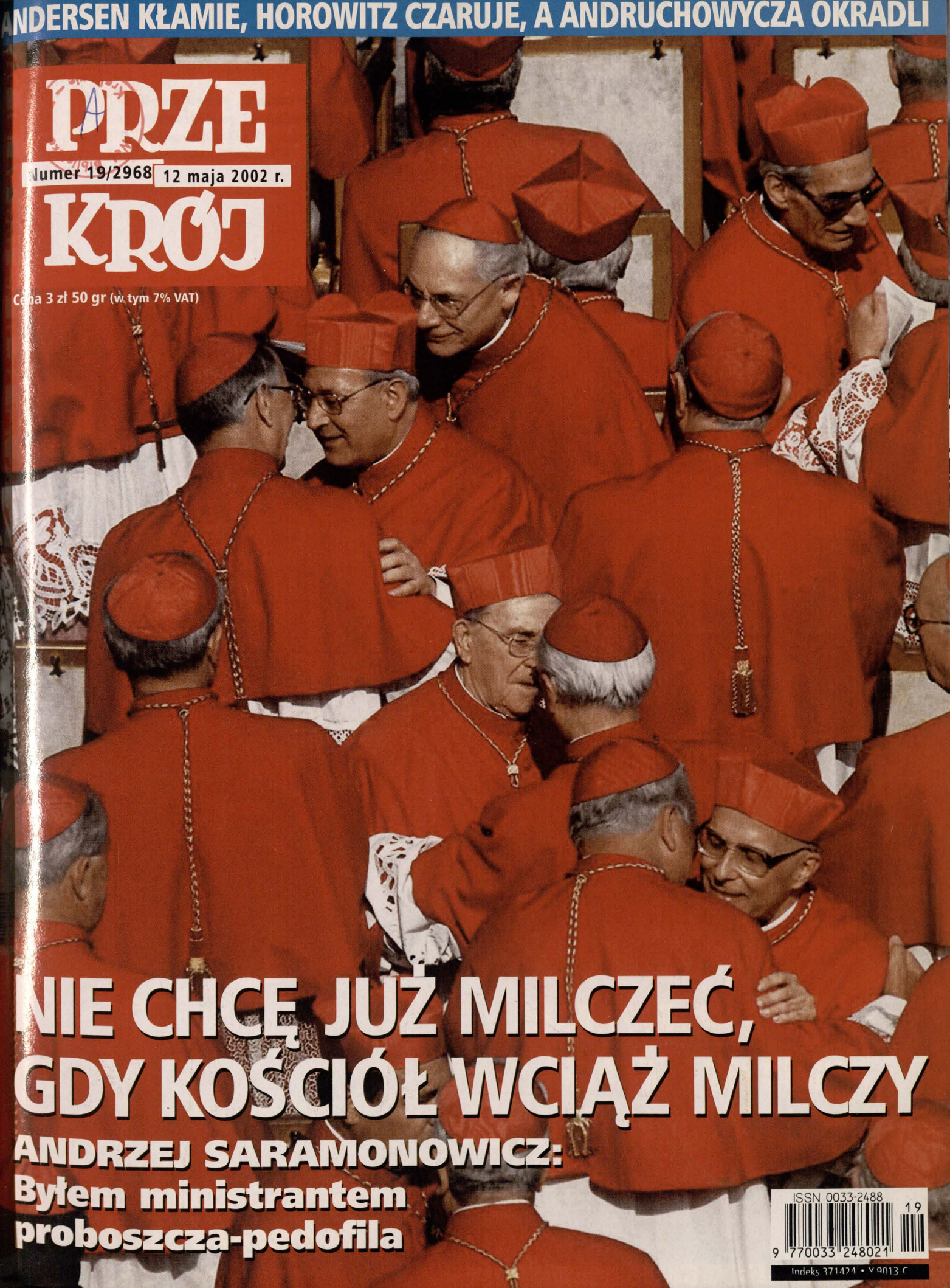


PRZE

Numer 19/2968 12 maja 2002 r.

KROŃ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



**NIE CHCĘ JUŻ MILCZEĆ,
GDY KOŚCIÓŁ WCIAŻ MILCZY**

**ANDRZEJ SARAMONOWICZ:
Byłem ministrantem
proboszcza-pedofila**

ISSN 0033-2488



9 770033 248021

19

Indeks 371424 • V 9013 C

VIVA FUTBOL!

PLYTA CD: PIŁKARSKIE PRZEBOJE I WPADKI KOMENTATORÓW
JAK OBEJRZYM MUNDIAL BEZ DEKODERA

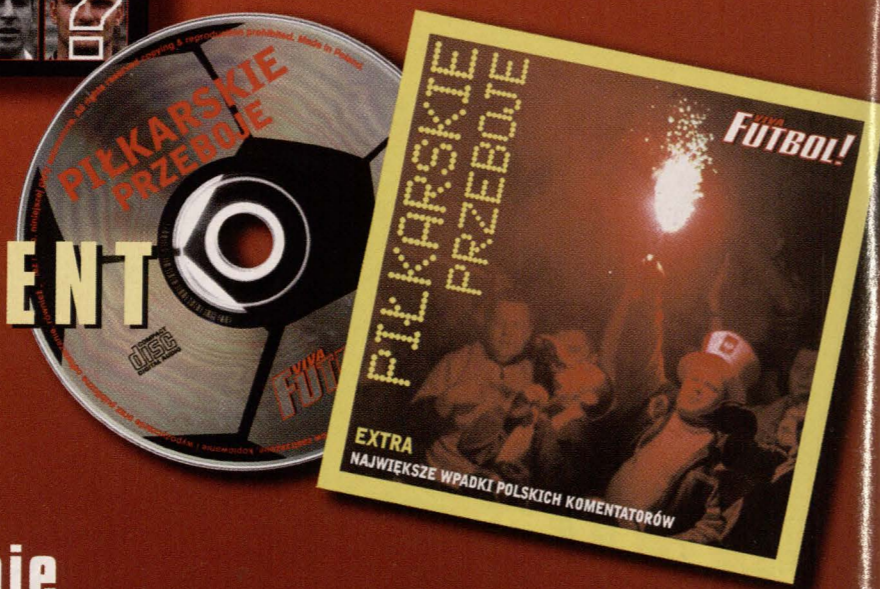
VIVA **FUTBOL!** ENCYKLOPEDIA MISTRZOSTW ŚWIATA 2002
 NR 13
 cena 5,50 zł (zawiera 10 CD)

W NUMERZE:
 • PLATINI – WYJĄTKOWY WYWIAD
 • KOZMIŃSKI I GEORGIACAKI
 • KTO ŻEŃNIE W GRUPIE ŚMIERCI
 • MEXSYK 1986
 • KONKURSY ZNAGRODAMI

POLACY: KTO ZAGRA?

W specjalnym raporcie telewizyjnym „VIVA FUTBOL!”:

- czy można obejrzeć CAŁY mundial bez dekodera?
- kto, gdzie, kiedy i co pokaże?
- historia transmisji telewizyjnych
- ranking sprawozdawców



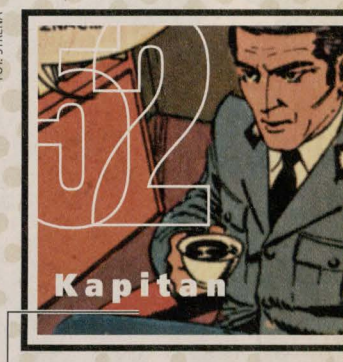
SUPERPREZENT
 płyta CD

piłkarskie przeboje
 i śmieszne wpadki
 polskich komentatorów

już
 w kioskach!

NUMER 19/2968 • 12.05.2002

- 4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia
- 8 Przemysłany „Przekrój” tygodnia
- 9 Odpowiadając Orianie Fallaci
 – AMBASADORZY IZRAELA I AUTONOMII PALESTYŃSKIEJ
- 10 Fotoreportaż Ujrzeli Le Pena
- 14 Milczenie jest grzechem
 – ANDRZEJ SARAMONOWICZ
- 19 Kłamali za bardzo – WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI
- 24 Gwiazdny odpust – RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
- 29 W drodze do Unii – CHRISTIAAN VAN LIEROP, MORDILLO
- 30 Ostatnie chwile Marszałka
 – JERZY CHOĆKÓWSKI
- 34 Ryszard Horowitz: ...ale belfrem nigdy nie będę – rozmowa KATARZYNY KUBIAK
- 40 Krok naprzód w pieluchach
 – MALCOLM GLADWELL
- 43 List z Andaluzji – FILIP ŁOBODZIŃSKI
- 44 Targi Książki – polecamy
- 47 Esej ANNE FADIMAN „Zaślubiny księgozbiorów”
- 50 Żmijowisko Altmana
 – KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI
- 51 Najlepsze z 2281 filmów
 – RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI
- 52 Akuszer Żbika – rozmowa ALEXA KŁOSIA z WŁADYSŁAWEM KRUPKĄ
- 56 Muzyka Jak uwieść rozwiedzioną kelnerkę – ROBERT ZIĘBIŃSKI
- 58 Teatr Jarocki – nie udało się sztuka
 – ŁUKASZ DREWNIAK
- 60 Literatura JURIJ ANDRUCHOWYCZ „Malbork i Krzyżacy”
- 65 Okienko z wierszem – z nowych przekładów poezji anglosaskiej LESZKA ENGELKINGA
- 66 Kulinarne Pióro Polski – À la Casanova
- 67 Hoff – Wraca, nie odchodzi
- 68 STEFANIA GRODZIENSKA, Kici Kici, Senniczek
- 69 JERZY BRALCZYK, Wyteż wzrok, Piątka klepka
- 70 MARIA CZUBASZEK rozmawia z EWĄ BEM, SASNAL
- 71 MAŁGORZATA BARANOWSKA, Listy
- 72 Krzyżówka i jolka
- 74 Co Pan na to, Panie Lem?
- 76 Rozmaitości



CABINET FIGUR WIOSKOWYCH
 ANDRZEJ MLECZKO

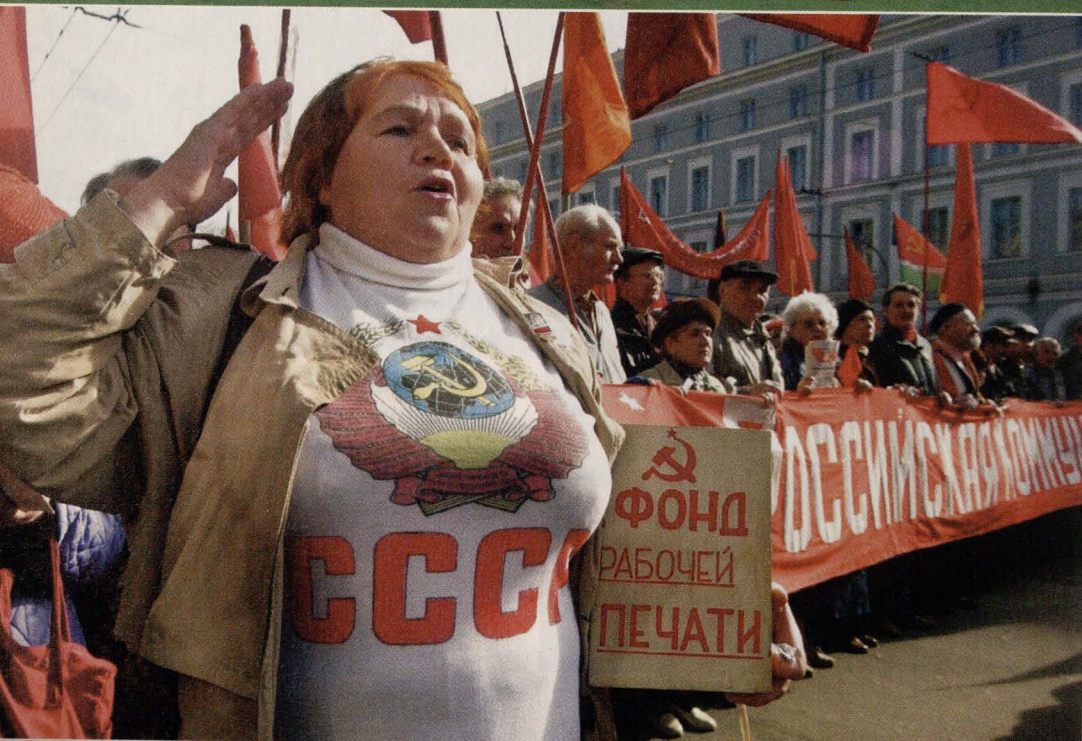
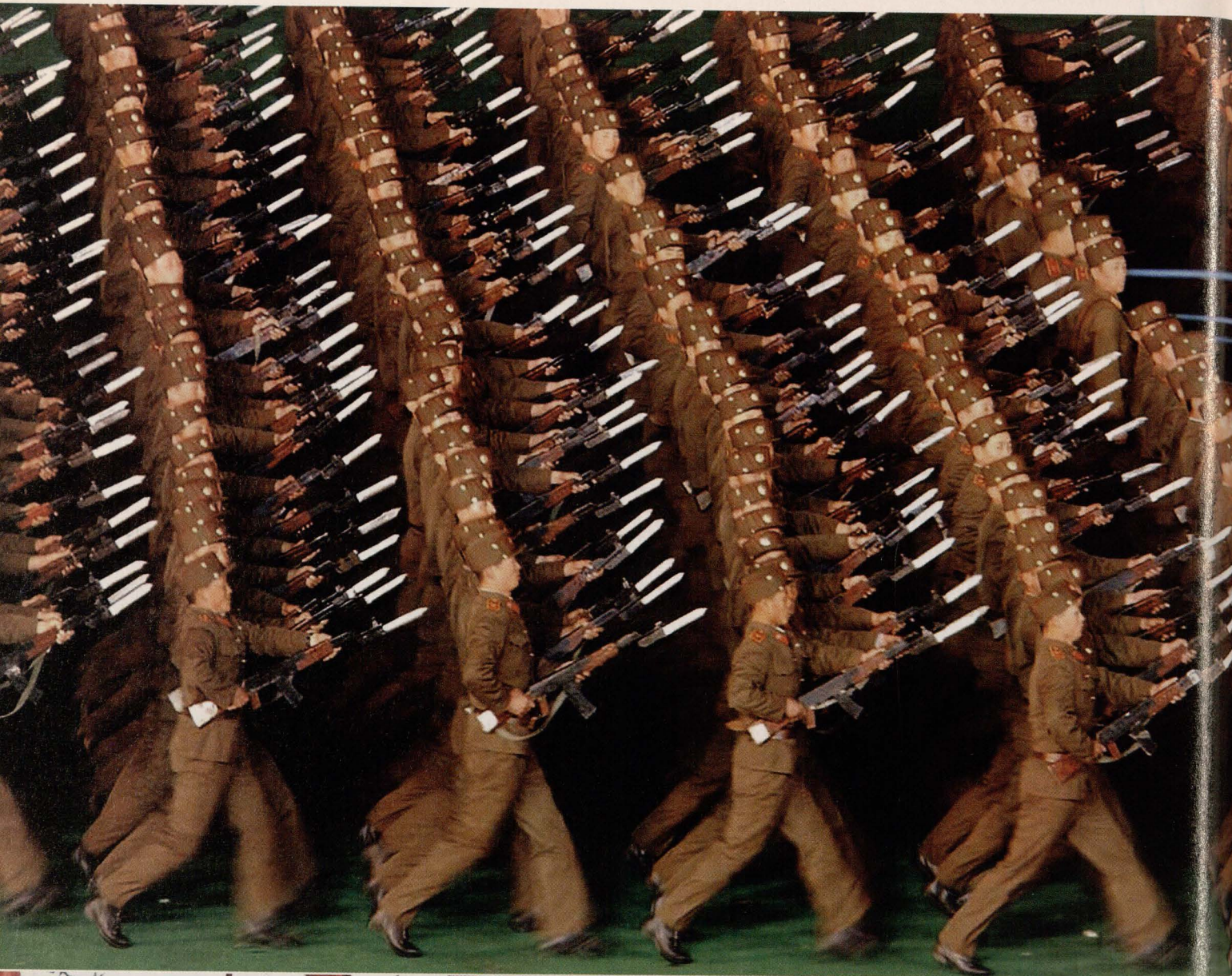




Jacques Chirac pozostanie prezydentem Francji na następną kadencję. Zgodnie z oczekiwaniami konserwatywa Chirac uzyskał 82 proc. głosów, pokonując kandydata Frontu Narodowego, Jean Marie Le Pena. Komentarz s. 8, fotoreportaż s. 10.



Jacek Zagor z Poznania znalazł się w finale jeździeckiego Pucharu Świata w Lipsku. Jest to jeden z największych sukcesów powojennego jeździectwa polskiego.



▲ Korea Północna
◀ Sankt Petersburg Warszawa

**W TYM TYGODNIU
NIE PISZEMY...**

- ... o najdłuższym weekendzie nowoczesnej Europy. W Polsce.
- ... o tym, że Polska nie domaga się już ekstradycji Andrzeja Gąsiorowskiego (ArtB) z Izraela.
- ... o tym, że w miejsce TV Polonia amerykańscy Polacy mogą teraz oglądać TVN 24, Polsat 2 oraz posłuchać Radia Maryja.
- ... o Fryderykach – jako nagrodach.
- ... o maturach – jako egzaminach.

FOT. AP (2)

Pierwszego maja lud upominał się o swoje prawa. W Korei Północnej upominała się Armia Ludowa, w Berlinie anarchiści, w Rosji sieroty po Związku Radzieckim, a w Warszawie... homoseksualiści.

▼ Berlin



FOT. TOMASZ GZELL / PRP

MYŚL TYGODNIA



Zawsze bujałem w obłokach, to dziwne uczucie wznieść się ponad nie.

Mark Shuttleworth, południowo-afrykański milioner, po powrocie z turystycznego lotu w kosmos

FOT. AP (2)

TEN GRZECH JEST PRZESTĘPSTWEM

Blisko 80 procent amerykańskich katolików jest zdania, że księżom-pedofilom powinno się zabronić wykonywania posługi religijnej. Ponad 80 procent uważa, że władze kościelne powinny przekazywać prokuraturze takie sprawy, a nie prowadzić własne śledztwa (według sondaży opublikowanych w ubiegłym tygodniu przez CBS i „New York Times”).

Andrzej Saramonowicz w swoim wstrząsającym wyznaniu-oskarżeniu nie jest po prostu następnym bezstronnym komentatorem zachowań Kościoła katolickiego wobec ujawniania kolejnych faktów pedofilii wśród księży w wielu krajach. Jest w ten spór zaangażowany. Jest jego stroną. Sam przed ponad 20 laty padł ofiarą molestowania seksualnego ze strony swojego proboszcza. Te praktyki trwały latami. Milczeli molestowani chłopcy, milczeli ich bezradni rodzice, a przełożeni księży proboszcza w milczeniu przenosili go na peryferyjne parafie. To trwające latami milczenie nad wyrażoną dzieciom krzywdą bezpowrotnie się skończyło. Tekst Andrzeja Saramonowicza jest głosem sprzeciwu. Nie wobec tego, że ten czy inny ksiądz dopuszczał się czynów najodleglejszych od ideałów, które głosił, wpajał i których nauczał. Jest to niezgoda na karygodną, nieformalną procedurę postępowania Kościoła w takich wypadkach – procedurę chroniącą sprawców molestowania tylko dlatego, że są kłopotliwi.

Opinie amerykańskich katolików nie pozostawiają złudzeń, że przed Kościołem stanęła konieczność jednoznacznej i czytelnej reakcji na przypadki pedofilii wśród kleru. W USA czterdziestolatki, niedysyjsze ofiary, przerwały milczenie o tuszowaniu przestępstw wobec dzieci. To batalia rówieśników Andrzeja Saramonowicza. Polski Kościół może być mądrzejszy o tamto doświadczenie. I szybszy. I odważny. Choćby w takim stopniu jak Saramonowicz.

ROMAN KURKIEWICZ

ZDUMIEWAJĄCY PATRIOTYZM KOŃSKICH

Końskie to od niedawna ulubiona miejscowość euroentuzjastów. Końskie leży na Kielecczyźnie, o której sądzi się w Warszawie powszechnie, że to rodzaj cywilizacyjnej dziury w ziemi, gdzie po nocach wyją strzygi, a zabobonny lud masowo spożywa wina proste zupełnie zubożniały na proces integracji z Unią Europejską. Zapewne dlatego wybrano właśnie Końskie – aby zmierzyć zakres eurosceptycyzmu... A tu nagle badania renomowanej firmy SMG/KRC (cokolwiek ten skrót znaczy) ujawniły, że Końskie chcą do Europy. Mieszkańcy miasteczka, jak wynika z badań, nie spodziewają się dla siebie niczego dobrego w związku z przystąpieniem Polski do Unii, ale 68 procent mieszkańców jest zdecydowanie „za”. Pragną integracji, bo w ich mniemaniu „skorzystają na tym ludzie młodzi” i „Polska jako kraj”. Badania renomowanej firmy SMG/KRC nie pozostawiają cienia wątpliwości: mieszkańcy Końskich (strzygi i wina proste) kierują się pobudkami patriotycznymi, a nie własnym interesem.

Zdumienie wynikami badań natychmiast wyraziła pani minister do spraw europejskich Danuta Hübner: „Wydaje się wręcz nieprawdopodobne, że mieszkańcy Końskich myślą bardziej o interesie narodowym niż o swoim własnym. Być może traktują oni wejście do Unii jako przyszłość dla swoich dzieci. Jest jednak jeszcze jedno wytłumaczenie tego rozdzwiku. Być może mieszkańcy Końskich nie potrafią przełożyć informacji o Unii – które obecnie dostają – na swoje własne korzyści” („GW” 24.04.02, s. 5).

No, i wszystko jasne: jeśli ktoś działa z pobudek innych niż korzyść własna, znaczy – nie bardzo kumaty. Zastanawiam się tylko, jak długo trzeba pełnić wysokie funkcje państwowe w III Rzeczypospolitej, aby uznać za „nieprawdopodobne”, że Polacy chcą przede wszystkim dobra swojego kraju? A może to kwestia doboru naturalnego na te stanowiska? W każdym razie pozostaje mi mieć nadzieję, że państwo polskie wypłaca pani minister do spraw europejskich wysoką pensję. Na tyle wysoką, że nie musimy liczyć na uczucia patriotyczne pani minister Hübner.

Na koniec chciałbym uspokoić wszystkich tych wysokich urzędników państwowych, którzy mogliby sądzić, że autor tego tekstu działa pod wpływem racji wyższych: urodziłem się niedaleko Końskich, a za ten artykuł redakcja „Przekroju” sownie mnie wynagrodzi.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ

KONIEC FRANCJI ŁAGODNEJ

Wszyscy kochamy Francję. To znaczy bagietki, camemberta i burgunda. Kochamy francuski futbol, zamki nad Loarą, a jak mamy trochę więcej kasy, to kochamy również narty w Trzech Dolinach. Nie ma się nam co dziwić, ponieważ piękna jest „douce France” – Francja prząsna i łagodna.

Gdy dwa tygodnie temu okazało się, że Francja to również zaśliniona twarz Le Pena, cały świat zamarł. Trochę dziwna jest ta reakcja. Jean-Marie Le Pen od dawna bowiem jest taką samą częścią francuskiej polityki jak partia komunistyczna, która nie ma ochoty rozliczyć się ze stalinowską przeszłością, socjaliści bez pomysłu na rządzenie krajem i republikańcy z groteskowym poczuciem wyższości nad całym światem, szczególnie Ameryką. Od lat 80. lider Frontu Narodowego zdobywał w różnych wyborach regularnie około 15 procent głosów. W tym roku na francuskiego rasistę,

ksenofoba i zwolennika tezy, że hitlerowskie obozy śmierci to „detal historii”, głosowało zaledwie kilka procent Francuzów więcej niż zwykle.

Po I turze, aby sobie poprawić samopoczucie, półtora miliona dobrych Francuzów wyszło na ulicę. Kilka dni wcześniej trudno im było pofatygować się do urn wyborczych (głosowało zaledwie 72 procent elektoratu), 1 maja gotowi byli oddać życie w obronie Liberté, Egalité i Fraternité.

Sęk w tym, że od Francuzów stojących w obliczu podlanego nienawiścią populizmu nikt nie wymaga ofiary życia. Wystarczy odejść od sposobu uprawiania polityki, który tradycyjnie opiera się w tym kraju na prymacie ideologii nad realizmem. Najwięksi liderzy francuskiej lewicy wiedzą, jak wyzwolić proletariatus, ale nie umieją wsiąść do metra (jeżdżą wyłącznie taksówkami), Chirac – spadkobierca republikańskiej myśli generała de Gaulle’a – wydaje ponad 1,2 miliona dolarów z pieniędzy

publicznych na prywatne zakupy w sklepach spożywczych (nadane mu przez prasę przezwisko „superkłamca” stało się tak popularne, że skandują je dzieci podczas wizyt prezydenta w szkołach).

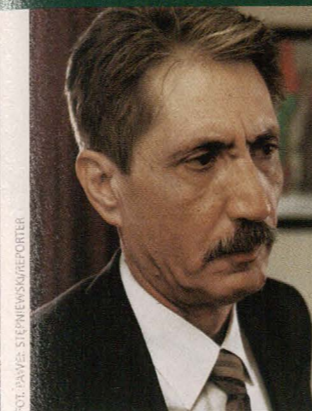
A naród nie wie, co robić. Ogółem w I turze jedna trzecia Francuzów oddała głos na faszystów, trockistów, komunistów, zwolenników wycofania Francji z Europy albo rozszerzenia prawa do polowań na dziki. W II turze naród poszedł za głosem satyrycznego tygodnika „Charlie Hebdo”, który gorzko podsumował bieżący dylemat: „Lepiej być wydymanym przez Chiraca niż zgwałconym przez Le Pena”. Można się z Francuzów śmiać, oni sami raczej płaczą.

„Jestem jak Zorro – mówił po I turze Le Pen. – Wszyscy wiedzą, że istnieję, wszyscy we mnie wierzą, ale nikt mnie nie widział”. No, to teraz zobaczyliśmy.

DARIUSZ ROSIAK

Odpowiadając Orianie Fallaci

W zeszłym tygodniu opublikowaliśmy artykuł słynnej włoskiej dziennikarki Oriany Fallaci, która z pasją zaatakowała Jasera Arafata i jego europejskich sojuszników. O komentarz poprosiliśmy ambasadora Autonomii Palestyńskiej Hafeza Al Nimer i ambasadora Izraela – Szewacha Weissa



HAFEZ AL NIMER

Obrzydliwe słowa są obrzydliwymi słowami, niezależnie od tego, kim jest ich autor. Artykuł pani Oriany Fallaci jest podżeganiem do nienawiści, i to nie tylko w stosunku do Palestyńczyków i symbolu ich dążeń do wolności – Jasera Arafata. Fallaci uważa, że wszyscy są winni: partie lewicowe w całej Europie, pacyfiści, komuniści, Kościół, islam,

papież, środki przekazu, Arafat, ofiary w palestyńskich miastach, ludzie obłożeni w Bazylice Narodzenia Pańskiego w Betlejem, Amnesty International, ONZ! Wszyscy są winni! Oprócz jednego człowieka: Ariela Szarona. A dlaczego? Bo Żydzi byli ofiarami II wojny światowej.

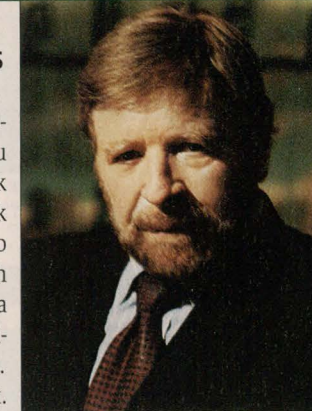
Założenia artykułu pani Fallaci są tak samo błędne, jak zbrodnia jest polityka Szarona. Te założenia można wyliczyć w kilku punktach: ■ zbrodnia, której ofiarami byli Żydzi, usprawiedliwia każdą kolejną zbrodnię państwa Izrael ■ każdy protest przeciw polityce Izraela jest aktem antysemityzmu ■ krew Izraelczyków jest święta, a Palestyńczyków można zabijać, torturować i poniżać ■ jedyna prawda jest po stronie Izraela i pani Fallaci. Wszyscy inni są „półalfabetami”, „kanaliami”, „terrorystami” ■ dźwięk po wybuchu petardy, którą w kierunku synagogi w Paryżu rzucił neofaszysta nienawidzący Żydów, Arabów i Murzynów, musi być silniejszy od huków spowodowanego wybuchem półtonowych bomb zrównujących z ziemią palestyńskie miasta, wsie i obozy dla uchodźców.

Obrzydliwe słowa Fallaci są wodą na młyn neofaszystów. Dlaczego wszyscy są zaskoczeni wyborczym sukcesem Le Pena, skoro nawet wielka włoska dziennikarka siebie nienawidzi? Le Pen przecież realizuje jej postulaty: głosi nienawiść do wszystkich!

Pani Oriano! Niech Pani nie występuje w roli adwokata diabła-Szarona, bo sama Pani widzi, że wszyscy dookoła odwracają się od wizji „wściekłości i dumy”. Niedługo spełni się Pani prorocstwo i „wszyscy mieszkańcy tej planety będą myśleć inaczej” niż Pani! Większość tych ludzi już teraz traktuje „arafatkę” jako symbol wolności, a pani obelgi pod adresem Arafata nie znajdują żadnego echa poza ścianami celi nienawiści, która Panią otacza ze wszystkich stron.

Pani doskonale wie, że ani we Włoszech, ani w żadnym innym kraju nie ma tych ludzi, do których Pani jako „wielka” włoska dziennikarka pisze po angielsku „fuck you”. Oni są produktem Pani chorej wyobraźni! Nie ma bowiem nikogo, kto by chciał ponieść śmierć razem z osobą, która samotnie umiera w bólach nienawiści.

SZEWACH WEISS



Nie chcę bezpośrednio komentować tekstu Oriany Fallaci. Skoro ona tak mówi, to najwyraźniej tak czuje. Mogę odnieść się do dwóch spraw poruszonych w tekście: do postawy Jasera Arafata i do dziennikarzy piszących o sytuacji w Izraelu.

Pierwsza sprawa – Arafat. Spotkałem się z nim kilka ra-

zy. Rozmawialiśmy po uroczystości wręczenia mu pokojowej Nagrody Nobla, którą otrzymał z Icchakiem Rabinem i Szimonem Peresem. Rozmawialiśmy wtedy przy jednym stole z panią premier Norwegii. Arafat przedstawił swoją żonę, która akurat wtedy była w ciąży. Gratulując pani Arafat, powiedziałem, że mam nadzieję, iż ta dziewczynka (już wiedzieliśmy, że to będzie córka) urodzi się w lepszym świecie i że między naszymi narodami zapanuje pokój. Arafat też miał taką nadzieję. Potem znowu rozmawialiśmy i – pamiętam – premier Szimon Peres powiedział, że jeśli nie skończą się bombowe zamachy, to pokój nie będzie. „Będą zamachy, będzie tragedia. Wasza i nasza” – mówił Peres. Niestety, zamachy się nie skończyły. Mieliśmy nadzieję, że Arafat, ten były terrorysta, jako lider Autonomii Palestyńskiej się zmieni. Ale tak się nie stało.

Jednym z najgorszych błędów Arafata jest to, że nie porozumiał się z gabinetem Ehuda Baraka – a porozumienie było tak bliskie. Rząd Izraela już się godził na powstanie państwa palestyńskiego. Nawet premier Ariel Szaron już podczas intifady powiedział w Knesecie, że jest gotów do bolesnego kompromisu. Niestety, Arafat nie nadaje na partnera do rozmów pokojowych.

Sprawa druga – postawa dziennikarzy. We Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii i Belgii dziennikarze często opisują sytuację bez profesjonalnego zgłębienia tematu. Przykładem sprawa „obłożonej” przez nasze wojska Bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Robimy wszystko, aby ani jedna nasza kula nie dosięgła tej świątyni, którą okupują Palestyńczycy. To jest prowokacja Arafata. To on chce zmobilizować cały świat chrześcijański przeciwko nam. Część bojowników chce już wyjść z kościoła – i to Arafat im nie pozwala.

Nie tylko Fallaci pisze o tym w taki sposób. W polskich mediach również pojawiają się rzetelne teksty o sytuacji w Izraelu. Wielu polskich dziennikarzy nie chce kłamać i wielu pisze, że prawo do życia mają również Żydzi.

A co do tekstu Fallaci? Powtarzam: ona tak widzi te sprawy, tak je opisuje – i nie chcę komentować jej słów.



**Paryż,
21 kwietnia,
godz. 21.07**

Boże! Jak to się mogło stać?! – jęknęli Francuzi, gdy okazało się, że lider populistycznego Frontu Narodowego Jean-Marie Le Pen zajął drugie miejsce w I turze wyborów prezydenckich 21 kwietnia.

UJRZELI LE PENA...



Milczenie jest grzechem

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

Jako dziecko padłem ofiarą molestowania seksualnego ze strony księdza. Dzisiaj, po przeszło 20 latach, chcę o tym po raz pierwszy publicznie powiedzieć. Skłania mnie do tego stanowisko Jana Pawła II wobec ujawnionych przypadków pedofilii wśród duchownych amerykańskich. Uważam je za nadmiernie wstrzemiężliwe

Od początku pontyfikatu Jan Paweł II przyzwyczaił nas, że często, żarliwie i w zdecydowany sposób wypowiada się na temat seksualizmu. Sprzeciw wobec aborcji, zakaz używania środków antykoncepcyjnych, pochwała wstrzemięźliwości przedmałżeńskiej, potępienie homoseksualizmu jako praktyki, zachęta do nieustannego reprodukowania się – żaden z poprzednich papieży nie poświęcił tyle energii, by społeczności wiernych – choć nie tylko jej, jak się wydaje – narzucić ujęty w ścisłe, nie podlegające dyskusji ramy kodeksu etyki seksualnej. A jeśli wierzyć Tadowi Szulcowi, biografowi Karola Wojtyły – utrzymującemu, iż to właśnie on, jeszcze jako kardynał, był głównym autorem encykliki papieża Pawła VI „Humanae vitae” z roku 1968, w której Kościół stanowczo wypowiedział się przeciw antykoncepcji – jasne staje, iż swoje stanowisko w sprawie życia płciowego Kościół od dziesiątków lat zawdzięcza przede wszystkim osobistemu zaangażowaniu Ojca Świętego.

Wstrzemięźliwość Papieża

Tymczasem stosunek Kościoła Jana Pawła II do popędu płciowego jest – cokolwiek innego mówiliby zwolennicy – pełen idiosynkrazji.

...u schyłku pontyfikatu, który w znacznej mierze poświęcił na przekonanie świata do własnej etyki seksualnej, Jan Paweł II otrzymuje cios w plecy

Mimo wyciągnięcia spod kołdry milczenia Watykan ciągle postrzega seks przede wszystkim jako ciemną siłę mogącą zepchnąć ludzi w otchłań śmiertelnego grzechu. Owszem, Ojciec Święty wiele mówi o pięknie życia intymnego i wartościach, które ono niesie, ale na każde zdanie afirmujące wypowiada też co najmniej trzy o zagrożeniach, które seksowi towarzyszą, współtworząc „cywilizację śmierci” (tak Papież określa wszystko, co w euroamerykańskiej kulturze kontestuje chrześcijańską tradycję i moralność, a tym samym uwłacza człowieczeństwu i jest niemile Bogu). Opisując owe zagrożenia, Ojciec Święty punktuje je ostro i precyzyjnie. Możemy się z nim zgadzać lub nie, ale wiemy, co do nas mówi i czego wymaga.

Niestety, precyzji i ostrości sądów zabrakło Papieżowi, kiedy przyszło zabrać głos w sprawie „cywilizacji śmierci”, którą stworzyli podlegli mu duchowni. Przemówienie Jana Pawła II do biskupów amerykańskich wygłoszone z powodu afer o podłożu seksualnym w tamtejszym Kościele jest wyjątkowo łagodne i zawiera co najmniej dyskusyjne tezy i sformułowania.



Andrzej Saramonowicz

Przypomnijmy: od stycznia zgłoszono w Ameryce 450 oskarżeń o czyny nierządne wobec dzieci, w które miałyby być zamieszanych około stu księży. Ksiądz z Bostonu John Geoghan oskarżony o molestowanie 130 dzieci w ciągu 30 lat został skazany na 10 lat. Tamtejsza archidiecezja wiedziała o jego skłonnościach, wiedziała też o fakcie molestowania, a mimo wszystko – ukrywała to. Arcybiskup Nowego Jorku Edward Egan kilka dni temu przeproszał za błędy w sprawach księży oskarżonych o molestowanie dzieci. Jemu również postawiono zarzut wyciszania podobnych przy-

padków, a z archidiecezji nowojorskiej zwolniono sześciu duchownych. Władze archidiecezji w Filadelfii przeprosiły ofiary seksualnych nadużyć popełnionych przez 35 księży w ciągu minionych 50 lat. Diecezja Allentown we wschodniej Pensylwanii przyznała, że czterech księży „dopuszczało się seksualnych występków z nieletnimi”. Dwie diecezje w Kalifornii zgodziły się zapłacić 1,2 miliona dolarów, aby oddalić pozew złożony przez kobietę wykorzystywaną seksualnie przed 20 laty przez księdza. I tak dalej – przykłady można by mnożyć.

Niejasno o pedofilii

Molestowanie seksualne często pozostawia trwałe ślady w psychice dziecka do końca życia. Zwłaszcza gdy zostało popełnione przez osobę, której dziecko ufa niejako z definicji: rodzica, nauczyciela czy właśnie duchownego. Pedofilia to również – a może przede wszystkim – ciężkie przestępstwo. Osoba, która wie o jego zaistnieniu, ma obowiązek zgłoszenia tego faktu do prokuratury, policji bądź odpowiednich organów.

Tymczasem z przemówienia Jana Pawła II trudno się nawet dowiedzieć, co zarzuca amerykańskim księżom. Ani razu nie padają określenia „molestowanie seksualne” i „pedofilia”. Zamiast niego czytamy o „skandalu”, „cierpieniach młodzieży”, „wykorzystywaniu”, „wielkiej szkodzi” i „nadużyciu, które według wszelkich standardów jest złem”. Rzecz jasna, kontekst jest oczywisty – wszyscy wiedzą, że określenia te nie dotyczą siniaków powstałych podczas gry duchownych i dzieci w piłkę.

Jednak brak precyzji u słynącego z klarownego wykładania myśli Papieża nie wydaje się przypadkowy. „Jestem zdruzgotany” – mówi Ojciec Święty do biskupów w Stanach Zjednoczonych, ale sposób, w jaki to mówi, świadczy również, że jest zakłopotany.

Oto bowiem u schyłku pontyfikatu, który w znacznej mierze poświęcił na przekonanie świata do własnej etyki seksualnej, Jan Paweł II otrzymuje cios w plecy. Cios Brutusowy z samego środka własnego obozu. Teraz trudniej niż kiedykolwiek będzie przekonać wiernych, by problemy życia intymnego powierzali duchownym, którzy wiedzą lepiej, jak ono powinno wyglądać. Dziś z całą jasnością wiemy, że nie wiedzą.

To przestępstwo, a nie skandal

Co gorsza, w analizie zjawiska molestowania dzieci przez księży Papież jest zadziwiająco pasywny. Mówi o nadużyciu, które „społeczeństwo słusznie postrzega jako zbrodnię”, ale nie mówi, że Kościół jako zbrodnię postrzega je również. Zapewnia, że „w stanie duchowym nie ma miejsca dla tych, którzy krzywdzą młodzież”, ale nie dodaje – choć tego właśnie należałoby oczekiwać – iż hierarchowie zobowiązują się współpracować z organami ścigania w przypadku ujawnienia faktów molestowania seksualnego dzieci. Nie mówi też – choć chciałoby się to usłyszeć – że miejsce księży, którzy to robią, jest w więzieniu, bo pedofilia to nie tylko „grzech w oczach Boga”, lecz także ciężkie przestępstwo.

Największy zaś sprzeciw rodzi się, gdy Jan Paweł II twierdzi, że „wykorzystywanie młodzieży to poważny symptom kryzysu, który dotyka nie tylko Kościoła, ale całe społeczeństwo”. Nie dość, że teza to fałszywa, to jeszcze niebezpieczna. Fałszywa, bo nie ma żadnych dowodów, iż procent przestępstw seksualnych na dzieciach (czy przestępstw seksualnych w ogóle) powiększył się w stosunku, powiedzmy, do roku 1970, 1960, 1850, 1350 czy 2 p.n.e. Być może nawet dawniej dzieci były gwałcone i molestowane częściej, tylko nikt się tym nie przejmował. Dziś, kiedy istnieją kodeksy określające precyzyjnie czyny przestępcze oraz organizacje zajmujące się ich zapobieganiem, wykrywaniem i ujawnianiem, po prostu więcej takich przypadków jest ujawnianych.

Tymczasem głosząc taki sąd, Jan Paweł II zdaje się hołdować tezie – charakterystycznej dla ludzi w podeszłym wieku, ale nie mającej wiele wspólnego z prawdą – że od czasów ich młodości świat spisał. Nic bardziej błędnego. Owszem, zdarza się, iż niektórzy ludzie uprawiają dziś seks oralny na pierwszej randce i palą trawkę, ale w przeciwieństwie do czasów młodości Karola Wojtyły nie zakładają mundurów w kolorze *feldgrau* i nie palą Żydów. Z takiej perspektywy historycznej – nazwijmy ją porównawczą – seks oralny bynajmniej nie wydaje się aż tak okropny, a dzisiejsze czasy – tak amoralne.

Natomiast niebezpieczne jest myślenie, że księża molestują seksualnie dzieci, bo presja liberalnego i permissywnego świata – pełnego pornografii, prostytucji, wszechobecnej goliźni i reklam prezerwatyw – jest tak wielka, iż niejako indukuje seksualne frustracje u mniej odpornych duchownych. Jeśli taką optykę przyjmie Kościół, nie będzie w stanie się uleczyć.

Dzieci są idealnymi ofiarami

Po pierwsze, przedstawiciele Kościoła – nie wyłączając kilku następców Piotrowych w Rzymie! – zadziwiająco często znajdowali się w forpoczcie seksualnych rewolucji najróżniejszej maści, i to w czasach, kiedy świat nie był jeszcze aż tak „liberalny i permissywny” jak dziś. Po wtóre zaś, wiele z seksualnych lęków, dewiacji i zahamowań, jakie trapią ludzi, których popęd zderza się z moralnością chrześcijańską, ma tak zwane podłoże eklezjogenne (czyli wywołane przez Kościół). Ciśnienie, jakie z jednej strony wywołuje naturalna potrzeba zaspokojenia potrzeb seksualnych, a z drugiej system zakazów i tabu oraz lęk przed karą bożą, bywa często nie do zniesienia. Jest więcej niż pewne, że żyjący w celibacie duchowni katolicki podlegają owemu ciśnieniu w ogromnym stopniu. A najmniej odporni, najsłabsi moralnie i charakterologicznie z nich rozładowują seksualne frustracje na dzieciach. Bo dzieci są idealnymi ofiarami. Słabe, naiwne, ufne, bez doświadczenia... Najłatwiej je zastraszyć, okłamać, wykorzystać, zmusić do milczenia...

Gwałtowność reakcji hierarchów kościelnych pojawiających się tuż po aferze w Ameryce, a głoszących, iż celibat (i wynikająca z niego wstrzemięźliwość seksualna) nie ma nic wspólnego z nadużyciami seksualnymi popełnianymi przez duchownych, świadczy o przywiązaniu Kościoła do tradycji, co niewątpliwie zasługuje na szacunek. Z drugiej jednak strony trzeba powiedzieć jasno: teza, że popęd seksualny setek tysięcy księży rozładowuje się wyłącznie poprzez modlitwę, wymaga takiej samej wiary jak Niepokalane Poczęcie czy świętych obcowanie. Już w XII wieku święty Bernard z Clairvaux ostrzegał, że jeśli seksualizm duchowieństwa będzie pozbawiony możliwości zrealizowania

w godnym małżeństwie, znajdzie ujście w całym niespodziewanych kierunkach.

54 procent mężczyzn myśli o seksie raz do kilku razy dziennie. Chcę wierzyć, że duchowni należą do pozostałych 46 procent. Chcę też wierzyć, że nie nawiązują kontaktów seksualnych – stałych lub okazjonalnych – z kobietami, mężczyznami ani z dziećmi. Że się nie masturbują. Że nie oddają się erotycznym fantazjom. Że nie spoglądają pożądliwie na kobiety pomni zakazu, który sformułował Jezus w Kazaniu na Górze. Chcę w to wszystko wierzyć. Jednak nie potrafię.

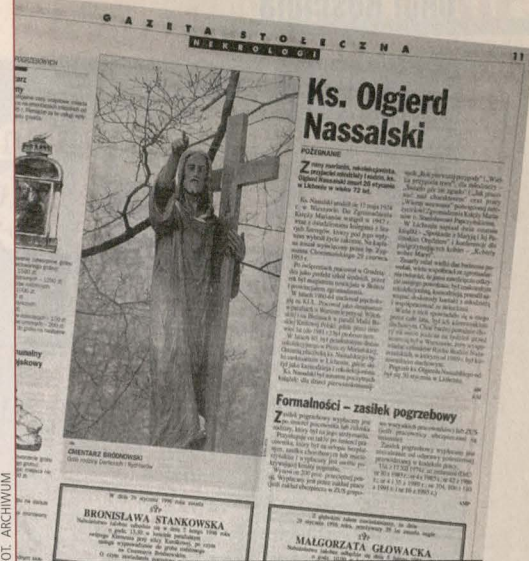
Skazani i niesądzeni

Molestowanie seksualne nie jest, niestety, „specjalnością” amerykańskich księży katolickich. W roku 1995 arcybiskup Wiednia, kardynał Hans Hermann Groer, został zmuszony do rezygnacji po tym, jak ujawniono, iż 20 lat wcześniej w katolickim internacie molestował chłopca, którego uczył religii. Okazało się przy tym, że episkopat austriacki od lat wiedział o seksualnych upodobaniach Groera, co nie przeszkodziło, by w roku 1986 wybrać go na arcybiskupa Wiednia. W marcu 2000 roku we Francji opat Jean-Lucien Maurel został skazany na 10 lat za gwałcenie w latach 1994-96 trzech chłopców. W październiku tego samego roku inny francuski ksiądz René Bissey, proboszcz parafii św. Józefa w Caen, dostał 18 lat więzienia za zgwałcenie chłopca i seksualne wykorzystanie 10 innych w latach 1989-96. Biskup, który o tym wiedział, lecz nie powiadomił władz, dostał trzy miesiące w zawieszeniu.

W Irlandii trwa dochodzenie w sprawie molestowania nieletnich przez księdza Seana Fortune, który popełnił samobójstwo w roku 1999. Tamtejsi biskupi już w 1994 powołali komitet ds. molestowania seksualnego dzieci przez księży i zakonników. Każde podejrzenie zgłaszane jest policji. Jak napisał ostatnio w liście pasterskim do wiernych arcybiskup Dublina, kardynał Desmond Connell, już w roku 1995 przekazał policji nazwiska 17 księży z jego diecezji oskarżanych w ciągu ostatnich 50 lat o molestowanie. W Kanadzie, gdzie władze tego kraju nie wstydzą się wszczynać postępowania karnego przeciw duchownym oskarżonym o przestępstwa na tle seksualnym, oskarżenia liczone są w setki. A kilka dni temu salvadorski biskup Gregorio Rosa oskarżył tamtejszy Kościół o niszczenie akt zawierających doniesienia na księży dotyczące pedofilii.

Powstaje pytanie najwyższej wagi: jak sprawa molestowania seksualnego przez księży wygląda w Polsce?

W zeszłym roku „Gazeta Wyborcza” ujawniła fakt wieloletniego molestowania dzieci w parafii Tylawa przez tamtejszego proboszcza M. Dzięki zeznaniom prześladowanych dziewczynek mogliśmy poznać, jak wygląda to,



FOT. ARCHIWUM

Gazeta Stołeczna nr 28, wydanie waw (Warszawa) z dnia 1996/02/02, dział NEKROLOGI, str. 11

Ks. Olgierd Nassalski

Znany marianin, rekołecjonista, przyjaciel młodzieży i rodzin, ks. Olgierd Nassalski zmarł 26 stycznia w Licheniu w wieku 72 lat.

Ks. Nassalski urodził się 17 maja 1924 r. w Warszawie. Do Zgromadzenia Księży Marianów wstąpił w 1947 r. wraz z dwudziestoma kolegami z Szarych Szeregów, którzy pod jego wpływem wybrali życie zakonne. Na kapłana został wyświęcony przez bp. Zygmunta Choromańskiego 29 czerwca 1953 r.

Po święceniach pracował w Grudziądzu jako prefekt szkół średnich, przez rok był magistrem nowicjatu w Skórcu i prowincjałem zgromadzenia. W latach 1960-64 studiował psychologię na KUL. Pracował jako duszpasterz w parafiach w Warszawie przy ul. Wileńskiej i na Bielanach w parafii Matki Boskiej Królowej Polski, gdzie przez dziewięć lat (do 1981 r.) był proboszczem.

W latach 80. był przełożonym domu rekołecyjnego w Puszczy Mariańskiej. Ostatnią placówką ks. Nassalskiego było sanktuarium w Licheniu, gdzie służył jako kaznodzieja i rekołecjonista. Ks. Nassalski był autorem poczytnych książek: dla dzieci pierwszokomunijnych „Rok pierwszej przygody” i „Wielka przygoda trwa”, dla młodzieży – „Światło gór nie zgasiło” i „Jak pracować nad charakterem”, oraz pracy „Wierny wezwaniu” poświęconej założycielowi Zgromadzenia Księży Marianów o. Stanisławowi Papczyńskiemu.

W Licheniu napisał dwie ostatnie książki – „Spotkanie z Maryją i Jej Fatimskim Orędziem” i konferencję dla pielgrzymujących kobiet – „Kobiety wobec Maryi”. Zmarły miał wielki dar budzenia powołań, wielu współbraci ze zgromadzenia twierdzi, że jemu zawdzięcza odkrycie swojego powołania; był znakomitym rekołecjonistą, kaznodzieją, potrafił nawiązać doskonały kontakt z młodzieżą i współpracować ze świeckimi.

Wielu z nich spowiadało się u niego przez całe lata, był ich kierownikiem duchowym. Choć bardzo poważnie chory na serce jeszcze na tydzień przed śmiercią był w Warszawie, żeby wypowiedzieć członków Ruchu Rodzin Nazaretańskich, w którym od 1989 r. był kierownikiem duchowym. Pogrzeb ks. Olgierda Nassalskiego odbył się 30 stycznia w Licheniu.

Chcę wierzyć, że duchowni nie nawiązują kontaktów seksualnych z kobietami, mężczyznami ani z dziećmi. Że się nie masturbują. Że nie oddają się erotycznym fantazjom. Że nie spoglądają pożądliwie na kobiety pomni zakazu, który sformułował Jezus w Kazaniu na Górze

co Jan Paweł II nazywa nadużyciem i wielką szkodą: „Całował i język wkładał do buzi. Jak palce wkładał pod majteczki, to bolało...”. Albo: „Ręce wkładał pod majtki i pod koszulkę i naciskał. Całował w usta minutę albo parę. I cały się trząsał. Jak ktoś nie przyjdzie na jego kolana, to się wydziera, że nie dopuści do komunii...”. Albo: „Powtarza dzieciom, że dotykanie nie jest złe, bo on ma dar od Boga. Chciałabym bardzo, żeby to się już skończyło...”.

Jak zareagował na to przełożony proboszcza M. arcybiskup Józef Michalik, ordynariusz diecezji przemyskiej? Kazał z ambon odczytać list oskarżający „Gazetę Wyborczą” o atak na Kościół. Jak zareagowała prokuratura w Krośnie, w której zgłoszono przestępstwo? Umorzyła śledztwo. Dopiero po reakcjach prasowych prokuratura wyższego szczebla nakazała prowadzić sprawę od początku.

Po ujawnieniu przez „Rzeczpospolitą” afery z arcybiskupem poznańskim Juliuszem Paetzem, który między innymi ofiarowywał klerikom majtki z napisem ROMA, pytając, czy potrafią czytać od tyłu, a studentów archeologii łapał za genitalia, prymas Józef Glemp głównie skarżył się na media, iż rozpętały nagonkę na poznańskiego hierarchę. Nie odniósł się natomiast do sugestii, że Kościół polski od lat wiedział o seksualnych dewiacjach Paetza i nie reagował.

Nie są to jedyne przypadki przestępstw natury seksualnej popełnianych przez polskich księży.

Bezradność dzieci i rodziców

W połowie lat 70. jako 10-letni chłopiec byłem molestowany seksualnie przez księdza Olgierda Nassalskiego, marianina, proboszcza parafii Matki Boskiej Królowej Polski na warszawskim Marymoncie. Żadne to zresztą wyróżnienie – znam co najmniej kilkunastu chłopców, dziś już dorosłych mężczyzn, których spotkało to samo. Ulubioną formą prowadzenia lekcji religii przez księdza Nassalskiego było puszczanie slajdów z życia Świętej Rodziny. W salce katechetycznej gąsło wtedy światło, a proboszcz przysiadł się do tego z nas, który siedział „po zewnętrznej”, wkładając mu rękę pod spodnie. Szybko zresztą stało się to pretekstem do swoistej zabawy, którą my, uczniowie, prowadziliśmy między

sobą. Polegała na tym, by przyjść jak najwcześniej i usiąść jak najbliżej ściany, uniemożliwiając Łysemu – tak nazywaliśmy proboszcza – dostęp do siebie. Spóźnialscy, dla których zostawały tylko miejsca na skraju, stawali się przedmiotem naszych drwin i docinków w drodze powrotnej do domów. A Łysy był dumny, że nikt się do niego nie spóźnia.

Proboszcz uwielbiał też rozdawać święte obrazki, bo to był zawsze pretekst do ocierania się o nas. Często również przynosił na religię znaczki pocztowe. Pamiętam, że miał – w wielu egzemplarzach – serię „Droga Krzyżowa”. Obiecał dać ją każdemu, kto go odwiedzi w domu. Strasznie chciałem mieć tę „Drogę” i strasznie nie chciałem do niego iść. Ostatecznie mi ją sprzedał. Byli jednak tacy, którzy do niego poszli. Łysy zresztą często podkreślał, że jego dom jest naszym domem i że możemy go zawsze odwiedzić. Proponował, byśmy u niego nocowali. Że rodzice z pewnością się zgodzą.

Rodzice zaś długo niczego się nie domyślali, a my nie wiedzieliśmy, jak i co im powiedzieć. Nie można zapominać, że pozycja księdza w połowie lat 70. była znacznie silniejsza niż dziś. Kościół był ostoją polskości i patriotyzmu, depozytariuszem wszystkiego, co walczyło z komuną.

Byłem ministrantem. W roku 1976 Łysy zabrał nas na obóz ministrancki do Lichenia. Któregoś dnia kazał mi przyjść do siebie do pokoju. Zamknął go na klucz i mówiąc, że musi sprawdzić, czy nie jestem chory, ściągnął mi spodnie i majtki. Ubrany w sutannę siedział przede mną, wpatrując się w moje genitalia. Czułem, że nie jest to sytuacja normalna w relacji proboszcz-ministrant, ale nie wiedziałem, jak zareagować. Kiedy wyszedłem, dorwał mnie kolega. Krzyczał, że widział przez dziurkę od klucza, jak Łysy ściągnął mi majtki. Śmiał się. Wiedziałem, że kłamie, bo w dziurce cały czas był klucz. Dziś wiem, że spotkało go to samo. Że najwyraźniej przeżył to ciężę ode mnie i musiał w ten sposób odreagować.

Wszystko wydało się, kiedy parę miesięcy później inny mój kolega, też ministrant, złamał nogę. Łysy, jako troskliwy duszpasterz, zaczął go regularnie odwiedzać. Mama kolegi była szczęśliwa i dumna, a że była zima, ciągle oferowała proboszczowi herbatę. Po paru wizytach

mój kolega wyznał jej jednak, że za każdym razem, kiedy ona wychodzi do kuchni nastawiać czajnik, Łysy wsuwa mu rękę pod kołdrę.

Mama kolegi skonsultowała się z innymi rodzicami, także z moją mamą, która zaczęła zadawać mi pytania. Potwierdziłem, że mam podobne doświadczenia. Dlaczego sam jej wcześniej nie powiedziałem? Myślę, że po prostu wstydziliśmy się za Łysego.

Nasi rodzice mieli wielki problem. Bali się, że kiedy rozpętają aferę, komunistyczne władze wykorzystają ją do walki w Kościele. Odsunęli nas od Łysego, ale nie ujawnili tego, co więdzą. Dziś wiem, że popełnili błąd, ale rozumien też, co nimi wówczas kierowało. Nassalski pozostał proboszczem jeszcze przez kilka lat. Później przeniesiono go do odludnej parafii w Puszczy Mariańskiej. Powszechnie uważano, że władze kościelne postanowiły go usunąć, bo jego pedofilskie skłonności stawały się coraz jawniejsze.

Olgierd Nassalski zmarł w roku 1996. W prasie ukazały się wspomnienia ukazujące go jako wspaniałego duchownego, wielkiego przyjaciel młodzieży i autora licznych książek wychowawczych. Pracowałem wówczas w „Gazecie Wyborczej”. Próbowałem wyperswadować Janowi Turnauowi, redaktorowi odpowiedzialnemu za tematykę religijną, publikowanie podobnych kłamstw, ujawniając mu wszystko, ale mnie nie posłuchał. Najwyraźniej nie uwierzył.

Myślę, że najwyższa pora prawdę o Olgierdzie Nassalskim, księdzu-pedofilu, upublicznić. Śmierć zwalnia go od odpowiedzialności karnej, ale nie od infamii. Warto, by Katolicka Agencja Informacyjna zmieniła notkę o nim, bo jeszcze do dziś w jej serwisie internetowym można przeczytać, że był „przyjacielem młodzieży”. I warto, by Józef Augustyn, autor katolickiej książki o życiu płciowym „Integracja seksualna”, wyrzucił go z bibliografii. A swoją drogą, co za ironia z piekła rodem: cytowana przez Augustyna książka Nassalskiego nosi tytuł „Jak pracować nad charakterem”, a jej fragment brzmi: „Wychowawcy powinni pobudzać świadomość i wolność dorastających dzieci, aby w pełni angażowały się w samowychowanie seksualne”.

Sposób, w jaki Łysy nas pobudzał, z pewnością zdruzgotuje Ojca Świętego.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

PS Przedstawicielom Kościoła odpowiedzialnym w Polsce za badanie przykładów molestowania seksualnego dzieci przez księży podaję mój e-mail: andrzej.saramonowicz@przekroj.com.pl. Chętnie złożę szczegółowe zeznania oraz podam listę wielu osób, które mogą je potwierdzić. Adres mailowy podaję też tym wszystkim, którzy zechcą wysłać mnie do diabła, oraz osobom, które również doświadczyły molestowania przez duchownych i zechcą o tym opowiedzieć.

Andrzej Saramonowicz – 37 lat, dziennikarz, redaktor, scenarzysta filmowy. Mieszka w Warszawie.

Kłamali za bardzo



David Duncan – audytor Andersena odpowiedzialny za kontrolę ksiąg rachunkowych Enronu – postanowił współpracować z prokuraturą

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

Gdyby Arthur Andersen zaczął czytać ten tekst, przewróciłby się w grobie. Kończąc lekturę – wirowałby w nim.

Billy Mann płacze do słuchawki. 80-letni emeryt nie może przeboleć tego, co się stało. Jak większość dawnych pracowników jest dumny z firmy, której poświęcił 40 lat życia. Teraz przez błędy i głupotę swoich następców stracił sporą część świadczeń emerytalnych. Ale nie to jest najważniejsze. „Arthur Andersen był jak rodzina. Najbardziej boli to, że firma się rozpada, a jej reputacja została zszargana. Większość z nas, gdyby tylko mogła, wróciłaby do pracy, żeby odbudować firmę” – powiedział mi weteran księgowości. Audytor nie może stracić reputacji. Andersen ją stracił i nie uratuje go już nawet armia zdesperowanych emerytów.

Andersen założył swoją firmę w roku 1913. Rodzice – imigranci z Norwegii mieszkający w Chicago – zmarli, gdy miał 16 lat. Naukę ukończył w szkole wieczorowej, w dzień pracując jako goniec. Potem poszedł na uniwersytet, gdzie błyskawicznie zrobił dyplom z księgowości, a w roku 1908 został najmłodszym księgowym w stanie Illinois. Miał 28 lat, kiedy zakładał własną firmę.

Andersen, DeLany & Co. miała świadczyć usługi księgowe, kontrolować sprawozdania finansowe i doradzać klientom w sprawach podatkowych. W branży panował już spory tłok. Na rynku działały wszystkie firmy, z których

w przyszłości miała wyłonić się tak zwana Wielka Ósemka, czyli nieformalna grupa największych doradców finansowych (w latach 90. fuzje firm doprowadziły do powstania Wielkiej Piątki: PricewaterhouseCoopers, KPMG, Ernst & Young, Deloitte Touche Tohmatsu i Andersen). Wszystkie miały za sobą historię sięgającą XIX wieku i ogromny bagaż doświadczeń. Arthur Andersen wchodził na arenę jako ostatni – i najmniejszy – gracz. 50 lat później jego firma miała zostać liderem.

Założyciel cieszył się nieskazitelną reputacją. Uchodził za człowieka niezwykle uczciwego i nieugiętego broniącego zasad. Arthur

Andersen do końca osobiście wybierał swoich klientów. Tych, którzy grali nieuczciwie – choćby byli najwięksi – omijał szerokim łukiem. Przekonali się o tym dyrektorzy firmy DuPont, która w latach 40. zamówiła u niego kontrolę ksiąg rachunkowych. Gdy w sprawozdaniu ujawnił nieprawidłowości, panowie zjawili się biurze audytora, aby nakłonić go do poprawienia raportu. Andersen bez słowa wyrzucił ich za drzwi. Dziś takie zachowanie byłoby nie do pomyślenia. DuPont był dużą firmą, a audytor nie cierpiał na nadmiar klientów. Jednak dla Arthura Andersena zasady były najważniejsze. Jak powiedział na wykładzie dla studentów w St. Olaf College w 1941, „we wszystkim, co robi, człowiek powinien kierować się najwyższymi standardami etycznymi i moralnymi. Bez nich zginie”.

Jak na firmę powstałą na początku XX wieku Andersen był wyjątkowo nowoczesny. Pozbawiony hierarchii w zasadzie stanowił spółkę fachowców od księgowości działających pod wspólnym szyldem. W biurach panowała żelazna dyscyplina. Szef miał swoje dziwactwa: zabraniał na przykład palenia papierosów. W pracy można było zaciągać się jedynie fajką lub cygarem. Panowie mieli przykazane dobiierać spodnie pod kolor marynarki, a każdy nowy pracownik musiał zaopatrzyć się w kapelusz. Ta przedwojenna moda przetrwała do końca lat 50.

„Czy to cię przerasta?”

Gdy doszło do rekrutacji pracowników, Andersen wpadł na genialny pomysł. Zamiast najmować starych wyjadaczy, postanowił odławiać z uniwersytetów młode talenty i sam dalej je kształcić. Od podwładnych wymagał dwóch rzeczy: ciężkiej pracy i bezwzględnej uczciwości.

Andersen z nikim się nie pieścił. Pewnego razu jeden ze starych współpracowników miał jakiś problem z klientem. Szef spytał wprost: „Czy to zadanie cię przerasta?”. Pytany nie wiedział, czy się obrazić, czy umrzeć ze wstydu. Wziął papiery pod pachę i poszedł pracować.

Właśnie wtedy, gdy firma na dobre zadomowiła się na rynku (miała już sześć biur rozsiadanych po Stanach), w roku 1929 rozpoczął się Wielki Kryzys. Stany załapała fala bankructw. Ale dla Andersena kryzys stał się drogowskazem. Krach na giełdzie w Nowym Jorku dobitnie pokazał, że bez regularnej kontroli finansowej firm giełdowych obrót akcjami może mieć fatalne następstwa. W 1934 wszystkim przedsiębiorstwom notowanym na amerykańskich giełdach nakazano raz do roku poddawać się niezależnej kontroli finansowej. Miała ona polegać na sprawdzeniu, czy zeznania finansowe firm zgadzają się z tym, co widnieje w ich księgach rachunkowych. Tak powstał współczesny audyt.

Licencję na wykonywanie audytów otrzymała cała Wielka Ósemka, w tym również Andersen. Jego firma miała już renomę, a sam

Andersen cieszył się w branży powszechnym zaufaniem. Zdobył je, wykonując swoje pierwsze wielkie zlecenie. Na początku lat 30. chicagowskie banki najęły go, aby uzdrowił imperium energetyczne Samuela Insulla. Potężna firma, do której należało 500 elektrowni, stała na skraju bankructwa. Andersenowi udało się ocalić sporą część concernu, a mieszkańcy Chicago pozostali mu wdzięczni za to, że w mieście nie zgasły światła. Jego nazwisko tak dobrze się kojarzyło, że w roku 1938 dostał nawet propozycję objęcia funkcji prezesa nowojorskiej giełdy. Andersen odmówił.

Billy Mann, który przyszedł do firmy dwa lata po śmierci założyciela, wspomina, że o renomie Andersena dowiedział się już na studiach. Jeden z jego profesorów powiedział, że Andersen jest w prawdzie mały, ale za to najlep-



Arthur Andersen założył swoją firmę w roku 1913

„Człowiek powinien kierować się najwyższymi standardami etycznymi i moralnymi. Bez nich zginie”

szy. Fachowość i wysokie standardy etyczne sprawiały, że w świecie biznesu uczniów Andersena przeżywano komandosami księgowości.

Umierając w roku 1947, Arthur Andersen zostawił interes w ugruntowaną pozycję. Jego następcą Leonard Spacek załatwił w banku wielki kredyt, dzięki któremu partnerzy mogli wykupić firmę od spadkobierców założyciela.

Ale na początku lat 50. Andersen & Co. wciąż był płótką. Kiedyś na posiedzeniu Wielkiej Ósemki jeden z konkurentów zwrócił Spacekowi uwagę, że nie powinien się tyle odzywać, bo jego firma nic nie znaczy. Spacek opowiadał potem, że gdyby był termitem, to przegryzłby się przez stół i dopadł zuchwalca. Do rywalizacji z konkurencją wciąż brakowało klientów.

Przełom nastąpił w latach 50., kiedy firma założyła pierwsze biura zagraniczne. W ciągu dekady stała się międzynarodowym potentatem w dziedzinie audytu i doradztwa biznesowego. W latach 60. dochody po raz pierwszy przekroczyły sto milionów dolarów, a w roku 1974 Andersen otworzył nawet biuro w Moskwie. Pięć lat później wybił się na czoło Wielkiej Ósemki.

„Androidzi” w Warszawie

Do Polski firma zawitała w roku 1996. Duleep Aluwihare przyjechał nad Wisłę, aby doradzać Barbarze Piaseckiej-Johnson przy kupnie Stoczni Gdańskiej. Wkrótce potem założył biuro firmy w Warszawie. W warunkach raczkującego kapitalizmu znana międzynarodowa korporacja robiła furorę. Dla wielu młodych ludzi praca w Andersenie stała się szczytem zawodowych marzeń. Firma miała światową renomę, dawała możliwości szybkiego awansu i stwarzała warunki indywidualnego rozwoju. Przez sześć ostatnich lat rok w rok zdobywała w Polsce tytuł najpopularniejszego pracodawcy.

U szczytu popularności pod koniec lat 90. do biur Andersena na całym świecie zgłaszało się co roku milion kandydatów do pracy. Wielki cios przyszedł w roku 2000, gdy od firmy oderwał się cały dział doradztwa (przyjął potem nazwę Accenture). Z wszechstronnego giganta Andersen stał się nagle najmniejszym graczem Wielkiej Piątki.

Mimo to pozostał najbardziej wyrazistą spośród wielkich korporacji audytowych. Od reszty odróżniała go specyficzna kultura firmowa. Pod portretem założyciela w centrum szkoleniowym w St. Charles pod Chicago do dziś widnieje dewiza: „Jedna misja, jeden głos, jedna firma”. Tę zasadę doprowadzono z czasem do gra-

nic absurdu. Pracownicy mieli już nie tylko tak samo pracować, lecz także podobnie się ubierać i mówić zbliżonym głosem. Konkurencja ostrzegала ich jako pracoholicznych nadgorliwców bezgranicznie identyfikujących się z firmą. Złośliwcy przezywali ich androidami.

Mimo secesji części konsultingowej przyszłość Andersena wydawała się niczym niezagrożona. „Jeśli uwierzysz w swoją wizję, możliwości są nieskończone” – tak mawiał podobno sam ojciec-założyciel. Jeszcze kilka tygodni temu jego firma miała oddziały w 84 krajach. Na całym świecie zatrudniała około 85 tysięcy ludzi. Teraz praktycznie przestała istnieć. Nie wszyscy dziedzice Arthura Andersena byli wariaci jego nazwiska.



„My jesteśmy prawdziwym Andersenem”. Pracownicy upadłego giganta z Chicago demonstrują w obronie dobrego imienia firmy

Wielka wpadka

Miesiąc po ataku na WTC amerykańscy inwestorzy karmili się jeszcze złudną nadzieją, że nie będzie recesji. Zimny prysznic przyszedł 15 października. Nie wiedzieć czemu, wielki koncern energetyczny z Teksasu, który od pięciu lat nieprzerwanie notował rosnące zyski, nagle ogłosił ogromną stratę. Pod względem obrotów Enron był siódmą firmą w Ameryce. Specjaliści stawiali go za wzór nowoczesnej gospodarki. Dla analityków giełdowych wiadomość o stratach była kompletnym zaskoczeniem. Akcjonariuszy ogarnęła panika.

Okazało się, że kierownictwo Enronu od kilku lat zajmowało się „twórczą” księgowością. Szefowie firmy podjęli wiele nieudanych inwestycji. Aby nie szaszkodzić cenie akcji, postanowili je ukryć. Dzięki machinacjom księgowym straty zniknęły z bilansów i sprawozdań Enronu. Audytorem, który powinien to wykryć i ujawnić, była firma Arthur Andersen. Tymczasem w ciągu czterech ostatnich lat zatwierdziła sprawozdania, w których Enron zawiązywał swoje zyski o 600 milionów dolarów i zataił długi na sumę przeszło miliarda. Sytuacja Enronu do złudzenia przypominała kondycję

imperium Insulla. Tyle że tym razem Andersen, zamiast go ratować, przyłożył rękę do największego bankructwa w historii amerykańskiej gospodarki. Wiele wskazuje na to, że zrobił to zupełnie świadomie.

Andersen od 16 lat kontrolował sprawozdania Enronu. Ale audyt stanowił jego drugorzędne zadanie. Główną usługą, jaką świadczył swojemu klientowi, było doradztwo finansowe. Podpowiadał, jak płacić mniejsze podatki, księgować niewygodne transakcje i ukrywać straty. Kilka razy do roku z tej samej firmy przychodzili audytorzy, którzy powinni w imieniu inwestorów wykonywać sumienną kontrolę finansów Enronu. Nietrudno się domyślić, że układ, w którym obie usługi świadczyła jedna firma, prowadził do konfliktu interesów. Tym większego, że kontrakt z Enronem opiewał na 50 milionów dolarów rocznie. Tylko połowę tej sumy stanowiły opłaty za audyt.

Zespołem audytorów kierował David Duncan, partner Andersena z biura w Houston. 19 października dowiedziawszy się, że Komisja Nadzoru Giełdowego (SEC) zaczęła się interesować księgami Enronu, Duncan zrozumiał, że wokół Andersena zaraz zrobi się gorąco.

Cztery dni później razem z podwładnymi zaczął niszczyć dokumenty związane z obsługą Enronu. Zacieranie śladów współudziału w bankructwie ustało dopiero 8 października, kiedy Andersen otrzymał oficjalne wezwanie do złożenia wyjaśnień. Jak na razie nie jest jasne, czy Duncan działał na własną rękę, czy też na polecenie centrali Andersena w Chicago.

Po krótkiej agonii 2 grudnia Enron ogłosił upadłość. Departament Sprawiedliwości natychmiast rozpoczął własne śledztwo. Kongres zażądał publicznych przesłuchań na Kapitolu. Ale senatorowie niewiele się dowiedzieli. Większość kierownictwa Enronu odmówiła składania zeznań. Z tej samej możliwości skorzystał David Duncan. Nie pomogły argumenty szefa komisji Jamesa Greenwooda: „Panie Duncan, Enron obrabował bank. Arthur Andersen podstawił samochód do ucieczki. A ludzie mówią, że pan był za kierownicą”.

Na Kapitolu elokwencją wykazał się tylko szef Andersena Joe Berardino. Przyznał, że firma popełniła błędy, i przysięgł, że dopadnie winnych niszczenia dokumentów. W styczniu z wielkim hukiem wyrzucił z pracy Davida Duncana. Na niego zwałił też całą winę

FOT. CHARLES BENNETT/AP

za skandal. Twierdził, że nikt z centrali w Chicago nie wiedział o tym, co działo się w Houston.

Tymczasem Andersen i szefostwo Enronu zostali głównymi oskarżonymi w grupowym pozwie pokrzywdzonych inwestorów. Poszkodowani żądają 25 miliardów dolarów zadośćuczynienia. Jak powiedział w wywiadzie dla BBC prof. Michael Power z London School of Economics, „sam rozmiar żądań odszkodowawczych stawianych Andersenowi może unicestwić firmę”.

Nie powiodły się próby sprzedania Andersena konkurencji. Najpoważniejszy kupiec, firma KPMG, przestraszyła się pozwów, jakie mogłyby ją obciążyć po przejściu padającego konkurenta. Poza tym w trzy miesiące od katastrofy z międzynarodowego imperium

Wszystkie firmy Wielkiej Piątki mają na koncie afery. Andersen wplątał się w taką, której nie dało się zatuszować

został tak naprawdę tylko oddział w Stanach. Większość oddziałów zagranicznych Andersen zdążyła już sobie znaleźć nowych partnerów. Polskie biuro wkrótce połączy się z firmą Ernst & Young. „Polska filia rosła w przekonaniu, że nazwa Andersen jest nośnikiem pewnych istotnych wartości. To, co stało się w Ameryce, było dla nas zaskoczeniem. Dzięki własnej pracy stworzyliśmy w Polsce znakomity zespół specjalistów. Podstawowe wyzwanie to to, żeby tego nie zmarnować. Decyzja o połączeniu z Ernst & Young wynika z pragmatyzmu oraz z ambicji stworzenia najlepszej i największej firmy doradczej w Polsce” – powiedział „P” Jacek Kędzior, partner z biura Andersena w Warszawie.

Zła passa

Enron nie był pierwszą wpadką Andersena. W ciągu ostatnich 10 lat podobnych, choć mniejszych, spraw było wiele. Ugody pozasądowe i wypłaty odszkodowań były dla Andersena chlebem powszednim. Długa lista defraudacji, przy których był obecny w roli audytora, miała przesądzić o tym, że po upadku Enronu prokuratorzy postanowili ścigać Andersena na drodze karnej.

W roku 1989 upadł fundusz inwestycyjny Lincoln Savings and Loan. W 1992 Andersen, który był jego audytorem, zgodził się zapłacić 30 milionów dolarów odszkodowania. Siedem lat temu zapłacił 10,5 miliona dolarów grzywny za zaniedbania podczas kontroli firmy Colonial Realty z Connecticut. Mimo dobrych sprawozdań w roku 1990 przedsiębiorstwo ogłosiło upadłość, a jego inwestorzy stracili 300 milionów dolarów – i tu Andersen poszedł na ugodę. Kosztowała 90 milionów dolarów. W połowie lat

90. jednym z klientów Andersena była firma Waste Management. Jak wykazało poupadłościowe śledztwo Komisji Nadzoru Giełdowego, Waste Management w ciągu kilku lat zawyżył swoje zyski o prawie półtora miliarda dolarów. Z jakiegoś powodu audytorzy przeoczyli te nieistniejące kokosy. W ubiegłym roku Andersen jako pierwszy audytor w historii USA został oskarżony o „niewłaściwe postępowanie zawodowe”. Firma zapłaciła siedem milionów dolarów grzywny.

Przedostatnim gwoździem do trumny okazał się fundusz inwestycyjny Baptist Foundation z Arizony, który przed trzema laty utonął w długach. Chociaż szefostwo zdefraudowało 570 milionów dolarów, audyt Andersena przeprowadzony przed bankructwem nie wykazał

żadnych nieprawidłowości. Miesiąc temu Andersen zgodził się zapłacić odszkodowanie w wysokości 217 milionów. „Ta uгода to ważny krok w budowie zaufania do naszej firmy” – ogłosił audytor w oświadczeniu prasowym. Ale z zaufania do Andersena zostało niewiele.

W marcu pod wpływem afery Enronu kolejni klienci rezygnowali z usług Andersena. Po 31 latach współpracy kontrakt zerwał koncern farmaceutyczny Merck. Na liście firm, które porzuciły Andersena, znaleźli się najbardziej prestiżowi z dotychczasowych klientów: linie lotnicze Delta, firma kurierska FedEx, gigant przemysłu żywnościowego Sara Lee, producent wyposażenia domowego Rubbermaid, koncern naftowy Halliburton i firma kosmetyczna Estée Lauder. Andersenowi zakazano też świadczenia usług na rzecz instytucji państwowych.

Z perspektywy bankructwa Enronu seria afer audytowych Andersena wygląda dziś co najmniej podejrzanie. Specjaliści z Andersena byli zawodowcami, na dodatek jednymi z najlepszych w branży. Trudno sobie wyobrazić, że przeoczyli aż tyle nieprawidłowości. Wszystkim audytorom zdarzały się wpadki, ale nikt nie potknął się jeszcze na firmie o rozmiarach Enronu. Jeśli wiedzieli o nieczystej grze swoich klientów, to dlaczego przyszykali na nią oko i preparowali fałszywe audyty? Po co narażali na szwank reputację całej firmy?

Największym kapitałem Andersena byli klienci. Jako najmniejszy gracz Wielkiej Piątki toczył o nich nieustanny bój z konkurencją. Klienci, na których Andersenowi z racji prestiżu i zysków zależało najbardziej, praktycznie mieli go w kieszeni. Jeśli podczas audytu Andersen znalazłby informacje szkodzące cennie akcji firmy, wówczas prawdopodobnie

zostałby od niego odsunięty. W razie problemów ważny klient mógł w każdej chwili zaszantażować Andersena rezygnacją z drogiego usług konsultingowych i odejściem do konkurencji. „Myślę, że standardy etyczne w księgowości i sprawozdawczości finansowej uległy pogorszeniu” – powiedział „P” specjalista od etyki biznesu prof. Joseph Badaracco z Harvard Business School.

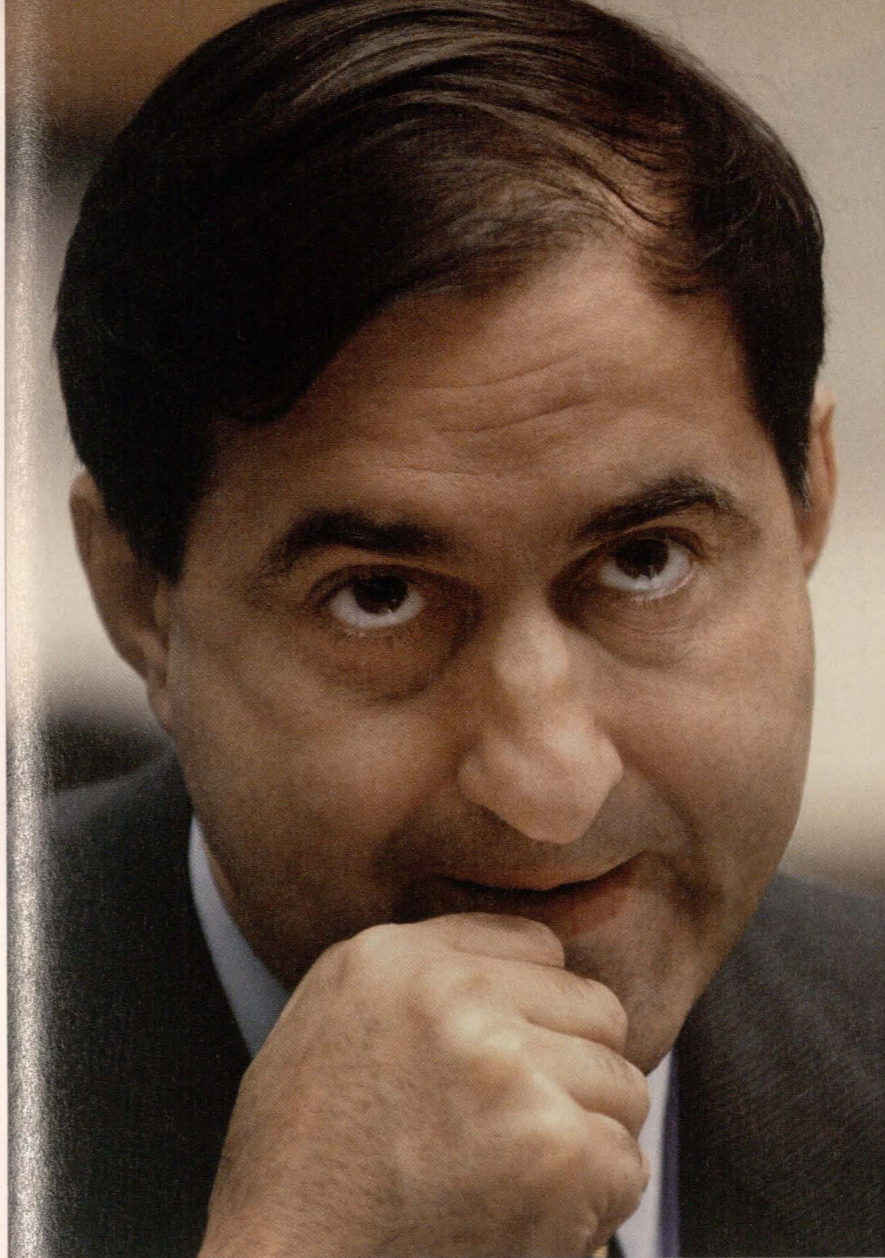
„Niewątpliwie na rynku jest presja, aby audyty wypadły pozytywnie. Ale to nie znaczy, że wszyscy audytorzy przyszykują oko” – uważa Stanley Twardy Jr., były prokurator stanu Connecticut i specjalista od przestępczości gospodarczej. Presja na audytorów zaczęła się podczas boomu gospodarczego w latach 90., kiedy firmy w Stanach deklarowały duże zyski, a inwestorzy oczekiwali podtrzymania dobrych wyników. Kadry kierownicze nauczyły się dążyć do tego za wszelką cenę. Z drugiej strony inwestorzy zaczęli wierzyć w każdą bzdurę na temat wartości i kondycji firmy, jaką wymyślali analitycy. „Wielu inwestorów wiedziało, że dochodzi do machinacji, a mimo to dokonywało lekkomyślnych inwestycji” – mówi prof. Badaracco.

„My o niczym nie wiemy”

Czy szefowie Andersena mogli rzeczywiście nie wiedzieć, co się dzieje u jednego z ich największych klientów? Ujawnione niedawno wewnętrzne notatki Andersena dowodzą, że o machinacjach Enronu centrala w Chicago dowiedziała się najpóźniej na początku ubiegłego roku. Jak wynika z dokumentów, już w marcu 2001 jakość audytu i metody księgowe Enronu zakwestionował wewnętrzny wydział kontroli Andersena. Jednym z księgowych, którzy wykryli nieprawidłowości, był Carl E. Bass. Gdy ujawnił swoje zastrzeżenia, ktoś z szefostwa Enronu zadzwonił do centrali Andersena i zażądał odsunięcia Bassa od sprawy. Od 12 marca musiał zająć się innym klientem. Ale wątpliwości wokół nielegalnych transakcji Enronu nie ustawały. W kwietniu ubiegłego roku audytorzy z Houston spotkali się ze swoimi przełożonymi, aby przedyskutować sytuację, w której się znaleźli. Na spotkaniu postanowili podtrzymać współpracę z nieuczciwym klientem mimo wykrytych nieprawidłowości.

Jak zeznał niedawno David Duncan, obawy, iż sam Andersen może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za współudział w malwersacjach kierownictwa Enronu, pojawiły się w sierpniu ubiegłego roku. Wówczas – jak twierdzi Duncan – w szerszym gronie audytorzy postanowili zniszczyć dokumenty, które w razie śledztwa mogłyby obciążyć Andersena.

Jeśli kierownictwo Andersena żywiło kiedykolwiek nadzieję, że udział w upadku Enronu ujdzie im na sucho, to 14 marca bezpowrotnie ją utracili. W bezprecedensowym pozwie Departament Sprawiedliwości postawił



Joe Berardino, szef amerykańskiej centrali Andersena, składa zeznania na Kapitolu

w stan oskarżenia całą firmę. Andersen został pierwszym audytorem Wielkiej Piątki, który będzie odpowiadał przed sądem federalnym. Jak na razie zarzut jest tylko jeden, ale za to natury kryminalnej: utrudnianie śledztwa w sprawie bankructwa Enronu. Jak wyjaśnia były prokurator Stanley Twardy Jr., „zarzut utrudniania śledztwa jest tylko ułatwieniem dla rządu. Dużo prościej sądzić Andersena za niszczenie dokumentów, niż udowodnić firmie, że wiedziała o machinacjach finansowych w Enronie”.

Duncan idzie na układ

Szefowie Andersena uparcie twierdzą, że jedynymi winnymi w sprawie są pracownicy biura w Houston. Ostatnią furtką, która mogła wybawić firmę od procesu, był układ z Departamentem Sprawiedliwości. Bardziej niż na unicestwieniu Andersena prokuraturze zależy na skazaniu szefów Enronu. Będąc ich wieloletnim doradcą, Andersen mógłby udzielić oskarżeniu cennych wskazówek. Groźba procesu miała

zmusić feralnego audytora do pójścia na układ. Mimo początkowego optymizmu negocjacje z rządem zakończyły się fiaskiem. Andersen odmówił przyznania się do winy.

Na nieszczęście audytora chętny do współpracy okazał się natomiast jego były pracownik David Duncan. Dowody, które zebrała przeciw niemu prokuratura, musiały być przytłaczające, skoro zdecydował się na współpracę. 9 kwietnia w sądzie okręgowym w Houston przyznał się do niszczenia dokumentów mogących stanowić materiał dowodowy w śledztwie. W zamian za zeznania i objaśnienie kulisów afery amerykański Departament Sprawiedliwości postawił Duncanowi tylko jeden zarzut: utrudnianie śledztwa. Jeśli przysłuży się wymiarowi sprawiedliwości, być może w ogóle nie trafi do więzienia.

Przejście Duncana na stronę prokuratury dodatkowo podkopuje też pozycję Andersena w procesie. W prawie amerykańskim obowiązuje zasada, według której firma jest odpowiedzialna za przestępstwa swoich pracowników

popelnione na służbie. Jak dotąd cała obrona Andersena opierała się na pierwszym zeznaniu Duncana, w którym stwierdził, że niszcząc dokumenty, nie wiedział o toczącym się śledztwie. Tymczasem ostatnio Duncan powiedział w sądzie, że likwidując akta, miał pełną świadomość, iż mogą one stanowić materiał dowodowy w sprawie. Jest wielce prawdopodobne, że „skruszony” audytor wsypie również swoich własnych szefów.

Co czeka Andersena? Proces firmy miał rozpocząć się 6 maja. W razie wyroku skazującego Andersen utraci prawo wykonywania audytów. Szefom firmy grozi do pięciu lat w zawieszeniu i pół miliona dolarów grzywny.

„Nie sądzę, żeby rząd amerykański chciał likwidacji Andersena. Departament Sprawiedliwości uważa po prostu, że Andersena trzeba osądzić – i to nie tylko za to, co zrobił w Enronie, ale również za jego wcześniejsze postępowanie” – uważa były prokurator Stanley Twardy Jr.

Co dalej?

Umyślny czy przypadkowy udział Andersena w bankructwie Enronu położył się cieniem na całej branży audytorskiej. „Audytorzy zawiedli na całej linii i nie chodzi tylko o Andersena” – powiedział niedawno Melvyn Weiss, prawnik reprezentujący ofiary Enronu.

Działanie giełdy opiera się na zaufaniu do audytorów. W kraju, w którym obywatele większość oszczędności lokują na giełdzie, brak tego zaufania może się skończyć gigantycznym odpływem kapitału. W tej sytuacji reforma systemu audytowego jest nieunikniona. W najbliższym czasie w USA ma powstać specjalny organ państwowy zajmujący się nadzorem firm tej branży. Rząd rozważa też wprowadzenie przepisów, które wymagałyby rozdziału audytu od usług doradztwa finansowego. Firmy Wielkiej Piątki już przygotowują się do tego kroku.

Są też ostrzejsze propozycje, jak na przykład nakazanie klientom wymiany audytorów co cztery lata lub przeniesienie audytu pod całkowitą kontrolę państwa. „Audytor byłby całkowicie niezależny, gdyby audytora zatrudniał i opłacało państwo” – powiedział „Washington Post” były partner firmy KPMG Walter Schuetze. Ta ostatnia propozycja raczej nie zostanie zrealizowana.

Po upadku firmy Arthura Andersena z Wielkiej Piątki zostanie Thusta Czwórka. Billy Mann regularnie spotyka się ze swoimi dawnymi kolegami z pracy. „Na jednym z zebrań pewna kobieta zaczęła pytać wszystkich, jakie uczucia budzi w nich nazwa Arthur Andersen. Ktoś powiedział: »duma« i wszyscy mu przytaknęli. Duma z bycia częścią tej firmy”.



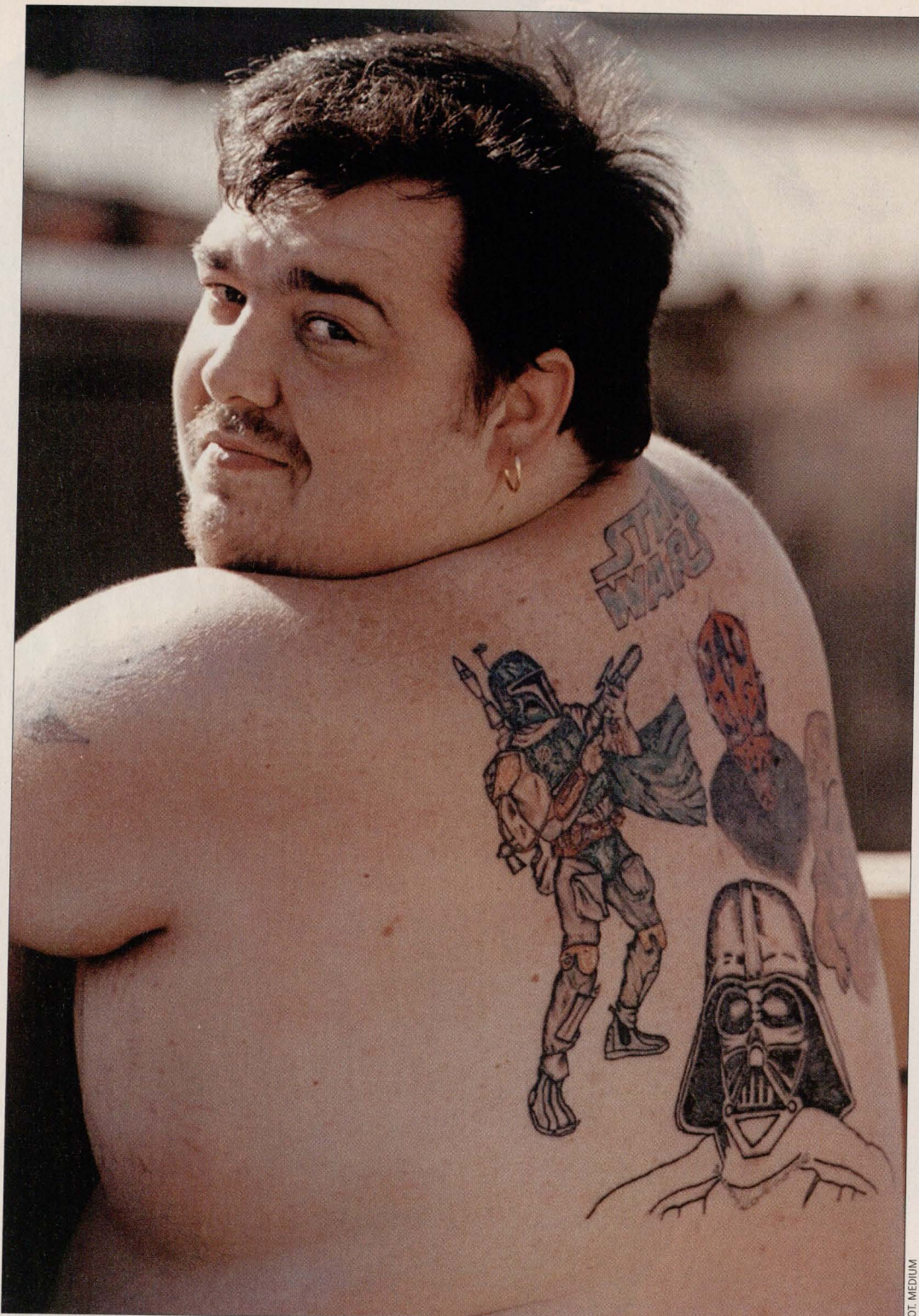
RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Dla grubej forsy
Lucas rozmiął mit na drobne
- uważają starzy fani „Gwiezdných wojen”.
Ale i tak wszyscy pójda na nową część sagi
- „Atak klonów”
- która wchodzi do kin 16 maja

GWIEZDNY



ODPUST



FOT. MEDIUM

Fan „Gwiezdných wojen” Chris Davies planuje wytatuowanie postaci z sagi na całym plecach i brzuchu

i komiksy rozbudowujące ledwie w filmach dotknięte czy nawet całkowicie pominięte peryferie gwiazdnowojennego świata.

Losy filmowych postaci i dzieje filmowych krain rozbudowywane są spontanicznie przez niemożliwą do policzenia liczbę amatorów w tak zwanych fanfikach (od angielskiego *fan fiction*), czasem poważnych, czasem parodystycznych, rozpowszechnianych w klubowych biuletynach i na dedykowanych „Gwiezdnym wojnom” stronach internetowych.

Zresztą pisanie faników to drabiazg. Nowoczesna technika pozwoliła zagorzałym miłośnikom „Star Wars” kręcić własnymi siłami filmy, a przemontowywanie i przetwarzanie oficjalnych trailerów i całych filmowych sekwencji jest dzisiaj na porządku dziennym. Jeśli ktoś ma wydajne łącza i dość cierpliwości, może ściągnąć sobie z Internetu nawet alternatywną wersję „Mrocznego widma”. Grupa zachowujących anonimowość amerykańskich fanów zadała sobie bowiem trud, by po swojemu przemontować film, zmieniając scenariusz i całkowicie usuwając znienawidzonego przez prawdziwych bywalców filmowego świata Jar Jar Binksa. Niechęć fanów właśnie do niego ma swoje głębokie przyczyny – jest to postać, w której skupia się zasadnicza odmienność pomiędzy pierwszą serią sagi, tą z lat 1977–1983, a filmami wchodzącymi na ekrany obecnie.

Tak brutalne potraktowanie przez fanów filmu chyba zirytowało twórcę Gwiezdnej Sagii, gdyż wkrótce potem Lucasfilm rozpoczął bezprecedensową kampanię przeciwko fanowskiemu witynom. Przez jakiś czas ich autorzy i właściciele serwerów byli straszni pozwami od prawników koncernu. Nie trwało to długo. W ramach rozejmu fani na wszystkich swych produktach zaczęli umieszczać rytualną notę o poszanowaniu dla jedyne go właściciela praw do historii, postaci i fototów z filmu, zaś Lucasfilm uznał w końcu, że nawet najbardziej uprzykrzeni z fanów są dla niego pożyteczni.

Wojna fanów z Lucasem

Miłośnikom serii nie wystarczą same filmy oglądane po kilkadziesiąt razy. Nie wystarczają im też „oficjalne”, to znaczy autoryzowane przez Lucasfilm, powieści

wszystkim – ośmiu powieści opowiadających jego losy przed i po ataku na Gwiazdę Śmierci, w którym bierze udział jako jeden z przybocznych Luke’a Skywalker’a. Zdaniem koneserów gwiazdnowojennych apokryfów powieści o Wedge’u należą zresztą do najlepszych.

A przecież skromny pilot kosmicznego myśliwca nie został wcale przez miłośników gwiazdnej sagi jakoś szczególnie wyróżniony.

Znacie „Gwiezdne wojny”? Na pewno. A czy znacie Wedge’a? Prawdopodobnie nie, bo we wszystkich trzech częściach pierwszej serii sagi Wedge pojawia się na ekranie łącznie przez nieco ponad minutę i wypowiada cztery linijki dialogu. Mimo to dla fanów filmu jest postacią rozpoznawalną i ważną. Doczekał się osobnych fanklubów, listy dyskusyjnej i fanzinu, a przede



FOT. GETTY IMAGES/EAST NEWS

Pokazowa walka w nowojorskim sklepie podczas promocji gadżetów związanych z nową częścią sagi

Za co kochamy Luke’a Skywalker’a?

Co sprawiło, że film George’a Lucasa stał się aż takim sukcesem? Oto, jak mawiają Amerykanie, pytanie za milion dolarów. A nawet, żeby być ścisłym, za kilka miliardów. Cztery i pół miliarda dolarów miała bowiem wedle doniesień prasowych przynieść sprzedaż kaset, gadżetów i licencji tylko w ciągu dwóch ostatnich lat ubiegłego stulecia, same zaś filmy od premiery pierwszego z nich zarobiły 1,8 miliarda, co czyni z Gwiezdnej Sagii najbardziej dochodowe przedsięwzięcie w dziejach kinematografii i show-biznesu w ogóle. Próbnymi odpowiedzi na pytanie o źródła sukcesu zapisano tysiące hektarów papieru i zapewne któreś z wyjaśnień jest słuszne. Problem w tym, że nikt nie wie które.

Kulturoznawca zwróci uwagę, że kosmiczna baśń Lucasa bazuje na zawsze nośnym schemacie, którego niezliczone realizacje sprzedawano po jarmarkach już w XVIII stuleciu – a może i wcześniej.

Bezwzględny, najczęściej hiszpański, gubernator skrył się za charakterystyczną czarną maską Lorda Vadera, romantyczny korsarz zmie-

nił się w kosmicznego przemytnika, jego ściga fregata w intrygujący kształtem statek nadprzestrzenny, nieodłączny towarzysz z muskularnego Murzyna przekształcił się w małpoluda, a para wprowadzających komiczne akcenty poczciwych majtków, bez których żadna taka opowieść obyć się nigdy nie mogła, stała się parą sympatycznych robotów. Dzielnym młodzieńcem śpieszącym na pomoc uciśnionej pięknej księżniczce oraz ona sama nawet się w nic nie zmienili; księżniczka na czele Republiki powoduje wprawdzie pewien zamęt, ale mało komu to przeszkadza.

Widz od pierwszej chwili wie, że piraci zdołają wysadzić gubernatorowi jego szerzący postrach galeon, że jeśli historia potrwa dłużej, uciśniona piękność pocznie się wahać między głównym bohaterem a korsarzem... i tak dalej. Krytykom, którzy odkrycie przez bohatera pod koniec trzeciej (obecnie szóstej) części, że on sam i piękna księżniczka są rodzeństwem, a zły Lord Vader to ojciec ich obojga, uznali za skomplikowanie akcji czy zgoła jej nieoczekiwany zwrot, można tylko współczuć.

Z drugiej strony schemat został wypełniony mnóstwem nowości, fa-

scynujących szczegółów, pomysłów gadżetów. A właśnie wyważenie proporcji pomiędzy schematem i innowacją jest kluczem do stworzenia legendy kultury masowej już od czasów Sherlocka Holmesa.

Ronald Reagan i imperium zła

Ale to na pewno nie wystarczyłoby do aż takiego sukcesu. Tutaj szukający wyjaśnienia fenomenu „Gwiezdných wojen” kulturoznawca musi ustąpić miejsca socjologowi.

George’owi Lucasowi udało się idealnie trafić w potrzeby amerykańskiego społeczeństwa drugiej połowy lat 70. Po żalosnej reje-radzie z Wietnamu, porzuceniu tam sojuszników oraz bronionej przez nich wolności i, przede wszystkim, głębokim zwątpieniu w słuszność całej sprawy, po wypaleniu się i wykrzyczeniu hipisowskiej rewolty obyczajowej, po wielkim kacu afery Watergate i nadwątleniu przez nią ideałów amerykańskiej demokracji opowieść dziejąca się „dawno, dawno temu w odległej galaktyce”, w której dobro i zło odróżnić można nawet po kolorach płaszczy, dawała coś więcej

niż ulgę. Dawała nowy język. (Ronald Reagan, który sięgnął po ten właśnie język, nazywając Związek Sowiecki „imperium zła”, a „gwiazdnymi wojnami” program zbrojeń mający stanowić ostatni gwóźdź do jego trumny, wykazał się wyczuwaniem wręcz genialnym). Dodatkowo pomogło „Gwiezdnym wojnom” zastąpienie osobowego Boga pierwotną, przenikającą galaktyki Mocą, która ma swoją ciemną i jasną stronę i do której można się odwołać dzięki sile woli wykształconej duchowymi ćwiczeniami. Lucas trafił tu w sam szczyt mody na New Age i powierzchownie rozumianą duchowość Wschodu, czego zresztą do dziś nie mogą wybaczyć Gwiezdnej Sadze media chrześcijańskie.

A wreszcie „Gwiezdne wojny”, trafiając w gust Ameryki, co było warunkiem sukcesu, zarazem okazały się uniwersalne i atrakcyjne dla całego świata, co nadało temu sukcesowi tak niewiarygodne rozmiary. Pod tym względem Lucas stał się pionierem globalizacji i jednym z głównych beneficjentów zwycięstwa, jakie amerykańska kultura popularna odniosła nad dędem, marmurami i sierniężnością socjalizmu. I znowu trzeba

powtórzyć, że Lucas trafił w odpowiedni moment: początek lat 80. to czasy, kiedy nawet w Hanoi młodzi zaczęli, ku zgrozie i oburzeniu starych działaczy partyjnych, zamieniać tradycyjne nakrycia głowy na amerykańskie bejsbolówki.

Nad tymi wszystkimi wyjaśnieniami, mądrymi i niewątpliwie słusznymi, górę bierze jednak inne – wyjaśnienie dziennikarza. Otóż Lucas był buntownikiem, rewolucjonistą i pasjonatem, któremu się powiodło, a takich właśnie kochamy kochać. W każdej niemal publikacji o „Gwiezdnym wojnach”, na każdej poświęconej im stronie znajdziecie informację o tym, że Lucas świat Imperium i Republiki wyśnił sobie jeszcze jako mały chłopiec, że uszczegółowił go

„Gwiezdnym wojnom”, chcąc zadołować się zwrotem kosztów i minimalnym zyskiem.

Reżyser-buntownik i kino familijne

„Gwiezdne wojny” dokonały w światowym przemyśle rozrywkowym rewolucji także pod tym względem, że były pierwszym filmem, który przyniósł wielokrotnie większe dochody ze sprzedaży związanych z filmem gadżetów niż z samych biletów i licencji telewizyjnych. W chwili gdy George Lucas zaproponował, że gotów jest zrzec się udziału we wpływach z rozpowszechniania filmu w zamian za wyłączność na gadżety, producenci z XX Century Fox byli

świata stworzonego przez J.R.R. Tolkiena. Chcą w jak największym stopniu i jak najczęściej „pobyć” w baśniowej krainie. Polscy miłośnicy „Star Wars” zmuszeni byli zawsze wykazywać w tej dziedzinie dużo większą pomysłowość od swych kolegów z Zachodu. Problemem naszych fanów była raczej niedostępność przedmiotów związanych z kultem. Ale ponieważ film Lucasa trafił do Polski, w chwili gdy istniał już zorganizowany ruch miłośników *science fiction*, fani mieli wypracowane sposoby radzenia sobie z tym problemem. Jednym z nich były tak zwane klubówki, czyli amatorskie wydania książek, nielegalne, ale w ówczesnej sytuacji tolerowane przez władze. W drugiej połowie lat 80. ich nakłady sięgały pięciu tysięcy egzemplarzy, pojawiały się kolorowe okładki, niekiedy edycje takie wyglądały wręcz lepiej niż produkcja oficjalnych wydawnictw. W takiej właśnie formie ujrzały najpierw światło dzienne polskie przekłady zbeletryzowanej wersji scenariusza, a potem uszczegółowiających świat filmu apokryfów. Zresztą profesjonalne wydawnictwa, które zajęły się ich drukiem po roku 1989, zatrudniły do tego te same osoby, które wcześniej robiły to w klubach fantastyki.

Dzisiaj wielbienie „Gwiezdnym wojnom” stało się łatwiejsze i mniej twórcze. Można by w tym upatrywać jednej z przyczyn wyraźnego chłodu, z jakim starzy fani traktują nowe filmy w ogóle, a Jar Jar Binksa w szczególności. Można by, gdyby ten chłód był zjawiskiem tylko polskim, a takim nie jest. Łatwo go dostrzec także w wydawnictwach i dyskusjach fanów zachodnich.

Wyjaśnienie jest inne. Pierwotnie cykl „Gwiezdnym wojnom” składał się z trzech części – i dla niektórych, między innymi dla autora tych słów, tak jest nadal. Minęło 16 lat od premiery trzeciej części cyklu, zanim Lucas zdecydował się powrócić do dzieła swego życia z nową energią i nowymi pomysłami. Pierwszą część stała się z dnia na dzień czwartą i otrzymała nowy tytuł, wszystkie trzy filmy pre-montowano i wzbogacono w rozmaite komputerowe smaczki, dostosowując do gustu nowego pokolenia widzów, likwidując drobne

niekonsekwencje lub wprowadzając *post factum* bohaterów późniejszych części do wcześniejszych. Wszystko to było przygotowaniem do wprowadzenia na rynek kolejnych epizodów serii, począwszy od pierwszego. Podobno wcześniej nie mogły one powstać, bo technika efektów specjalnych nie dorównywała wizji Lucasa. Podobno scenariusze całej dziewięcioczęściowej sagi były obmyślane jednocześnie i cała historia kręcona jest tak, jak o tym jej twórca marzył od samego początku.

Być może. Ale nowe „Gwiezdne wojny” są już czymś zupełnie innym niż te stare. 16 lat to cała epoka, zmienił się przez ten czas świat, zmienili widzowie, a przedsięwzięcie pod nazwą „Gwiezdne wojny” zatraciło swój pionierski i rewolucyjny charakter. Obecnie jest to po prostu ogromna, rozpędzona maszyna do zarabiania pieniędzy. W roku 1977 Lucas był przez kolejne wytwórnie odsyłany z kwitkiem. Dziś jego wytwórnia inwestuje w to, co według robionych przez nią badań rynku najbardziej się opłaca – w film rodzinny. Stąd w nowych filmach wtłoczenie scenariuszy w schematy sprawdzone jako najlepiej odbierane przez 12-latków, stąd infantylny, animowany komputerowo stworek znienawidzony przez prawdziwych fanów Gwiezdnego Saga. Lucas, właśnie szykujący się do obchodów 25. rocznicy premiery „Gwiezdnym wojnom”, przeszedł przez te ćwierć wieku długą drogę. Z odnowiciela filmowej fantastyki i rewolucjonisty w przemyśle rozrywkowym zamienił się w filistrę takiego samego jak szefowie wytwórni, którzy przed ćwierćwieczem w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać. Przeszedł, można powiedzieć, na drugą stronę barykady.

Starzy fani „Gwiezdnym wojnom” mają więc prawo czuć się zlekceważeni. Ale cokolwiek by mówili, i tak staną w gigantycznych kolejkach po bilety na kolejny film, a potem przyprowadzą do kina swoje nastoletnie pociechy. Lucas o tym wie. Za wystarczający gest z jego strony muszą fani uznać niedawną zapowiedź, że w kolejnym epizodzie pojawi się młody Wedge i wyjaśnione będzie, w jaki sposób został on pilotem rebelianckiego X-Winga.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

W drodze do Unii



Niebawem każdy Polak będzie miał szansę zadecydować o przyszłym losie swojego kraju, głosując w referendum o przystąpieniu Polski do europejskiej Piętnastki. Ale czy aby na pewno warto dołączyć do Unii? Co to zmieni w życiu przeciętnego Kowalskiego? Jakie są tego plusy i minusy?

Koniec paniki szukania paszportu 45 minut przed odlotem samolotu – wystarczy dowód (PLUS). Znikną więc kolejki przed polskimi biurami paszportowymi (PLUS).

Polacy nie będą musieli stać godzinami w długiej kolejce na Heathrow dla „nieobywateli Unii” (PLUS). Nie będzie już można na lotnisku kupić taniej wódki i papierosów dla kumpli – zniknie sprzedaż wolnocłowa (MINUS).

Polacy będą mogli legalnie pracować w krajach Unii (PLUS), natomiast inni obywatele Unii będą mogli pracować w Polsce (dla jednych PLUS, dla innych MINUS). Zwiększy się liczba felietonów pisanych przez cudzoziemców. W „Przekroju” pojawią się felietony „Polska Żabojada” i „Polska, Holender!” (MINUS).

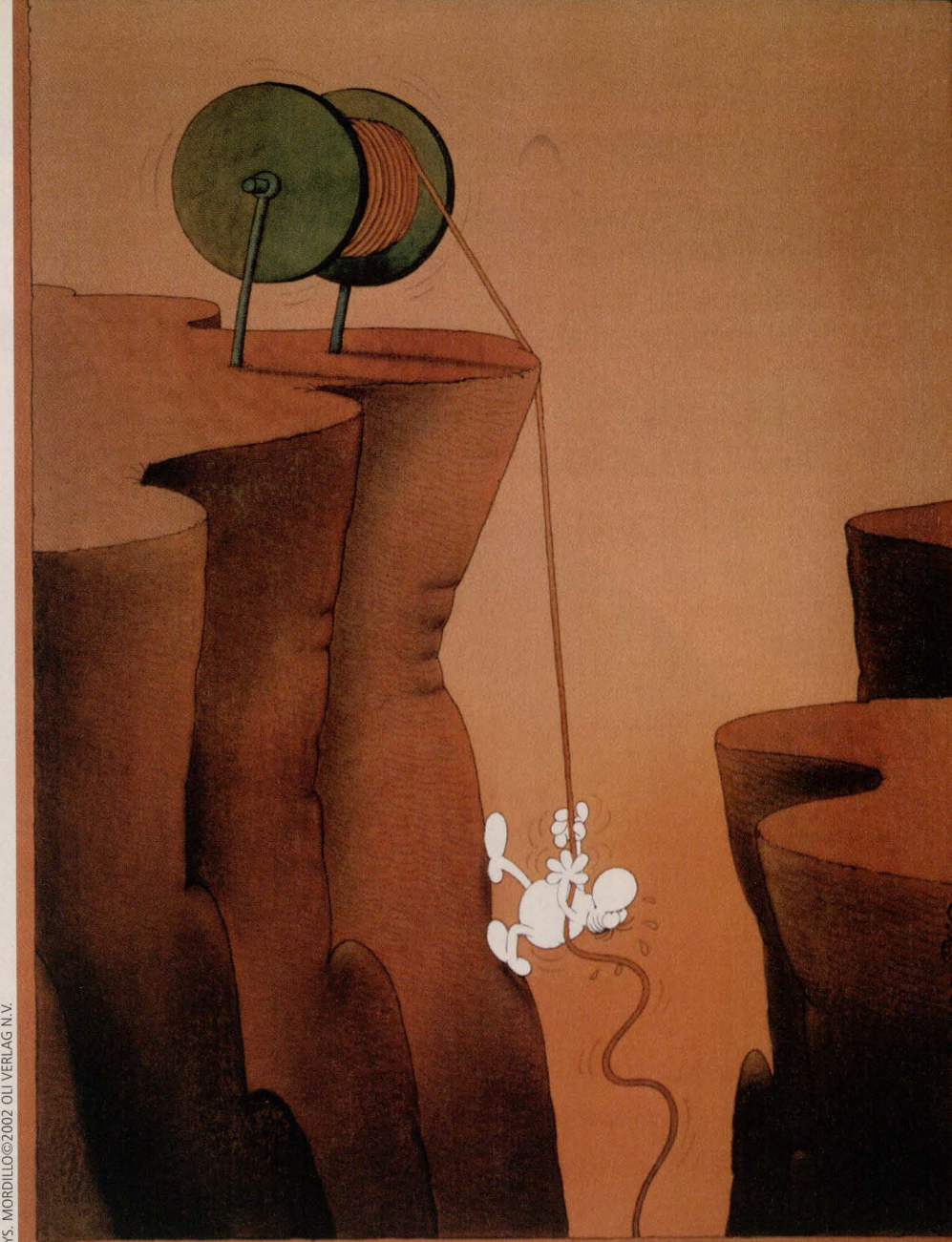
Z dniem wejścia Polski do Unii główne wydania wiadomości w Polsce przestaną obsesyjnie śledzić każdą wypowiedź komisarza Verheugena (PLUS). Wszystkie główne wydania wiadomości zaczną nudzić o tym, w którym roku polscy rolnicy będą mogli otrzymać pełne dopłaty (MINUS).

Unia będzie finansowała rozwój polskiej infrastruktury. Polepszy się stan polskich dróg (PLUS). Nastoletni kierowcy będą mogli jeździć jeszcze szybciej (MINUS), bo znikną koleiny i wyboje (PLUS).

Rolnicy otrzymają dopłaty dla swoich gospodarstw (PLUS). Dochodząc swoich praw, protestujący rolnicy będą blokowali nie polskie drogi, lecz Brukselę (PLUS).

Język polski zyska na znaczeniu. Stanie się językiem roboczym Unii (PLUS). Wzrośnie wiedza o Polsce i Polakach na świecie. Już nikt nie będzie mówił „A, Poland – Amsterdam, yes?” (PLUS). Zwiększy się umiejętność poprawnego wymawiania polskich nazwisk wśród Europejczyków (PLUS). Polacy będą musieli chociaż spróbować poprawnie wymawiać imiona typu Siobhan, Thierry i José (MINUS).

Zmieniają się polskie paszporty na unijne. Każdy Polak będzie wiedział, że *sloinne* to nazwisko po irlandzku albo że po holendersku



RYŚ. MORDILLO©2002 OLI VERLAG N.V.

Wymalowany „na Dartha Maula” fan kupuje bilety na „Mroczne widmo”



FOT. REUTERS/FORUM

przez wiele lat i że swymi pomysłami usiłował bezskutecznie zainteresować dziesiątki producentów. Zapewne nie wszystko było dokładnie tak jak w legendzie, ale to, że myślący schematami „kina rodzinnego” producenci pomysł Lucasa zgodnie odrzucali, nie ulega kwestii. *Science fiction* nie była uważana za odpowiednią konwencję dla superprodukcji. *Science fiction* była konwencją niskobudżetowych filmów dla stonkowanego wąskiej grupy hobbystów. Kiedy w końcu znalazł się producent skłonny przy wszystkich zastrzeżeniach i finansowych ustępstwach autora dać Lucasowi pieniądze na film, wytwórnia do tego stopnia nie wierzyła w sukces, że omal nie odsprzedała prawa do rozpowszechniania

przekonani, że robią świetny interes; już w rok po przystąpieniu do dystrybucji musieli zmienić zdanie. Produkcja i sprzedaż świetlnych mieczy, masek Lorda Vadera, kompletnych strojów rebeliantów i szturmowców Imperatora, o kosztach, kubkach, plakatach i tego rodzaju zwyczajowych drobiazgach nawet już nie wspominając, to cały wielki przemysł. Drugim wielkim przemysłem okazały się osadzone w realiach gwiezdno-wojennego świata gry komputerowe, począwszy od pionierskiego „X-Winga”, trzecim – gra karciana wykorzystująca typowe dla fanów skłonności kolekcjonerskie.

Miłośnicy „Gwiezdnym wojnom” zachowują się bowiem podobnie jak miłośnicy „Star Treka” czy

do Strasburga, żeby rozrabiali w Parlamencie Europejskim (PLUS). Ludzie będą mogli narzekać nie tylko na rząd w Warszawie, lecz także na tych z Brukseli (PLUS).

Polskie produkty regionalne będą chronione. Nie trzeba będzie opatentowywać regionalnych przysmaków (PLUS).

Francuzi mogą się przyczepić do zapiekanki, jako że zawierają bagietkę (MINUS), Anglicy mogą się przyczepić do polskich zup, jako że są zbyt smaczne (MINUS).

Moje krótkie badanie wykazuje, że plusów przystąpienia do Unii jest dwa razy więcej niż minusów. Mam nadzieję, że rozwiąłem wszelkie wątpliwości, jakie Państwo mogli mieć w tej jakże ważnej dla Polski sprawie. Aha – zapomniałem tylko wspomnieć o tym, że mogą też być małe zmiany w polskim prawie, ustawodawstwie i w systemie administracyjnym. Ale proszę się tym nie martwić. Na pewno wszystko wyjdzie na lepsze, to znaczy na PLUS.

do Strasburga, żeby rozrabiali w Parlamencie Europejskim (PLUS). Ludzie będą mogli narzekać nie tylko na rząd w Warszawie, lecz także na tych z Brukseli (PLUS).

Polskie produkty regionalne będą chronione. Nie trzeba będzie opatentowywać regionalnych przysmaków (PLUS).

Francuzi mogą się przyczepić do zapiekanki, jako że zawierają bagietkę (MINUS), Anglicy mogą się przyczepić do polskich zup, jako że są zbyt smaczne (MINUS).

Moje krótkie badanie wykazuje, że plusów przystąpienia do Unii jest dwa razy więcej niż minusów. Mam nadzieję, że rozwiąłem wszelkie wątpliwości, jakie Państwo mogli mieć w tej jakże ważnej dla Polski sprawie. Aha – zapomniałem tylko wspomnieć o tym, że mogą też być małe zmiany w polskim prawie, ustawodawstwie i w systemie administracyjnym. Ale proszę się tym nie martwić. Na pewno wszystko wyjdzie na lepsze, to znaczy na PLUS.

Christiaan van Lierop



Pogrzeb na Wawelu 18 maja 1935 r., Marszałek w trumnie

JERZY CHOCIŁOWSKI

12 maja 1935 r. w 68. roku życia zmarł Józef Piłsudski. „Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu” – powiedział nad jego trumną na Wawelu prezydent Mościcki

Zastałem prawdziwego „dziadka”, starca zmizerowanego, schudłego, zgarbionego w pól, o zgąstych oczach i łysiejącej czuprynie – zanotował dyplomata Władysław Baranowski, gdy wiosną roku 1930 odwiedził Piłsudskiego w Sulejówku po dwóch latach niewidzenia go.

Myśl o śmierci nie była już wtedy Piłsudskiemu obca. Nawiedzała go kilkakrotnie w trakcie ciężkich chorób, a po raz pierwszy dał jej publicznie wyraz na wileńskim zjeździe legionistów (1928), zapewne pod wpływem niedawnego udaru mózgu, który nadwerżył sprawność jego prawej dłoni. Powiedział wówczas, że pragnie, by jego serce złożono do grobu na Rossie, obok żołnierzy poległych przy zdobywaniu Wilna w roku 1919.

Pogarszanie się zdrowia Marszałka nie było z pewnością tylko kwestią wieku. Całe jego życie upływało pod znakiem sytuacji wymagających żelaznej odporności fizycznej i psychicznej. Z pięcioletniego zesłania do guberni irkuckiej wrócił tak zmieniony, że nie poznała go rodzona siostra, gdy zapukał do drzwi jej wileńskiego mieszkania. Wiele lat ukrywał się, ścigany przez ochranę. Po wpadce łódzkiej drukarni „Robotnika” siedział osiem miesięcy w X Pawilonie warszawskiej cytadeli. Symulując obłąd, sprawił, że przeniesiono go do szpitala psychiatrycznego w Petersburgu, skąd uciekł i przedostał się do Galicji. Potem były legionowe boje na frontach I wojny światowej i kilkanaście miesięcy internowania w twierdzy magdeburskiej. A po powrocie do kraju – wedle jego własnych słów – stał „ze wszystkimi swoimi wadami i cnotami, z całą swą mocą czy bezsilnością, w centrum zjawisk polskich (...), wszystkiego, co się w Polsce działo”.

Niewidzialne zło

Oprócz artretyzmu przywiezionego z Syberii dokuczało Piłsudskiemu serce, ale najbardziej gnębiły go ustawiczne infekcje górnych dróg oddechowych przechodzące niekiedy w zapalenie płuc. W dodatku Piłsudski wcale się nie oszczędzał, szafując bez umiaru siłami. Praco-

wał do późna w nocy, wypijał hektolitry mocnej herbaty i palił papierosa za papierosem. Wprawdzie w młodości zamierzał zostać lekarzem (studiował przez rok medycynę w Charkowie), ale do kurujących go doktorów odnosił się lekceważąco, a nawet wrogo. Jedynym miejscem, gdzie tolerował ich starania, były Druskienniki, dokąd rok po roku wyjeżdżał w latach 1924–1930. Pobyt tam bardzo mu służył, co często podkreślał, zachwalając dobroczynne właściwości zdrojowiska. Kiedy w roku 1927 w Genewie niemiecki minister spraw zagranicznych Gustaw Stresemann poskarżył mu się, że choruje na wątrobę, z punktu zaprosił go do Druskiennik. „Tam pana na pewno wyleczą” – powiedział.

Jednak i Druskienniki, i wyjazdy w ciepłe strony (Madera, Rumunia, Egipt), przynosiły mu tylko okresową ulgę. Zły, że nie może pracować ze zwykłą intensywnością, przenosił gniew na otoczenie, czasem w sposób ostry i brutalny. Począwszy od lat 30. jego wygląd zaczynał zdradzać, że za błahymi z pozoru niedyspozycjami kryły się przyczyny głębsze. „Jakieś zło niewidzialne, tępe – zauważył Baranowski – zdawało się walczyć z tym organizmem”. Douglas Mc Arthur, szef amerykańskiego sztabu generalnego, wyniósł z audyencji u Marszałka (wrzesień 1930) wrażenie, że jego dni są policzone.

W roku 1934, podczas listopadowej parady w dniu Święta Niepodległości, Piłsudski nagle za słabł i dalszy ciąg rewii odbierał, siedząc na krześle, co było wypadkiem bez precedensu.

Złowieszcza diagnoza

Wkrótce potem jął się uskarżać na bóle w prawym boku, które nie pozwalały mu spać. Chudł gwałtownie i coraz bardziej ubywało mu sił. Mimo to, gdy w lutym 1935 roku umarła na białaczkę jego starsza siostra Zula Kadenacowa (był z nią bardzo żyty), siedział za jej trumną, bez czapki, ze szpitala przy Nowowiejskiej aż na Dworzec Główny, skąd miano zmarłą przewieźć do Wilna. W tymże dniu, gdy wyruszał z Dworca Wschodniego

Ostatnie chwile Marszałka



Piłsudski opuszcza Dworzec Wschodni w Warszawie po powrocie z ostatniego pobytu w Wilnie, 21 marca 1935 r. Obok ministrowie: komunikacji – Butkiewicz i spraw wewnętrznych – Zyndram-Kościałkowski

na jej pogrzeb, był tak wyczerpany, że inspektor kolejowy Szmidt musiał go prowadzić pod ramię w drodze od auta do wagonu.

Coraz gorsze samopoczucie nie powstrzymało go jednak w końcu tegoż miesiąca od kolejnego wyjazdu do Wilna, tym razem na gry wojenne. W nocy miał bóle i nazajutrz przerwał raptem zajęcia, oświadczając zaskoczonym oficerom, że nie może dalej prowadzić gry. Żegnając się z nimi, powiedział: „Może nie na zawsze”, po czym wyszedł z sali.

Po bez mała trzech tygodniach znowu wybrał się do Wilna, żeby – ugruntowanym zwyczajem – spędzić tam swoje imieniny. Zaskodziła mu wtedy zupa rakowa, którą chciała mu zrobić przyjemność wojewodzina Jaszczotowa. Dostał torsji, które wystąpiły też po powrocie do Warszawy.

Wówczas to zastanawiał się w rozmowie z żoną, czy aby nie ma raka. Martwił się, że może mu to pokrzyżować plany dokończenia różnych spraw.

2 kwietnia przyjął jeszcze szefa dyplomacji brytyjskiej Edena, który wracając z Moskwy, zatrzymał się specjalnie w Warszawie, by opowiedzieć o swoich rozmowach na Kremlu. Gdy wspominał, że spotkał tam Stalina, Piłsudski wtrącił: „Gdyby patrzeć na jego wizerunek, zdaje mi się, że widzę zbója”, co skwitowano ogólnym śmiechem. Eden był już ostatnim cudzoziemskim gościem Piłsudskiego w Belwederze.

Na Wielkanoc Piłsudski znowu chciał jechać do Wilna, tym razem na rocznicę odebrania miasta bolszewikom. „Chcę ostatni raz w życiu – mówić – przyjąć wileńską defiladę”.

Nie było to jednak możliwe, poruszał się już wtedy z dużym trudem. Mimo to zżymał się mocno, gdy sprowadzono na konsultację z Wiednia profesora Karla Weckenbacha, uznanego specjalistę od nowotworów, ale w końcu pozwolił mu się zbadać. Diagnoza profesora była złowieszcza – niemal niewątpliwy rak, prawdopodobnie żołądka, z przerzutami na wątrobę. Katastrofa możliwa w każdej chwili.

Słuchajcie, ja umieram...

10 maja zjawił się w Warszawie przejazdem do Moskwy francuski minister spraw zagranicznych Pierre Laval (późniejszy premier kolaboranckiego rządu Vichy). Gdy usłyszał, że Piłsudski nie może go przyjąć, sądził, że odmowa ma podtekst polityczny, bo wiadomo było, że Marszałek nie aprobował flirtów Paryża z Moskwą. Jednak Beck szybko mu wyjaśnił powagę sytuacji potwierdzoną zresztą tego samego dnia pierwszym oficjalnym komunikatem o groźnej chorobie Piłsudskiego. W nocy Piłsudski wezwał do siebie Becka, który stanął się we fraku i przy orderach – prosto z rautu na cześć Lavalowi. Marszałek chciał, by Beck uzmysłowił Lavalowi, do czego zmierza Stalin.

„Słuchajcie, dziecko, ja umieram – mówił do Becka – a po mojej śmierci zrobią wszystko, by

zmienić naszą politykę. (...) Trzeba (...) utrzymać dobre stosunki z Niemcami. To wielu się nie podoba. Za wszelką cenę musicie utrzymać przymierze z Francją i starajcie się wciągnąć w to Anglię”.

Następnego dnia chory poczuł się nieco lepiej. Przyjechał do niego Wieniawa-Długoszowski i zabawił go dykteryjkami. Wieczorem jednak Piłsudski dostał krwotoku z ust. Dano mu środek nasenny, po którym spał do południa. Ocknął się, po czym znowu zasypiał z przerwami, jęcząc niekiedy dziwnie zmienionym głosem. Około wpół do ósmej lekarze postanowili przywołać księdza, nie bez oporu ze strony Aleksandry Piłsudskiej. Wciąż miała nadzieję, że nastąpi poprawa, bo i przed nią zatajono rozpoznanie Weckenbacha. Wtajemniczeni byli tylko prezydent Mościcki, premier Walery Sławek i dr Sławoj-Składkowski.

Z Bogiem czy bez Boga?

Istnieje kilka relacji naocznych świadków z ostatniej godziny życia Piłsudskiego, lecz nie są one ze sobą całkowicie zbieżne. Główna różnica sprowadza się do tego, czy Piłsudski przed zgonem pojednał się z Bogiem, czy też nie chciał bądź nie mógł tego uczynić.

Przywiezionym pośpiesznie księdzem był prałat Władysław Korzyłowicz, który przed laty dawał ślub Wacławowi Sieroszewskiemu. Liczono, że Piłsudski będzie go pamiętał, bo rozmawiał z nim wówczas. Według Korzyłowicza Marszałek otworzył oczy, poznał go i usiłował bezskutecznie podnieść rękę (mówić nie mógł). Po udzielonym rozgrzeszeniu ponownie podniósł dłoń, spojrzał na wiszący nad łóżkiem obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, po czym wykonał znak krzyża.

W wersji pułkownika doktora Stefanowskiego Marszałek po namaszczeniu go olejami świętymi ocknął się i podniósł rękę, jak gdyby chciał się pożegnać czy pobłogosławić.

Trochę inaczej rzecz wygląda w bardzo szczegółowym dziariuszu, jaki prowadził rotmistrz Aleksander Hrynkiewicz, ostatni belwederki adiutant Piłsudskiego. Nie komentuje on w ogóle gestów rąk Marszałka. W jego zapisie „komentant szklitym, nieruchomym wzrokiem patrzy w przestrzeń (...). Jakieś myśli, jakąś wolę objawia słabym ruchem rąk. (...) po czym życie uleciało z niego jak na skrzydłach wiosennego wiatru, na znak uczyniony ręką Komendanta”.

Był 12. dzień maja 1935 roku, godzina 20.45.

Droga na Wawel

W nocy, po zdjęciu gipsowej maski pośmiertnej, Piłsudskiemu zrobiono od razu sekcję zwłok. Wykazała ona niezmiernie powiększoną wątrobę (o wadze 4050 g) pokrytą gęsto guzami rakowymi. Raka żołądka nie skonstatowano. Można więc domniemywać, że nowotwór, jaki zabił Piłsudskiego, był jakąś odmianą raka wątroby.

Śmierć Piłsudskiego wywołała oddźwięk, i to daleko poza granicami Europy, ale na szczególną uwagę zasługiwała reakcja Niemiec i ZSRR. Na mszy żałobnej w katedrze warszawskiej obecnie był Göring, a Hitler nie tylko nadesłał depezę kondolencyjną, lecz także przybył na nabożeństwo zamówione przez ambasadę polską w berlińskim kościele św. Jadwigi. W całych Niemczech zarządzono opuszczenie flag do połowy masztów, z powodu pogrzebu przełożono też o kilka dni posiedzenie Reichstagu.

W Moskwie wprawdzie żałoby nie było, ale „Izwestia” w numerze z 14 maja napisała, że „Piłsudski był monolitem, gorącym polskim patriotą, który całą duszą nienawidził caratu”. Wkrótce potem na uroczystej sesji Ligi Narodów przewodniczący jej Maksim Litwinow (ludowy komisarz spraw zagranicznych) powiedział m.in., że „Polska straciła męża stanu, którego potężna osobowość złączona jest nierozdzielnie z historią wskrzeszenia Polski” i że „Marszałek zasłużył na uznaniu za bohatera narodowego”.

Po ceremoniach żałobnych w stolicy trumnę z ciałem Piłsudskiego umieszczono na platformie kolejowej pociągu, który wioził ją nocą – w blasku podświetlających lawetę reflektorów – do Krakowa. Wzdłuż torów, na całej trasie pociągu, zbierały się tłumy i rozpalano wielkie ogniska. W Radomiu, w Kielcach i na innych stacjach, gdzie był krótki postój, tysiące ludzi padały na kolana, zanosząc się płaczem. 18 maja generałowie ponieśli trumnę do krypty św. Leonarda na Wawelu. Z wieży katedry bił dzwon Zygmunta, a po salucie ze 101 dział w całej Polsce zapadła trzyminutowa cisza.

„Trumna Józefa Piłsudskiego – pisała Maria Dąbrowska – która przez tydzień widzialnie ciążyła nad Polską, stała jednocześnie jak gdyby w domu każdego z nas. Póki się nie przeżyło tego ciosu, trudno wyobrazić sobie, że śmierć tak najdoskonalej publicznej (...) może być do tego stopnia wstrząsającym przeżyciem prywatnym i osobistym”.

Stanisław Cat-Mackiewicz w swej londyńskiej „Historii Polski...” opisał to równie dobitnie. „Piłsudski – pisał Cat – miał fanatycznych wielbicieli, którzy go kochali więcej niż własnych rodziców, niż własne dzieci, ale było wielu ludzi, którzy go nienawidzili, miał całe warstwy ludności, całe dzielnice Polski przeciwko sobie, potężną nieufność do siebie. I oto nie znać tego było w dniu pogrzebu”.

Przez powojenne dziesięciolecia Piłsudski był z premedytacją oczerniany i pomniejszany, a i dziś ma swoich zawziętych krytyków. Wśród wtykanych mu błędów i przewin niektóre są bezsporne, inne dyskusyjne, ale trzeźwy osąd każe dostrzec, że te błędy i przewiny mają w stosunku do jego zasług wymiar miniatury. Można z czystym sumieniem powtarzać za Lechoniem, że miejsce Piłsudskiego w Historii jest nie do ruszenia.

JERZY CHOCIŁOWSKI

G
HORROR



Peeling Desert (Obieranie pustyni), 2002



ale belfrem nigdy nie będę

Po raz pierwszy polscy studenci będą mieli takiego nauczyciela. Czy guru wizjonerskiej fotografii Ryszard Horowitz zepsuje naszą prostolinijną świeżość, czy też nauczy nas inaczej patrzeć?

KATARZYNA KUBIAK: Jest Pan przedstawicielem nurtu komercyjnej fotografii i – co się z tym wiąże – uczestniczy w niekończącej się debacie dotyczącej reklamy i sztuki. Czy słynne zdjęcia z kampanii reklamowych wódki Absolut lub ubrań Benettona są sztuką, czy nie?

RYSZARD HOROWITZ: Określenie tego, co sztuką jest, a co nie, leży w gestii odbiorców. Na wybór ten niewątpliwie wpływ ma wiedza w danej dziedzinie, kultura, jak i tradycje estetyczne przekazywane jednostce. Gdy kryteria piękna sprowadzać się będą tylko do pewnych kanonów sztuk tradycyjnych, potencjalny twórca zamknięty będzie na nowatorskie rozwiązania. Inaczej sztukę widzieć będzie jednostka wyzwolona z więzów kulturowych. Tradycyjne wychowanie pomoże jej, a nie przeszkodzi, w odbiorze nowości. Tak wygląda naturalna ewolucja sztuki. Nie tylko surrealiści z biednych przedmieść zawędrowali do muzeów. Wielu ojców fotografii w XX wieku pracowało w reklamie, dzisiaj właśnie ich zdjęcia reklamowe wiszą w największych muzeach świata. Kolejnym etapem w sztuce fotografii jest zaakceptowanie jej dalszego rozwoju.

Czyli przejście do technik cyfrowych?

– To są tylko narzędzia, którym nie należy przypisywać zbyt wielkiego znaczenia. Program typu Photoshop to samo w sobie narzędzie pozbawione duszy, jak zresztą i komputer czy też pędzel. W rękach artysty będzie elementem w tworzeniu dzieła sztuki. Głosy krytyków mówiące, że fotografia cyfrowa nie jest „czystą” fotografią, w znaczeniu, oczywiście, dzieła sztuki, uważam za bzdurne!

Oprócz renomowanych 17 państwowych uczelni artystycznych w ostatnich latach otwarto również kilka niepaństwowych wyższych szkół artystycznych. W sumie kandydatów do nauki na pierwszym roku było aż o 30 tysięcy mniej niż przygotowanych

miejsc. Czy w takiej sytuacji w Polsce potrzebna jest kolejna wyższa uczelnia, taka jak Wyższa Szkoła Sztuk Wizualnych i Nowych Mediów w Warszawie, w której Pan będzie wykładowcą?

– Program nauczania w tej uczelni jest tak skonstruowany, by połączyć tradycyjne techniki fotograficzne z nowoczesnymi – cyfrowymi. Problem podstawowy w szkolnictwie artystycznym polega na tym, że albo uczą one szalenie tradycyjnych metod, których oczywiście w edukacji nie sposób pominąć, albo odrzucają tradycję i przekazują wiedzę dotyczącą tylko metod cyfrowych. Wybór pomiędzy jednym i drugim nie jest najlepszy. Natomiast jednego i drugiego nie można pominąć, gdy chce się wykształcić inteligentnego, otwartego na nowe środowisko medialne artystę.

Jak konkretnie będzie wyglądać Pana program nauczania? Czy można zajrzeć do Pańskich konpektów zajęć?

– Konpektów nie mam i nie będę miał, co nie oznacza kompletnej improwizacji. Nie jestem belfrem i nigdy nim nie będę, dlatego określam tylko ramy programowe. Moje doświadczenia życiowe i zawodowe ustawiły mnie w nietypowej pozycji, dlatego pragnę podzielić się swoją wiedzą ze studentami poszukującymi sposobów zarabiania z ambitnej pracy twórczej. Innymi słowy, jak łączyć sztukę z komercją. Będę przekazywał teorię w zakresie historii fotografii, fotografii komercyjnej i artystycznej, korzystając z praktyki, czyli doświadczenia mojego i studentów. Nieodścignionym mistrzem, jeśli chodzi o sposoby nauczania, jest dla mnie Alexy Brodowicz, u którego w latach 60. byłem stypendystą w Design Laboratory w Nowym Jorku. Uczęszczali tam między innymi Richard Avedon, Hiro, Irving Penn. On też nie uczył jak w tradycyjnej szkole. Dzięki temu, że pokazywał drogi, a nie cel, do którego prowadzą, wypuścił w świat ludzi rzetelnie przygotowanych, ale otwartych



Catchchair (Kot-krzesło), 2001



My field (Moja polana), 2002



Powyżej i na stronie obok zdjęcia do kampanii reklamowej jubilerskiego giganta Fortunoffa, 1999



Banana woman (Kobieta banan), 1971

na nowe idee. Uważam, że oprócz podstaw technicznych równie ważne jest przekazanie studentom pewnego sposobu myślenia.

Po raz pierwszy na stałe zwiąże się Pan z uczelnią i pracą pedagogiczną. Dlaczego właśnie teraz dokonał Pan takiego wyboru?

– Wpłynęło na to wiele czynników. Przede wszystkim osoba Janusza Foglera, wydawcy mojego albumu, dyrektora Wydawnictw Artystycznych i Filmowych, twórcy idei powstania szkoły, który równocześnie wziął na siebie ciężar organizacyjny z tym związanym. Łączy nas podobne spojrzenie estetyczne na sztukę i założenia filozofii pracy. Pojawił się więc czynnik zaufania, bezpośredniego zaangażowania w powstanie szkoły.

– A ciało pedagogiczne, czyli: Dudziński, Dziworski, Kapusta, Rybczyński, Tomaszewski, Zanussi, Falk – nazwiska z najwyższej półki – gwarantują profesjonalizm w pracy dydaktycznej. Mało tego, wnoszą również doświadczenia nabyte w pracy medialnej na całym świecie. To jest magnesem przyciągającym studentów.

Czy przeprowadza się Pan na stałe do Polski?

– Nie. Zajęcia prowadzić będę w cyklach kilkutygodniowych w obrębie roku akademickiego. W ten sposób nie ucierpi na tym moja praca zawodowa i rodzina w USA. Ponadto zainteresowałem już uznanych fotografów amerykańskich, aby przyjechali na wykłady do Polski, istnieją też plany utworzenia filii tej szkoły w Nowym Jorku i fundowania stypendiów dla najzdolniejszych.

W wywiadach często podkreśla Pan, że u fotografa najważniejsza jest indywidualność, nie powtarzalny styl. Czy nie obawia się Pan, że bez odpowiedniego przygotowania pedagogicznego kreować Pan będzie doskonałych rzemieślników, a nie artystów fotografików?

– Z wykształcenia jestem artystą plastykiem, a nie fotografem, tak więc będę przekazywał wiedzę również w kontekście sztuki. Podważ wielokrotnie wyprzedzałem obowiązujące trendy artystyczne, poddawany byłem krytykom. Wiem, że brak akceptacji może na jednych wpłynąć mobilizująco, na innych destrukcyjnie. Dlatego w pracy ze studentami kierować się będę uczuciami. Podstaw i warsztatu nie odpuszczę! Poszukiwanie

stylu... to już sprawa jednostki. Ja mogę być tylko rzetelną podporą. Odpowiedzieć na pytania dotyczące rynku, sztuki. Nauczyć szukania mądrych kompromisów. Moim ideałem jest wypuszczenie w świat człowieka wierzącego w siebie, który walczy o swoje marzenia, a potem żyje z tego długo i szczęśliwie.

Czy nie myli Pan bajek ze smutną rzeczywistością?

– Nie. To jest możliwe. Proszę popatrzeć na mnie!

Jakie fotografie ostatnio się Panu podobały i dlaczego?

– Zdjęcia Jamesa Nachtweya, mojego kolegi, świetnego fotografa wojennego magazynu „Time”. W czasie tragedii 11 września w Nowym Jorku od razu złapał za sprzęt i potrafił uchwycić ten niepowtarzalny moment, na który składa się i odpowiednie kadrowanie, i wybór tematu, i dobór światła. W jego zdjęciach odnajduję jeszcze coś: inteligencję, wrażliwość, etyczne porozumienie. Po wypadkach wrześniowych w prasie ukazały się setki zdjęć na ten temat. Sama „fotogeniczność” tematu jest oczywista. Fotografie ograniczające się jedynie do rejestracji rzeczywistości nie satysfakcjonują mnie. Szukam interpretacji oka i inteligencji fotografa. To są właśnie walory artystyczne, które przyprawiają mnie o dreszcze.

Aparat od zawsze towarzyszy Pańskiemu życiu. Nawet w okrutnych czasach wojny jako kilkuletni chłopiec znalazł się Pan na słynnym już dzisiaj zdjęciu dzieci w obozie w Oświęcimiu. Czym dla Pana jest to zdjęcie?

– Dzięki Bogu za fotografa, który stworzył dokument potwierdzający, że Zagłada miała miejsce. Niezbyt często zmuszam się do powrotu myślami do tamtego okresu. Staram się dojść do jakiegoś porozumienia z tym doświadczeniem. Wielu krytyków odnajduje w mojej twórczości symbolizm Holocaustu. Nie zgadzam się z nimi. Moje prace są przeciech pochwałą życia.

Rozmawiała **KATARZYNA KUBIAK**,
Nowy Jork

Wystawę prac Ryszarda Horowitza
można oglądać w rzeszowskim BWA
od 9 maja do 30 czerwca.

RYSZARD HOROWITZ

Urodził się 5 maja 1939 r. w Krakowie.

Jako kilkuletnie dziecko był więźniem Oświęcimia.

Studiował w krakowskiej ASP, w roku 1959 wyjechał do USA.

Po studiach w Instytucie Pratta w Nowym Jorku pracował dla różnych agencji.

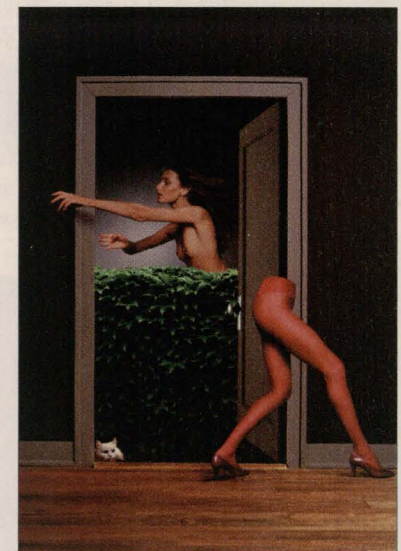
W roku 1967 otworzył własne studio fotograficzne w Nowym Jorku.

Wielokrotny laureat nagród za osiągnięcia w dziedzinie fotografii użytkowej.

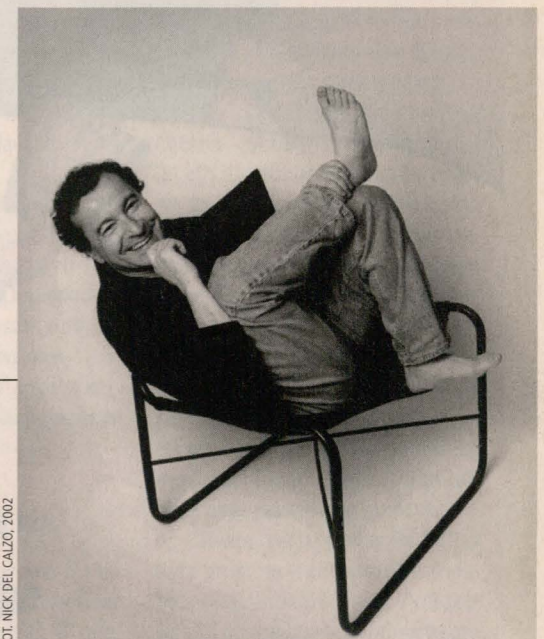
Uczestnik wielu wystaw zbiorowych i indywidualnych.



Birds II (Ptaki II), 1985



Apolonia, 1985

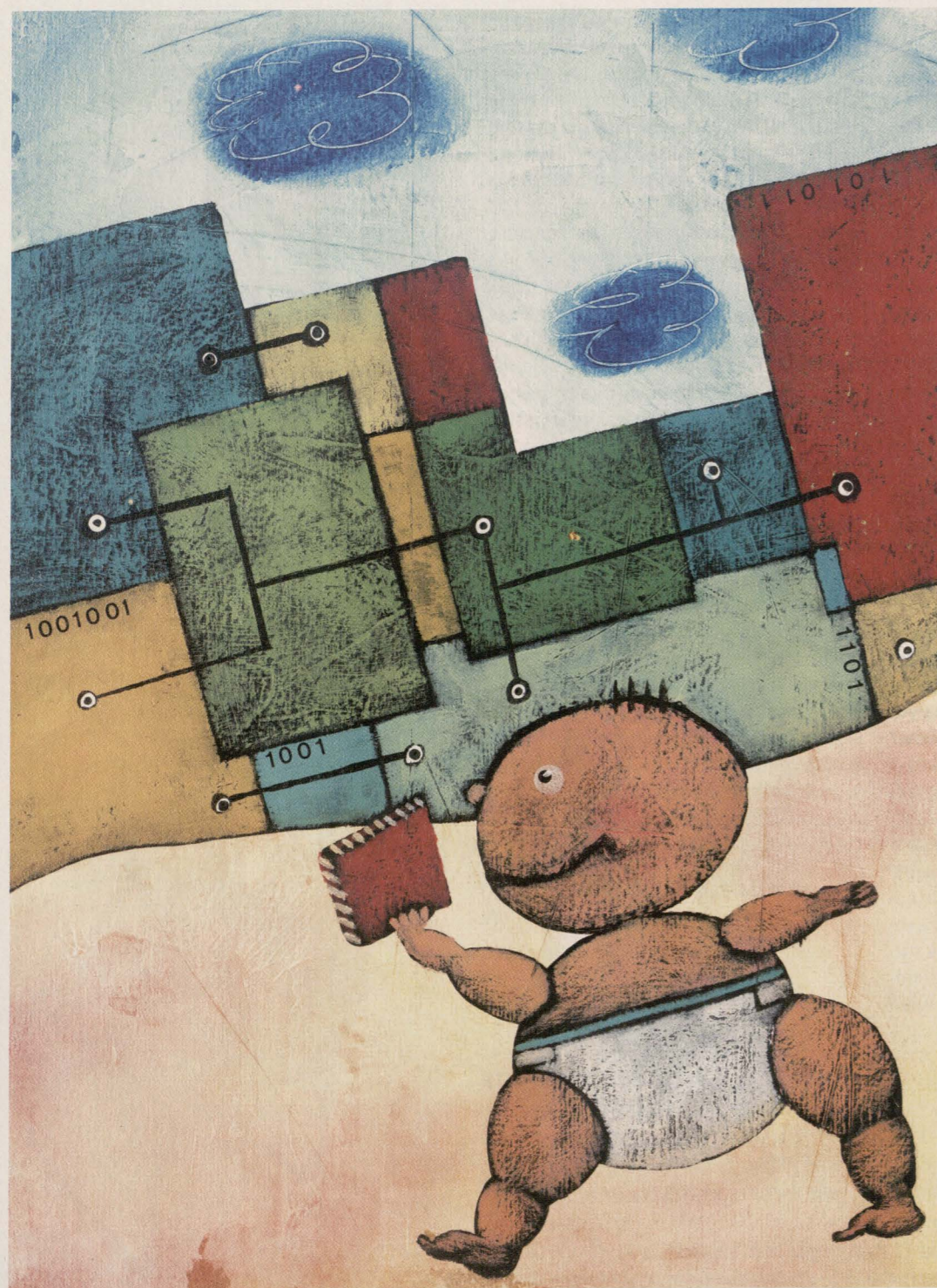


FOT. NICK DEL CALZO, 2002

Krok naprzód w pieluchach

Coraz cieńsza, coraz doskonalsza.

Pielucha jest cudem technologii. Jak mikroprocesor



By zgłębić tajemnicę pieluszki Huggies Ultratrim, najlepiej jest rozciąć ją wzdłuż szerszego boku, przez tak zwane „podwozie”. W zakładzie Lakeview amerykańskiej firmy Kimberly-Clark w Neenah pracuje kontroler, który przez cały dzień nie zajmuje się niczym innym. W koncernie zatrudniona jest również inna osoba odpowiedzialna za dokonywanie oględzin – wrywkowo sprawdza pieluszki pod kątem ewentualnych wad fabrycznych.

Ale powierzchowna inspekcja na niewiele się zdaje. Pieluszka w dotyku przypomina papierowe majtki z cienką warstwą papieru toaletowego w środku. Wystarczy jednak oderwać miękką tkaninę z wierzchu pieluszki, gdzie trafia to, co w branży eufemistycznie określa się mianem „zrzutu”. Pod nią znajduje się warstwa folii cieńsza od paska taśmy klejącej. To ona jest jednym z elementów utrzymujących suchą skórę pieluszki. Jej pory są bowiem na tyle duże, by wpuścić do środka powietrze i zapewnić przewodność, ale równocześnie dostatecznie małe, by nie przepuszczać wody, zapobiegając tym samym przemakaniu.

Można też przesunąć dłoń wzdłuż wyściółki. W dotyku przypomina ona materiał. W rzeczywistości to specjalne tworzywo sztuczne – żywica polimerowa. Maszyny przędzą z niej pojedyncze włókna, a następnie tworzą z nich swego rodzaju mikroskopijny lejek, który kieruje „zrzut” w stronę długiego, grubego prostokątnego wkładu zwanego trzonem wchłaniającym, który biegnie przez środek „podwozia”.

Typowa zawartość pieluszki napływa w tempie siedmiu mililitrów na sekundę, całkowita objętość może sięgać 70 mililitrów. Wkładka usuwa mocz w czasie krótszym niż

20 sekund. Trzon absorpcyjny może zatrzymać trzy lub więcej „zrzutów”, przy czym ryzyko przecieku nie przekracza kilku procent. Skóra dziecka pozostanie prawie zupełnie sucha, a ma to kluczowe znaczenie, ponieważ dłuższy kontakt z zawartością pieluszki (szczególnie z wodortlenkiem amonu, produktem rozkładu moczu) wywołuje zapalenie skóry.

Wszystko to jest możliwe dzięki produktowi jednorazowego użytku mierzącemu w przypadku noworodków jedynie 18 na 33 centymetry. Sekret współczesnej pieluszki sprowadza się do pytania: jak coś tak małego może tak wiele?

Mniejsze, czyli lepsze

37 lat temu pionier Krzemowej Doliny Gordon Moore wygłosił sławną przepowiednię. Stwierdził, że liczba tranzystorów, które inżynierowie będą mogli umieścić w mikroprocesorze, będzie co dwa lata ulegać podwojeniu. Było to wówczas ryzykowne twierdzenie – nikt nie wiedział, czy można zmniejszać tranzystory w nieskończoność ani czy to w ogóle ma sens.

Najczęściej, kiedy staramy się zmniejszać rzeczy, wcześniej czy później przychodzi nam za to sło- no zapłacić. Mniejszy samochód jest tańszy i zużywa mniej paliwa. Łatwiej jest nim zaparkować i manewrować, ale nigdy nie będzie on bezpieczniejszy od większego auta. W latach 50. i 60. ubiegłego stulecia radio tranzystorowe było bardzo modne – mieściło się w kieszeni i działało po włożeniu kilku baterii. Ale jakość dźwięku miała fatalną.

Prawie cały zminiaturyzowany sprzęt elektroniczny okazał się pod tym względem niedoskonały. Na klawiaturach małych telefonów komórkowych trudno wystukać numer. Na małych odbiornikach źle ogląda się telewizję. Zmniejszanie przedmiotów zazwyczaj odbywa się kosztem ich parametrów.

Niezwykłą rzeczą w przypadku mikroprocesorów było jednak to, że ich miniaturyzacja nie odbijała się ujemnie na sprawności. Zamiast 10, 20 czy stu procesorów wystarczył tylko jeden. To z kolei oznaczało, że można było umieścić je w telefonach komórkowych i *notebookach*, co wcześniej nie było możliwe. A ponie-

waż jeden mikroprocesor zastępował sto, większa moc komputera uzyskiwana była za ułamek dotychczasowej ceny. W miarę rozpowszechnienia się mikroprocesorów i wzrostu popytu potaniała również ich produkcja. Nastąpił efekt domina.

Prawo Moore'a – jak z czasem nazwano śmiałą tezę – opisuje ów rzadki przypadek, w którym nie docho- dzi do kompromisu pomiędzy rozmiarem a sprawnością urządzenia. O mikroprocesorach zaczęto mówić jako o innowacji doskonałej.

Również pieluszki straciły na wielkości. Na początku lat 80. miały trzykrotnie większą objętość niż obecnie – były grubsze i znacznie szersze w kroku. Ale w połowie tej dekady zmniejszyły się o 50 procent; w połowie lat 90. skurczyły się o jedną trzecią; za kilka lat mogą być jeszcze mniejsze.

Na zdrowy rozum zjawisku temu powinny towarzyszyć jakieś niepożądane skutki uboczne, tak jak to miało miejsce w przypadku miniaturyzacji samochodów i radia. Jak można bowiem zmniejszyć ilość wkładu w pieluszcze bez jednoczesnego ograniczenia jej zdolności do zatrzymywania „zrzutu”? Tymczasem im pieluszki są mniejsze, tym są lepsze – i to wyróżnia je spośród tysięcy innych produktów eksponowanych na półkach supermarketów.

Ulżyć dziadkom

Współczesna jednorazowa pieluszka została wynaleziona dwukrotnie. Po raz pierwszy dokonał tego Victor Mills. Potem w jego ślady poszli Carlyle Harmon i Billy Gene Harper.

Mills pracował dla firmy Procter & Gamble. Był legendą. Wymyślił prostą i tanią metodę produkcji mydła Ivory. Gdy się okazało, że firma Duncan Hines ma problem z dokładnym wymieszaniem składników ciasta w proszku, Mills rozwiązał go za pomocą maszyn używanych do wytwarzania mydła. Czy zastanawialiście się kiedyś, czemu chipsy Pringles są zawsze tego samego kształtu? Ponieważ są wytwarzane podobnie jak mydło: ziemniak jest mielony na papkę, następnie wyciskany, pieczony i pakowany. W tym również ma swój udział Victor Mills.

W roku 1957 Procter & Gamble przejęła firmę papierniczą Charmin

Paper z Green Bay. Millsowi polecono opracowanie nowych produktów dla przemysłu papierniczego. Ponieważ wynalazca był już w owym czasie dziadkiem i nigdy nie znosił prania pieluch, wpadł na pomysł stworzenia jednorazowej pieluszki. „Styszałem, że na samym początku w sklepie z zabawkami zakupiono jedną z suszących lalek – mówi Ed Rider, kierownik archiwum w Procter & Gamble. – W laboratorium lalka została ustawiona na bieżni, dzięki czemu mogła chodzić. Była pierwszym testerem pieluszek”.

Tak powstały Pampersy, które po raz pierwszy trafiły na rynek w roku 1961. Nowa pieluszka miała prosty prostokątny kształt, jej wyściółka była wykonana ze sztucznego jedwabiu, a zewnętrzna powłoka była plastikowa. Pomiędzy nimi znajdowały się liczne warstwy poła- dowanej bibuły.

W roku 1968 Kimberly-Clark wpuściła na rynek Kimbies, modyfikując kształt pieluszki, by ściślej przylegała do ciała. Osiem lat później Procter & Gamble rozpoczęła sprzedaż pieluszek Luvs, w których po raz pierwszy pojawiły się gumki wokół ud dziecka mające zapobiegać przemakaniu. Jednak producenci nadal pozostawali wierni podstawowej tezie Millsa, że wkład pochłaniający wilgoć powinien być wykonany z bibuły.

A na tym właśnie polegał problem. Nasiąknięta bibuła sprawia, że woda przedostaje się przez pieluszkę bez przeszkód, a to prowadzi do zapalenia skóry. Jeśli ściśniami bibułę bądź na niej siądziemy, odda ona część wchłoniętej wody. Sprawa pogarsza się, gdy dziecko raczkuje i chodzi, bo wówczas na pieluszkę działa ciśnienie sięgające aż pięciu kilopaskali.

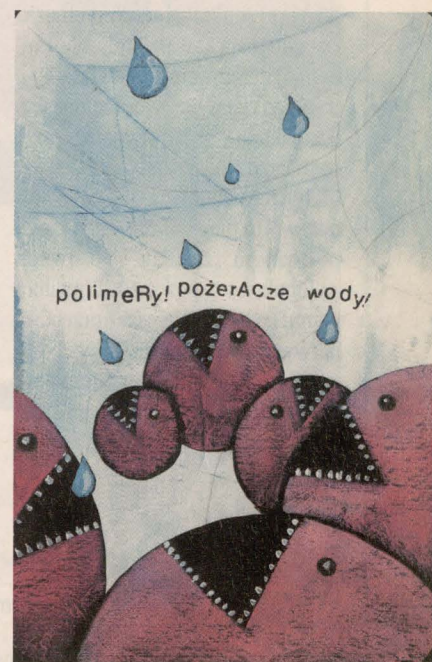
Producenci pieluszek starali się temu zaradzić, stosując zamiast bibuły tak zwany puch, czyli rozdrobnioną celulozę. Dodawali jej coraz więcej, aż pieluszki stały się olbrzymie. Była to odwrotność prawa Moore'a – „większe” miało oznaczać „lepsze”. Ale to większe nadal nie było zbyt dobre.

Bądź ze mną całą noc

Carlyle Harmon pracował dla firmy Johnson & Johnson, a Billy Gene Harper dla Dow Chemical. W roku

1966 zgłosili dwa niezależne, ale prawie identyczne wnioski patentowe, sugerując w nich, że najlepszym sposobem rozwiązania problemu przemakającej pieluszki jest zastosowanie szczególnego rodzaju polimeru. Występuje on w formie niewielkich płatków i charakteryzuje się niezwykłą zdolnością wchłaniania wody – nawet w ilości 300-krotnie przekraczającej jego wagę.

Harper i jego zespół opisali, jak zrobili prowizoryczną pieluszkę z dwóch gramów polimeru i nylo-



nowej tkaniny. Została ona następnie „oddana do osobistego użytku dziecka w wieku około sześciu miesięcy”. Po czterech godzinach pieluszkę zdjęto. Ważyła 120 gramów, co oznaczało, że płatki wchłonięły 60 razy więcej moczu, niż same ważyły.

Tak narodziła się współczesna pieluszka. Od połowy lat 80. Kimberly-Clark oraz Procter & Gamble produkują pieluszki w oparciu o technologię opracowaną przez Harpera i Harmona, zastępując bibułę polimerem o nadzwyczajnych właściwościach absorpcyjnych. Stara pieluszka mogła w najlepszym razie utrzymać 275 mililitrów płynu, czyli nieco więcej niż szklanek. Obecnie pieluszka może wchłoniąć nawet 500 mililitrów, czyli prawie dwa razy tyle.

Główną cechą pieluszki Millsa była prostota – zawartość trafiała bezpośrednio do środka. Tymczasem zastosowanie superabsorbentu

uczyniło pieluszkę produktem znacznie bardziej złożonym. Przykładowo, na pełne wchłonięcie zawartości polimer potrzebuje więcej czasu niż bibuła. Stąd pomiędzy wyściółką a trzonem pochłaniającym pojawił się kolejny komponent – warstwa przyjmująca. Jej funkcją jest zatrzymywanie „zrzutu” – dzięki czemu może on wchłaniać się powoli – i równomierne rozprowadzanie go.

Badacze pieluch czasami przeprowadzają tak zwany test ponownego moczenia – wlewają sto mililitrów płynu na wierzch pieluszki i przykładają kawałek bibuły filtracyjnej do wyściółki, wywierając na niego ciśnienie pięciu kilopaskali, czyli takie jak w przypadku przeciętnego dziecka. Współczesne pieluchy, takie jak Huggies czy Pampersy, nie przepuszczają niczego po jednym „zrzucie”. Po dwóch na bibule może pozostać 0,1 mililitra płynu. Po trzech pieluszka przepuści najwyżej dwa mililitry wilgoci – co oznacza, że dzięki polimerom para pieluszek może bez trudu wchłoniąć całonocną „produkcję” dziecka.

Pożeracze wody

Następcą Billy’ego Gene’a Harpera w firmie Dow Chemical jest Fredric Buchholz. Jego laboratorium mieści się w niskim, niepozornym budynku z cegły. „Nadal nie wiemy dokładnie, jak działają te polimery – przynajmniej badacz. – Wiemy natomiast, że pod mikroskopem przypominają one zwinętą sieć rybacką. Z chwilą pojawienia się wody nie rozpada się ona, lecz rozciąga. Dzięki temu zatrzymuje wodę” – wyjaśnia.

Jego zdaniem polimery absorpcyjne mogą znaleźć zastosowanie przy gaszeniu pożarów i nawadnianiu, ponieważ związana przez nie woda łatwiej zostaje tam, gdzie jest potrzebna. Ściany tunelu pod kanałem La Manche uszczelniono substancją zawierającą absorbent – w przypadku przecieku woda sama go uszczelni.

Jednym z głównych problemów współczesnych twórców pieluch jest sól znajdująca się w moczu, która utrudnia rozwijanie się sieci polimeru. Dlatego wchłania on 10 razy mniej stoney wody niż wody czystej. „Jeden pomysł to usunięcie soli z moczu, na przykład za pomocą filtra” – mówi Bucholz. Inna droga to optymalizacja budowy cząsteczki absorbentu – jej zdolność pochłaniania wody mogłaby wzrosnąć o kolejne 500 procent. „Wtedy mogłaby wchłaniać 1500 razy więcej, niż waży, a nie 300, jak obecnie. Moglibyśmy mieć tylko jedną doskonałą cząstkę superwydajnego absorbentu w pieluszcze. A jeśli już marzymy, to czemu nie o pieluszcze cienkiej jak bielizna?” – pyta.

Buchholz stoi pośrodku swego laboratorium, trzymając w dłoni kubek wypełniony kilkoma łyżkami płatków superabsorbentu, z których każdy jest nie większy niż ziarnko soli. „Granulat jest całkowicie nietoksyczny. Ta porcja waży około dwóch gramów” – mówi. Dolewa do kubka wody z kranu. Na początku nie widać żadnych zmian. Obie substancje zostały zmieszane w tak różnych proporcjach, że wydaje się, iż woda po prostu zaleje płatki. Ale powoli zaczyna gęstnieć; powstają niewielkie kropki żelu. Poza tym nie dzieje się nic: nie wydzielają się żadne gazy, nie ma bulgotania czy syczenia towarzyszącego reakcjom chemicznym.

Polimer pochłania wodę i w ciągu kilku minut zawartość kubka gęstnieje, stając się czymś wyglądającym jak grudkowaty, gąbczasty budyń. Buchholz podnosi kubek i przechyla go, by upewnić się, że nic się z niego nie wyleje. Bada masę palcem. Po wodzie nie pozostał żaden ślad.

Aby wchłoniąć taką ilość płynu, pieluszka Victora Millsa potrzebowałaby grubej warstwy bibuły. Buchholz posłużył się kilkoma łyżkami stołowymi płatków absorbentu. Polimer okazał się nie tylko lepszy, lecz także mniejszy.

Ekonomia miniaturyzacji

Dlaczego zmniejszenie rozmiaru pieluszki jest tak istotne? Powód wydaje się prozaiczny. Chodzi przecież głównie o wygodę rodzica, który zawozi do domu paczkę pieluszek zakupionych w supermarkecie. Jednak rozmiar ma w tym przypadku znacznie większe znaczenie. Istnieje powód, dla którego wprowadzane są „nowe, lepsze, bardziej kompaktowe” wersje proszków do prania, a niektóre płatki zbożowe sprzedawane są w mniejszych pudełkach. Miniaturyzacja jest jedną z tych zmian, której skutki odczuwalne są w całej gospodarce.

„Obniżyliśmy o połowę koszty transportu samochodowego – mówi Ralph Drayer, przez wiele lat

odpowiedzialny za logistykę w Procter & Gamble. Obecnie Drayer prowadzi własną firmę konsultingową w Cincinnati specjalizującą się w usprawnianiu łańcucha dostaw. – Udało się nam również zredukować o połowę koszty składowania, załadunku i rozładunku. Wreszcie obniżyliśmy o 50 procent koszt miejsca na półce sklepowej, który stanowi chyba największą pozycję w całym łańcuchu dostaw” – wyjaśnia.

Wszystko w tej branży, począwszy od decyzji o zamknięciu fabryki, poprzez wybór tras dostaw, a na usprawnieniach produktów i wyborze oraz wygodzie konsumentów skończywszy, wynika z faktu, że wkładka pochłaniająca wilgoć opracowana przez Harmona i Harpera jest mniejsza od tej wynalezionej przez Victora Millsa.

Umieszczenie 64 tranzystorów w mikroprocesorze umożliwiło ludziom snucie marzeń o przyszłości. Upchanie tam czterech milionów tranzystorów pozwoliło im owe marzenia urzeczywistnić. Podobnie rzecz się ma z pieluszką.

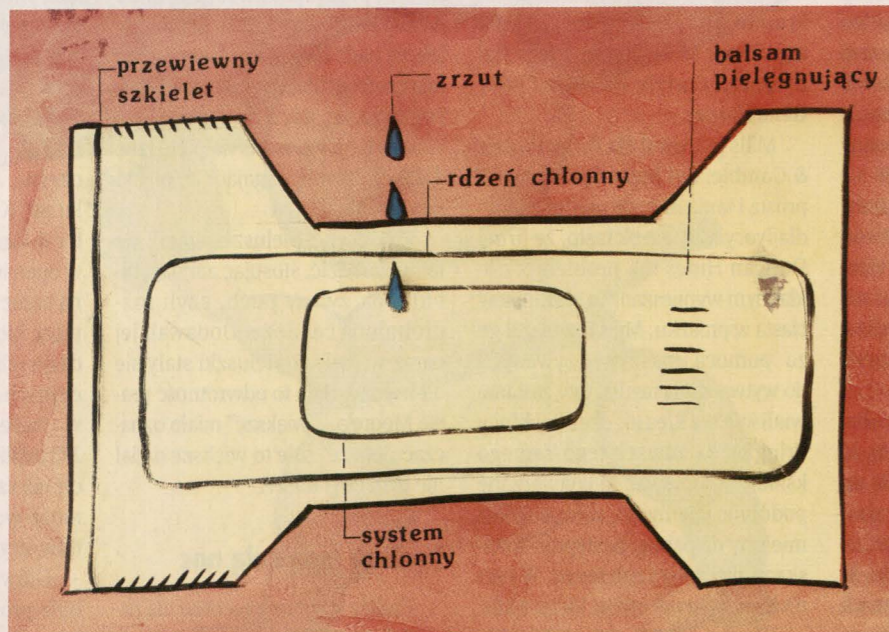
Bibułowa wersja na zawsze odmieniła pielęgnację małych dzieci. Ale pieluszka – która jest w stanie zatrzymać cztery „zrzuty” i nadal nie przemaka, tym samym chroniąc skórę dziecka przed wilgocią, która neutralizuje swą zawartość w czasie krótszym niż 20 sekund, znajduje się prawie zawsze na półce sklepowej, nawet gdy w supermarkecie zjawiają się o ósmej wieczorem, i która rok po roku będzie coraz doskonalsza pod wszystkimi tymi względami – jest zupełnie czymś wyjątkowym.

Czymś więcej niż tylko dobrym pomysłem. Taki produkt jest bliski ideału.

MALCOLM GLADWELL

Tłumaczenie Maciej Smoczyński

Skróty, tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji. Tekst ukazał się po raz pierwszy w tygodniku „New Yorker”. Pełna wersja jest dostępna w Internecie na stronie www.gladwell.com



Uproszczony schemat konstrukcji pieluchy. Niepozorne wewnątrz kryje najnowszą technologię

Wszystko dla pań

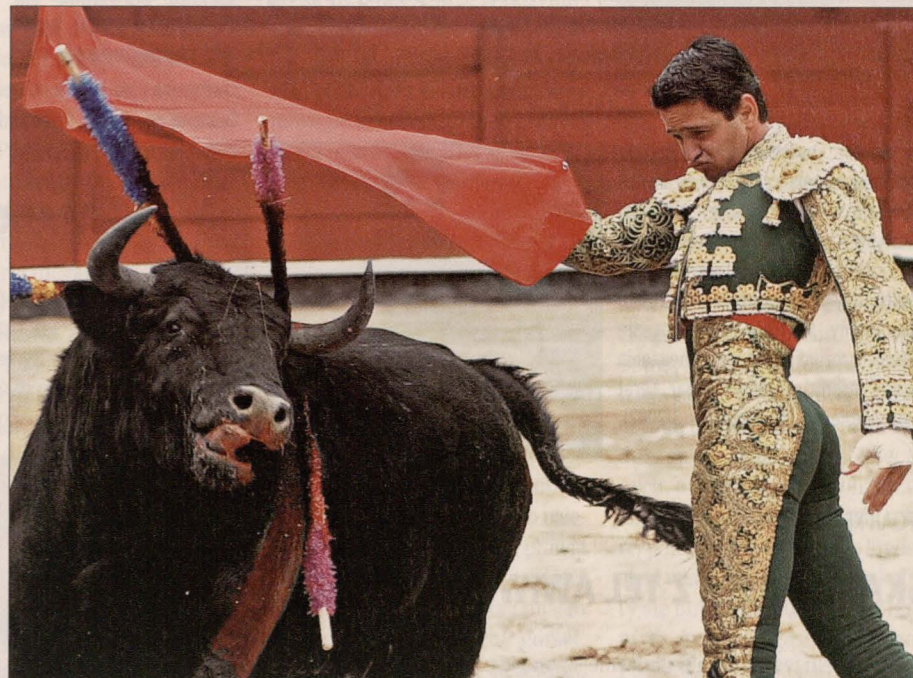
Coś, co uznawałem dotąd za bezsensowne okrucieństwo, postrzegam teraz jako rytuał uwodzenia

Wicher łomocze o szybę strugami lodowatego deszczu. To późna wiosna w Andaluzji, europejskim przedmurzu Afryki. Jestem sto kilometrów od Gibraltaru i boję się wyjść na dwór, bo pogoda gorsza niż w Polsce. Pomysleć, że gdzieś na tej samej mapie lśnią bajkowe nazwy: Sewilla, Granada, Kordoba, Kadyks... A ja od kilku dni siedzę w małym miasteczku Ronda, słynącym z trzech rzeczy. Po pierwsze, rozdziela je na pół potężna, stu-metrowej głębokości rozpadlina sprawiająca wrażenie, jakby Ronda cierpiała na zajęczą wargę. Po drugie, spoczywają tu prochy Orsona Wellesa. Po trzecie, Ronda może uchodzić za ojczyznę współczesnej korridy: tu narodziły się reguły pieszej walki z bykiem, tu też znajduje się jedna z najstarszych aren. Ale nie o bykach chcę pisać – toreadorzy nie pracują w takim chłódzie, zresztą najbliższy pokaz prawdziwej tauromachii odbędzie się podczas wrześniowego jarmarku.

Schroniłem się właśnie przed mrozną ulewą w barze wielkości szafy na ubrania, zamawiam piwo – i po trzecim łyku jestem już kumplem barmana. Santiago ma na oko pod sześćdziesiątkę, mówi z andaluzyjską, połykając spółgłoski, ale wkrótce świetnie się rozumiemy.

– Jak tak leje, to na turystach nie zarobisz – rzucam współczująco. Santiago jedną ręką podsuwa mi tortillę i smażone sardynki na zagrzechę, drugą pokazuje coś przez zalaną szybę. – Turyści są cały rok – mamrocze – ale wstyd, co muszą oglądać...

Patrzę: fasada pałacu, stare domy z pięknie kutymi balustradami balkonów, tu i ówdzie stary herb nad wejściem. O co chodzi? – Kable – Santiago zgaduje przyczynę mojej dezorientacji. – Są wszędzie. Fakt, po murach pnie się bluszcz przewodów, co jakiś czas przeskakuje nad jezdnią i kolonizuje dom naprzeciwko. Barman stuka palcem w lokalną gazetę „Ronda Semanal”. Problem głupich instalacji elektrycznych spędza sen z powiek miejscowym dziennikarzom i politykom. Pierwsza myśl: naprawdę nie ma większych zmartwień? I zaraz opamiętanie: a właściwie czemu nie? Co dziwnego w tym, że im zależy, by żadnego miasteczka nie szpeciła czarna, elektryczna pajęczyna? Czemu coś, co powinno być normą, uznałem za dziwactwo? To społeczeństwo jest chore na normalność: tak



„Ten, który zabija” ma należycie arogancką minę i ruchy tancerza flamenco

mało tu ksenofobii, tak mało rasizmu, tak dużo troski o dobre samopoczucie przybyszów.

Do baru wszedł sąsiad z góry, woła od progu: – Santiago, włącz, w Sewilli już się zaczęło!

Po chwili na ekranie telewizora pod sufitem widzimy zatłoczoną widownię słynnej sewilskiej areny Real Maestranza. Czyli jednak będzie o bykach. Ten jest przepisowo czarny, ogromny, z klasycznymi rogami jak z książki dla dzieci. Zdradzę zakończenie: on umrze. Przy ludziach machających wokół niego mulety wydaje się gigantem. Okrutny spektakl – jak chcą niektórzy, krwawy balet – mówią inni. Scena ma w sobie coś z tańca. Banderillierzy i pikadorzy okrążają bestię w wystudionym pas, głaszcząc muleta miach przed jej pyskiem. Samiec, choć kolorów nie rozróżnia, raz po raz przecieć podbiega do czerwonej płachty – i przystaje wyprostowany, jakby sam się zastanawiał nad zakończeniem tego wszystkiego. Niebawem, przyozdobiony wbitymi w tęgi kark krótkimi, barwnymi banderillami, spotyka się wreszcie ze swym losem w osobie młodego Juliana Lopeza zwanego El Juli.

Matador – dosłownie „ten, który zabija” – ma należycie arogancką minę i ruchy tancerza fla-

menco. Przypatruję się częściom jego ciała. Usta otwarte, wargi wydęte jak u pływaka. Głowa przed bykiem skłonią, unosi się dumnie, gdy zwrócona jest ku publiczności. Ręce wyciągnięte, staw łokciowy niemal nieużywany. Nogi sztywne, wyprężone. Wreszcie biodra. Kolejne ewolucje El Juli puentuje zwrotem do widzów i wówczas wysuwa lędźwie do przodu. Zbliżenia kamery telewizyjnej wyławiają uniesienie mężczyzny i urzeczony twarz kobiet. Oto kolejna prawda, która precz wygania stereotyp ciężący na obrazie Hiszpanów. *Machismo*, a więc kult męskości, przybiera tu formę kultu kobiet. Chcąc na nich zrobić wrażenie, *torero* wystawia się publicznie na szwank, jest gotów złożyć im w ofierze własne życie. Coś, co w ślad za popularną opinią uznawałem dotąd za bezsensowne okrucieństwo, postrzegam teraz jako rytuał uwodzenia. Bezwzględny, zgoda. Niejeden powie: byk nie ma szans, jest od początku przegrany. Tak? Wobec tego zapraszam na arenę. Kobiety wyszły już z domów, w których niepodzielnie rządzą, i czekają, byś je uwiódł swym łatwym męstwem, dziarski krytyku. *Olé!*

FILIP ŁOBODZIŃSKI

MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE (5-19 maja)

Półowa maja to jedna z ważniejszych dat dla wydawców książek – wszyscy szykują na Targi najsmaczniejsze kąski. W tym roku 47. Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie będą nieco skromniejsze niż w poprzednich latach: 489 wystawców (183 polskich i 306 zagranicznych) na 207 stoiskach. Na rynku wydawniczym ciągle trwa zapaść, chociaż niektórzy przebąkują, że coś

się zaczyna zmieniać. Pojawią się gwiazdy: przyjedzie Carlos Fuentes, który rok temu odwołał swoją wizytę, Etgar Keret, A.B. Jechoszua i Hari Kunzru – autor najdroższego europejskiego debiutu tego roku, powieści „Impresjonista” – a także wielu pisarzy i publicystów z Europy Środkowo-Wschodniej (gośćmi honorowymi będą Litwa i Łotwa). Ciekawie zapowiada się cykl

spotkań „Europa, Europa... Sąsiedzi” i „Pamięć, nostalgia, wymazywanie”. Targi tak jak w poprzednich latach odbędą się w Pałacu Kultury i znowu usłyszymy narzekania na ścisk i duchotę. My to lubimy – Targi będą instynkt towcy, a książki na półkach pachną jeszcze drukarnią. Prezentujemy dziś wybranych gości Targów, autorów i kilka nowości, które szczególnie polecamy. (JS)

„W moim opowiadaniu »Pizzeria Kamikaze« samobójcy dopiero po śmierci spotykają się jako ludzie, nie jako Palestyńczycy i Izraelczycy. Porozumienie jest możliwe, kiedy przekroczy się ideologiczny punkt widzenia. Tymczasem obie strony konfliktu nie chcą się nawzajem rozumieć, nie widzą cierpienia drugiej strony” – mówił Etgar Keret w wywiadzie dla „Przekroju” (nr 3/2002).



FOT. MICHAŁ SADOWSKI/KECZ/PROSPO/LITUA

ETGAR KERET

SKANDALISTA Z TEL AWIWU

W Izraelu jest dziś najpopularniejszym pisarzem młodszego pokolenia (urodził się w 1967). 30-letni Etgar Keret i jego rówieśnicy wprowadzili do literatury hebrajskiej tematy do tej pory nieobecne: codzienność, język ulicy, groteskę. Sławę skandalisty zyskał po wydaniu opowiadania „Śmierć Rabina” – o kocie Rabinie przejechanym przez motocykl. Ukazało się ono po śmierci premiera Icchaka Rabina. W Izraelu Keret bywa atakowany za to, że nie jest moralizatorem, a jego książki dystansują się wobec polityki. „Moje historie wydobywają paradoksy i sprzeczności życia. Ludzie nie dzielą się przecież na dobrych i złych. Robią różne rzeczy, a ja odczuwam wobec nich empatię”. Prawdopodobnie w czasie Targów Książki dojdzie do ciekawego spotkania – przyjeżdża bowiem znany pisarz izraelski starszego pokolenia A.B. Jechoszua, który onegdaj zarzucał Keretowi niewłaściwy stosunek do państwa.

Keret pisze też scenariusze; w Ameryce za scenariusz do filmu „Szalony klej” dostał nagrodę MTV, rzecz podobała się Quentinowi Tarantino. W Polsce gościł ostatnio w grudniu 2001, kiedy ukazała się książka „Pizzeria Kamikaze” (Świat Literacki, Warszawa 2001). Spotkaliśmy go wtedy wieczorem w Warszawie; przez cały dzień udzielał wywiadów. „To było ciekawe, bo u was (w przeciwieństwie do Ameryki) każdy dziennikarz pyta o co innego i z reguły dużo wie o Izraelu. Poza tym Polacy mają za sobą podobne doświadczenie: u was też kiedyś narzucano z góry, jak należy pisać”.

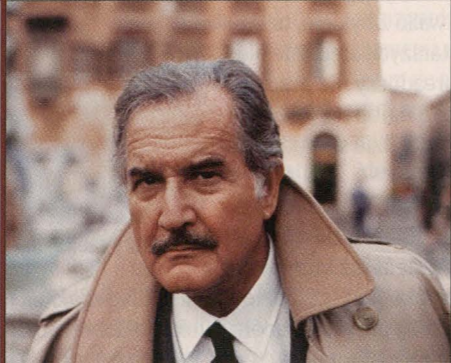
Rodzice Kereta pochodzą z Polski, wyjechali w roku 1948. Jako przedstawiciele pokolenia syjonistów uważali, że należy całkowicie oderwać się od korzeni i budować nowe państwo. Nie rozmawiali po polsku, nie opowiadali synowi o przeszłości. Kiedy Keret ostatnio przywiózł matce kupione w Polsce przy szosie poziomki, bezwiednie zaczęła mówić po polsku. Brat Etgara działa w ruchu na rzecz legalizacji marihuany i startował nawet w wyborach parlamentarnych. Siostra z kolei jest ortodoksyjną Żydówką, ma 10 dzieci. „Jedną z moich książek zadedykowałem siostrzeńcom – niestety rabin zakazał im ją czytać” – opowiadał w „Przekroju”. (JS)

Etgar Keret będzie gościł na Targach na zaproszenie „Świata Literackiego”

CARLOS FUENTES

AMBASADOR UTOPII

„Nie potrafię prześledzić mojej genealogii dalej niż do moich pradziadków” – tak rozpoczyna się szkic Carlosa Fuentes’a „Rodzina”. Może to, a może życie w nieustannej podróży spowodowało, że centralnym motywem twórczości wybitnego meksykańskiego pisarza jest tożsamość. Począwszy od debiutanckiej „Los días enmascarados” (1954)



FOT. CORBISS/FREE

przez „Krajinę najczystszej powietrza” (1959), monumentalną „Terra Nostra” (1975) po ostatnie dzieła, powraca na kartach jego prozy pytanie, co to znaczy być Meksykaninem, Latynosem, Hiszpanem, mieszkańcem Nowego bądź Starego Świata. A co to znaczy być Fuentesem?

To znaczy jeździć. Pracować jako ambasador. Pisać eseje i scenariusze filmowe. Wykładać na pięciu amerykańskich uniwersytetach. Władać biegle kilkoma językami. Odbierać nagrodę za nagrodą. Odtwarzać utraconą różnorodność w pierwotnie jednolitym hispanojęzycznym świecie. „Nowy Świat powstał jako utopia – mówi. – A utopia to znaczy miejsce, którego nie ma. Musimy je sobie na nowo wyobrazić i stworzyć”.

Swoje dzieła pisarz grupuje od lat w jeden cykl zatytułowany „Wiek czasu”, upodabniając się niejako do latynoskiego Balzaca. Często ucieka się do retrospekcji, introspekcji i przerywanej narracji, czym niewątpliwie spłaca dług zaciągnięty poprzez fascynację twórczością pisarzy amerykańskich. Gdyby chcieć określić jego prozę jednym przymiotnikiem, chyba najważniejsze byłoby słowo „gesta”. Nie tylko dla dusznej atmosfery „Aury” czy „Terra Nostra”. Jest gesta od tropów, znaczeń, cywilizacyjnych aluzji. Niestety, jest może zbyt solenna, zbyt świadoma własnej doniosłości. Fuentesowi brakuje tylko jednej rzeczy, by zasłużyć na miano geniusza: *esprit*, owej nieuchwytnej wróżki, która sprawiałaby, że wracasz do jego książek z przyjemnością. Lektura Carlosa Fuentes’a to zadanie, to praca.

Dla wszystkich tych, którzy pracę taką przedkładają ponad uśmiech przy czytaniu Gabriela Garcíi Marqueza czy Maria Vargasa Llosy, Świat Książki ma dobrą wiadomość: 73-letni pisarz będzie gościem majowych Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie. Wydawnictwo uczci w ten sposób publikację najnowszego tłumaczenia jego prozy na polski – „Instynktu pięknej Inez”. (FL)



FOT. ARCHIWUM WYD. ŚWIATA LITERACKIEGO

ČZYTAĆ HRABALA

to rozkasz, ale napić się z Hrabalem, pogadać z Hrabalem – to by było dopiero. Nie bez powodu do jego stolika wpraskiej knajpie ustawiały się koleki. Pewien Węgier nękał pisarza tak wytrwale, że wyszedł z tego wywiad-rzeka, kapryśny i potoczył się jak nurty Wełtawy. O książkach, o Europie Środkowej, o miłości do kotów, o filozofii i małżeństwie, a także o tym, jak powstawały poszczególne powieści. Nieważne zresztą, o czym była mowa, ważne, jak to zostało opowiedziane. Mamy wrażenie, że siedzimy w wielkim gawędziarzem twarzą w twarz i dzieli nam tylko Pilsner u Złatego Tigra. Dobrze, że doszło do takiego spotkania, bo chociaż Hrabal opowiadał o sobie w wielu książkach, w tym wywiadzie dał się poznać z nowej strony. Wiemy, że dużo czytał, zaskakuje dużo jak na swój towarzyski tryb życia. O ulubionych pisarzach opowiada tutaj z erudycją i wyczuciem metafory, błyskotliwie wiąże europejskie wątki i po raz kolejny sprawia, że bliżej nam do Czechów. Cała rozmowa ma dramaturgię gry: młody dziennikarz zadaje poważne pytania, a stary pisarz kluczy, zmienia temat, „drybluje na chustce do nosa”. Czasami szarżuje i przesadza, niekiedy po prostu zmyśla, ale robi to w zbożnym celu: próbuje wytłumaczyć swemu rozmówcy, na czym polega sławetna praska ironia. Pod koniec okazuje się, że László Szigetzi czegoś się jednak nauczył, a przy okazji my też. (JJ)

„Dryblung Higegekutiego, czyli rozmowy z Hrabalem”, rozmawia László Szigetzi, przeł. Aleksander Kaczorowski, Świat Literacki, Warszawa 2002

Wśród gości: JURIJ ANDRUCHOWYCZ, CARLOS FUENTES, HENRYK GRYNBERG, MARIUS IVASKEVICIUS, A.B. JECHOSZUA, ETGAR KERET, HARI KUNZRU, TARAS PROHAŠKO

TARAS PROHAŠKO

Ukraińskie halucynacje

JAN STRZAŁKA: W Twoich opowiadaniach z tomu „Inne życie Anny” nie pojawia się konkretne miejsce na mapie, lecz czuć w nich ducha starej, dobrej Galicji, dziś Ukrainy Zachodniej. Urodziłeś się i mieszkasz w Stanisławowie... Co to za miasto? TARAS PROHAŠKO: Stanisławów nie jest już tym miastem, jakim był przed wojną. Dziś to po prostu Iwano-Frankowsk. W jednym tylko historycznym budynku – jak kiedyś, tak i dziś na rogatkach Stanisławowa zaczyna się szlak wiodący ku ukraińskim Karpatom. Przed trzema laty wędrowałem po Karpatach z Andrzejem Stasiukiem i z pisarzem Jurijem Andruchowyczem, wspólnie zdobyliśmy Czarnohorę, najwyższy szczyt karpacki na Ukrainie.

Stary Stanisławów nie istnieje, lecz Iwano-Frankowsk nie jest ziemią jałową czy pustynią. W połowie lat 80. nastąpił tu boom literacki, pojawili się młodzi prozaicy i poeci, którzy w atmosferze skandalu – bo zrywali z socjalistycznymi kanonami sztuki – wpuścili do literatury ukraińskiej ducha współczesności, parodii, kpiny i eksperymentu. Myślę o grupie Bu-Ba-Bu, do której należeli między innymi Jurij Andruchowycz i Jurko Izdryk. Nazwa grupy utworzona została od słów: burleska, bałagan, co po ukraińsku znaczy chaos, oraz buda – w domyśle jarmarczyna – co wywołuje skojarzenia z cyrkiem i karnawałowym szaleństwem. Ci pisarze kochają ukraińską prowincję i choć zdobyli sławę, nadal żyją w Stanisławowie.

Tarasie, nosisz ukraińskie imię, ale czeskie nazwisko. Na dodatek biegle mówisz po polsku...

– Mój dziadek był Czechem z Zaolzia, ot i cała tajemnica. Kiedy Niemcy podarowali Polsce Zaolzie, władze sanacyjne przesiedliły rodowitych mieszkańców na Kresy, zatem od trzech pokoleń nasza rodzina żyje w Stanisławowie. Dziadek służył jako podoficer w armii

polskiej i zginął podczas kampanii wrześniowej, może zamordowano go na Ukrainie, może w Katyniu. Ukraina była zawsze tygłem narodowościowym. Moja żona na przykład pochodzi z Zakarpacia i nieźle mówi po węgiersku. Choć związki mojej rodziny z Polską są silne, jestem tu właściwie pierwszy raz.

Chociaż znasz Lwów.

– Lwów stał się dla mnie niesłychanie ważnym doświadczeniem. Przybyłem tam jako młody człowiek i odkryłem nieznaną świat. Niestety, musiałem przerwać studia, by odbyć zaszczytną służbę w Armii Czerwonej – po pierwszym roku każdy student musiał odbyć dwa lata. Odslużywszy, co należy, powróciłem do Lwowa i prawie go nie poznałem, bo – co za radość! – zaczęła się pierestrojka i miasto zrzuciło komunistyczny gorset. Mieszkałem we Lwowie siedem lat, kiedy więc przed paru dniami



FOT. WYD. CZARNE

gdzieś w środkowej Europie: czytam o konfiturach, o potrawach duszonych, o kabaczkach, fasoli, grzybkach, konfiturach i deserach, o starej porcelanie i secesyjnym kredensie. I widzę, że się udało, bo kobiety się budzą i wsłuchują uważnie w te wariacje gastronomiczne. Po spotkaniu kilka pań pogratulowało mi, że potrafię pięknie pisać!

W czasie Targów odbędzie się międzynarodowe spotkanie pisarzy i publicystów „Pamięć, nostalgia, wymazywanie”. Wśród uczestników będzie znany ukraiński pisarz Taras Prohaško, którego pierwsza książka po polsku „Inne dni Anny” ukazała się niedawno w wydawnictwie Czarne.

pierwszy raz ujrzałem Kraków – siedzimy w pubie Alchemia na Kazimierzu i czuję niesamowity *charme* krakowski – nie doznałem szoku kulturowego, bo znając Lwów, czuję się tu jak u siebie w domu.

Świat Twoich opowiadań jest odrealniony. Jak tę „halucynacyjną” prozę przyjmują ukraińscy czytelnicy?

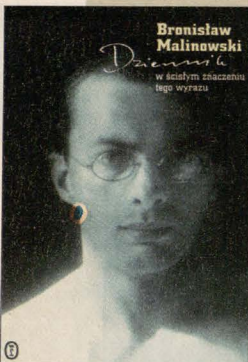
– Niedaleko od Stanisławowa mieszka ambitny księgarz. Stara się, by do jego prowincjonalnej księgarni docierała każda ważna książka. Zaprościł mnie kiedyś na spotkanie z miejscowymi czytelnikami – o dziwo, znalazło się wśród nich sporo ludzi starych. Czyżby starszyski – myślałem – interesowały się awangardową prozą? Szybko się wyjaśniło, że zważyła je reklama: zapowiedziany zostałem jako pisarz pocho-

Inne z moich opowiadań, „Wokół jeziora”, wiele zawdzięcza medytacji hinduskiej. Pewnego razu zaproszono mnie na wieczór autorski w Kijowie. Przed spotkaniem dopadła mnie grupka młodzieży polującej na autografy. Poczuję dumę, myśląc, że jestem niebawale sławny. Zrzędała mi mina, kiedy okazało się, że mam przed sobą narkomanów. Przeczytawszy moje opowiadania, doszli do wniosku, że muszę być co najmniej palaczem opium. Prawdziwy literacki guru dla narkomanów!

Ale nie jesteś piewca narkotycznych tripów...

– Nie, ale dla nich nim pozostaję... Czytelnicy są różni, jednych pociągają grzybki duszone, a innych halucynogenne.

Rozmawiał JAN STRZAŁKA



CIOCI Jot. (straszna rzecz!), ostatnia pol[ucja] homos[eksualna] do Żyda w cha[łfacie]! Nad ramię czułem się zmęczony i jakiś pozb[awiony] energii i »dosypiałem«. To fragment jednego

z najszczerzych dzienników, jaki zdarzyło mi się czytać. „Dziennika...” od dawna owianego legendą w środowiskach antropologicznych. Publikacja fragmentów w języku angielskim w roku 1967 doprowadziła do załamania się wiary w możliwość obiektywnego naukowego opisu. „Dziennik w ścisłym znaczeniu tego wyrazu” Bronisława Malinowskiego wart jest dziś czytania nie tylko ze względu na swoje przełomowe znaczenie dla antropologii społecznej. Bronisław Malinowski jest bowiem jedną z najciekawszych postaci moderny krakowsko-zakopiańskiej. Środowiska, które stworzyło takich artystów jak Witkacy czy Chwistek. Sam Malinowski, jeden z największych antropologów XX wieku, to przecież także postać poniekąd literacka. To jego rysy w „Nietocie”, słynnej powieści Tadeusza Micińskiego, ma postać Kserksesa Jakszmy, to jego do złudzenia przypomina książkę Edgar Nevermore z „622 upadków Bungo” Witkacego, za sprawą którego Bungo (czyli sam Witkacy) doznaje homoerotycznych wtajemniczeń. Zapiski w „Dzienniku...” (lata 1908–1914) w pełni oddają intelektualny klimat tamtych czasów, kiedy dyskusje etyczne i estetyczne nieodmiennie przenikały się z kwestią metafizyczności i demoniczności płci. Atmosfera intelektualna środowiska wymuszała także konieczność ciągłej analizy własnego postępowania i projektowanie własnego rozwoju. Temu miał przeciwieństwo służyć „Dziennik...”. Wygląda więc na to, że całemu zamieszaniu wokół osoby Malinowskiego, jakie wybuchło po roku 1967, winny jest – jak zwykle – Witkacy. (ŁK)

Bronisław Malinowski „Dziennik w ścisłym znaczeniu tego wyrazu”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002

WIKTOR PIELEWIN

PEPSI = POPKULTURA = PIELEWIN?

Najbardziej zagadkowy pisarz pokolenia 30-latków” debiutował w roku 1989. Jego pierwsze opowiadania docierały do wąskiego grona czytelników fantastyki. Przełom dokonał się po opublikowaniu w czasopiśmie „Znamia” opowieści „Omon Ra”, gdzie historia radzieckiej kosmonautyki została przedstawiona jako wielkie i krwawe szalbierstwo. Niedługo potem wydał zbiór opowiadań „Niebieska latarnia” (wyróżniony nagrodą Małego Bookera za rok 1992) i powieści „Życie owadów” oraz „Żółta strzała”, dzięki którym zyskał pozycję jednego z najpopularniejszych autorów.

Pielewin jest wnikliwym obserwatorem współczesności, z niezwykłą wyrazistością rysuje ludzkie typy. Mówi się o nim, że to „prorok we własnym kraju”, „ekspert ds. epoki”, a nawet, że sam stworzył własną epokę, która tak jak jego twórczość i jak on sam nie mieści się w żadnych ramach. Opisuje pogranicze różnych, przenikających się, rzeczywistości. Jego bohaterowie przechodzą nieoczekiwane metamorfozy, osiągają odmienne stany świadomości poprzez alkohol i narkotyki, a przy tym wszystkim wiodą spory teozoficzne, kontaktują się z tajemniczymi istotami. Ludzie zamieniają się tam w robaki, bohaterowie gier komputerowych w ludzi, życiem politycznym kraju sterują hakerzy i programiści, a mityczny chiński świat podziemny znajduje się akurat pod Moskwą.

Amerkańscy krytycy porównują go z Bułhakowem i Josephem Hellerem. Wielkim sukcesem został uwięziony podbój Anglii, Francji, Niemiec czy Japonii. Czytelnicy francuscy okrzyknęli go „nowym Gogolem”. „Le Monde” pisał: „Pielewin stał się dziś przedmiotem światowego kultu”, zaś „New Yorker” wymieniał go wśród sześciu najlepszych pisarzy Europy. Dlatego gdy obwieścił, że zabiera się do pracy nad nową powieścią, prawa do przekładów zakupiono, zanim „Generacja P” została ukończona. W Rosji historia o nowym pokoleniu P (pokoleniu Pepsi? popkultury? wyznawców Pielewina?) również wzbudzała ogromne emocje. W Internecie pojawiały się głosy na jej temat, fragmenty, a nawet recenzje nieopublikowanego jeszcze utworu. Jak każda książka Pielewina, również ta odniosła ogromny sukces u czytelników i spotkała się z ogromną... nieprzychylnością prasy. Jednakże protesty prasy mają nikły wpływ na rosyjskiego czytelnika i miliony egzemplarzy znikają z półek. Nie da się jednak zaprzeczyć, że jest to najsłabsza spośród jego książek.

Pielewina nie rozpieszczają rosyjscy krytycy. Mają mu za złe, że przez wiele lat prowadził „podwójne życie”, to znaczy nie udzielał w Rosji wywiadów, na okładkach swych książek zamieszczał portret z zakrytą dłońmi twarzą w ciemnych okularach. Budował wokół swej osoby aurę tajemniczości. Chodziły nawet słuchy, że żaden Pielewin nie istnieje, zaś książki pod tym nazwiskiem pisze komputer! Natomiast w tym samym czasie za granicą dość często ukazywały się wywiady z pisarzem opatrzone jego licznymi fotografiami.

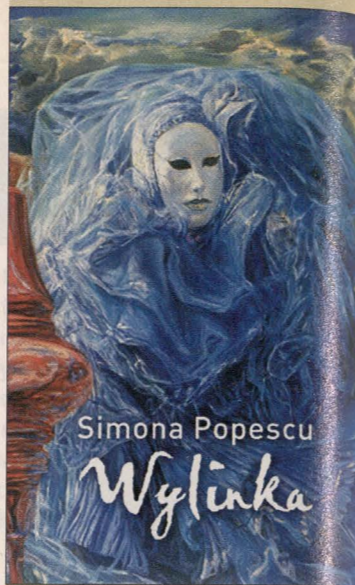
Niewątpliwą załugą Pielewina jest to, że udało mu się przyciągnąć masowego czytelnika do literatury, zaważając młodzież, szczególnie tak zwaną internetową. Może właśnie dlatego, że w jego twórczości krzyżują się drogi Literatury i popkultury, udało mu się przekroczyć trudną do pokonania barierę: kupują go i czytają praktycznie wszyscy.

AGNIESZKA LUBOMIRA PIOTROWSKA

Powieść „Generacja P” ukaza się nakładem wydawnictwa W.A.B.



FOT. EAST NEWS



KSIAZKA POPESCU

pokazuje „piekielny raj” dzieciństwa – poznajemy go oczami małej, potem dorastającej, dziewczynki. Razem z nią przez dziurkę od klucza podglądamy dorosłą kobietę w kąpieli: „Nie sądzę, żebym od tamtej pory widziała coś zdrowszego i czystsze, różowego jak sorbet z róży i delikatnego jak mięso ryby”. Okrutną i fascynującą naturę świata odkrywa przed bohaterką książka kucharska, w której można znaleźć łagodną krainę słodkości i piekło patroszenia, skubania i krojenia. Każdy rozdział opisuje inną sferę doświadczeń: popołudniowy sen, samotność, kryjówkę, milczenie. Dziecko ma u Simony Popescu dostęp do wszelkich doznań, zna wszelkie odmiany ciszy, poznaje zawiłości czasu, wie, co znaczy nie istnieć. Składamy się z rozmaitych powłok, twierdzi Popescu, co kilka lat zmieniamy skórę – linieujemy – wydaje się, że jesteśmy już kimś innym. Czasem tylko udaje się nam, może pod wpływem jakiejś książki, scalić te wszystkie wrażenia, osoby, którymi byliśmy kiedyś, w jedną postać. Książka Popescu jest właśnie kolekcją wylinek – powłok, które tworzą jedną osobę. U Popescu odnajdujemy zapis intensywnego odczuwania świata, jaki możemy pamiętać z własnego dzieciństwa. W dodatku Popescu przekonuje nas, że ta kraina nie jest wcale utracona: „Moja pamięć nie jest szafą z archiwalnymi dokumentami”. Dzieciństwo wcale nie mija, jesteśmy tam nadal. (JS)

Simona Popescu „Wylinka”, przeł. Justyna Strużińska, wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2002

Są tacy miłośnicy książek, którzy zaginają rogi stron, i tacy, którzy nie znoszą tego zwyczaju. Eseje Anne Fadiman są dla jednych i drugich. Dla wszystkich, których prywatna historia składa się z książek czytanych w różnych momentach życia

ZAŚLUBINY KSIĘGOZBIORÓW

Rozdział z książki „Ex Libris. Wyznania prostego czytelnika”

ANNE FADIMAN

Kilka miesięcy temu mój mąż i ja postanowiliśmy połączyć nasze księgozbiory. Znamy się od dziecięcych lat, mieszkamy razem od sześciu, od pięciu jesteśmy małżeństwem. Nasze kubki do kawy, choć nie od pary, rezydowały w przyjaźni na jednej półce; pożyczaliśmy od siebie koszulki, a nawet, przyciśnięci potrzebą, skarpetki; nasze kolekcje płyt dawno już zżyły się ze sobą bez jednego zgrzytu, moje motety Josquina des Prés tuliły się do George’owego „Worst of Jefferson Airplane” ku obopólnemu zadowoleniu. Jednak nasze książki wciąż mieszkają osobno, moje głównie w północnym krańcu naszego strychu, jego – w południowym. Zgadaliśmy się ze sobą, że to bez sensu, żeby mój „Billy Budd” usychał z tęsknoty czterdzięci stóp od jego „Moby Dicka”, ale żadne z nas nie kiwnęło palcem, by ich ze sobą połączyć.

Wzięliśmy ślub tutaj, na strychu, na oczach naszych rozdzielonych Melville’ów. Przyrzeczenie sobie wzajemnej miłości, w bogactwie i w biedzie, w zdrowiu i w chorobie – a nawet tego, że nigdy już nie spojrzemy na nikogo innego – było dla nas fraszką, ale to dobrze, że tekst przysięgi małżeńskiej nie wspominał słowem o połączeniu naszych bibliotek i wyrzuceniu podwójnych egzemplarzy. To już by była o wiele



RYSUNKI MARIANNA SZTYMA

poważniejsza sprawa i całkiem możliwe, że ku konsternacji wszystkich zebranych ceremonia utknęłaby w martwym punkcie. Jesteśmy oboje pisarzami i lokujemy w swoich książkach sentymenty, które większość ludzi rezerwuje dla starych listów miłosnych. Wspólnota łoża i przyszłości stanowiła dziecięcą igraszkę w porównaniu z podzieleniem się moim egzemplarzem „Wierszy zebranych” W.B. Yeatsa, z którego czytałam raz na głos „U podnóża Ben Bulben” nad mogiłą Yeatsa w Drumcliff, czy egzemplarzem „Wierszy wybranych” T.S. Eliota, który George dostał w dziewiątej klasie od swojego najlepszego przyjaciela Roba Farnswortha opatrzony dedykacją „Z najlepszymi życzeniami od Gerry’ego Cheeversa” (Gerry Cheevers, jedna z wielu ksywek Roba, był bramkarzem Bostońskich Niedźwiadków, jest to więc unikatowy okaz, po raz pierwszy w historii wiążący T.S. Eliota z hokejem na lodzie).

Niechęć do połączenia naszych Melville’ów po części miała swoje źródło w pewnych dzielących nas zasadniczych różnicach charakterologicznych. George gromadzi spontanicznie. Ja systematycznie. Jego książki współżyją demokratycznie zjednoczone pod wspólnym sztandarem Literatury. Część stoi pionowo, część przyjmuje pozycję horyzontalną, niektóre grzęzną w tylnych szeregach. Moje podlegają

segregacji według treści i narodowości. Jak wielu ludzi o wysokiej tolerancji na bałagan, George darzy przedmioty martwe elementarnym zaufaniem. Wierzy, że jeśli coś mu będzie potrzebne, to się na pewno zjawi, zazwyczaj więc się zjawia. Ja – przeciwnie, wyznaję pogląd, że książki, mapy, nożyczki i taśma klejąca są niesolidnymi wagabundami objawiającymi niepoprawną skłonność do oddalania się w nieznanym kierunku, jeśli nie przypilnować, by ściśle trzymały się przydzielonego im miejsca. Przeto moje książki muszą zawsze przestrzegać surowej dyscypliny.

Po pięciu latach małżeństwa i dochowaniu się dziecka dojrzelismy wreszcie z George'em do przejścia na wyższy poziom intymności, czyli do konsolidacji księgozbiorów. Nie było jednak do końca jasne, jak miałyby wyglądać kompromis pomiędzy jego systemem ogrodu angielskiego a moim ogrodem francuskiego. Przynajmniej na krótką metę wzięłam górę – zgodnie z teorią, że o ile George zdoła znaleźć swoje książki, jeśli ustawimy je po mojemu, o tyle ja nigdy nie odnajdę moich, jeśli zapanuje jego styl. Przystaliśmy na podział według dziedzin: historia, psychologia, przyroda, podróże i tak dalej. Literatura piękna miała zostać dodatkowo posegregowana według narodowości. (George, nawet jeśli uważał ten plan za przesadnie drobiazgowy, musiał przynajmniej przyznać, że i tak jest on o niebo lepszy od systemu, o którym opowiedzieli nam nasi przyjaciele. Otóż ich z kolei przyjaciele odnajęli na kilka miesięcy swój dom pewnemu dekoratorowi wewnątrz.

że wszystkie książki zostały postawiane na nowo według koloru i rozmiaru. Wkrótce potem ów dekorator zginął w wypadku samochodowym. Muszę wyznać, że zebrani przy stole jednomyślnie orzekli, iż sprawiedliwości stało się zadość).

To tyle, jeśli chodzi o zasady ogólne. Schody zaczęły się, kiedy ogłosiłam mój plan uporządkowania literatury angielskiej chronologicznie, amerykańskiej zaś alfabetycznie, według autorów. Moja

argumentacja wyglądała następująco: nasze angielskie zbiory obejmują sześć stuleci i ustawiając je chronologicznie, otrzymalibyśmy pełny obraz rozwoju literatury. Pisarze wiktoriańscy stanowią całość, rozdzielnie ich byłoby niczym rozbić rodziny. Poza tym Susan Sontag też ustawiła książki chronologicznie. Powiedziała „New York Timesowi”, że nie zniosłaby widoku Pynchona stojącego obok Platona. Zatem – chronologizacja. Z kolei nasze zbiory amerykańskie obejmowały głównie literaturę dwudziestowieczną, w większości do tego stopnia najnowszą, że podzielenie jej według czasu powstania wymagałoby talmudycznej drobiazgowości. Ergo – alfabetyzacja. George uległ w końcu naciskom, ale bardziej w imię małżeńskiej harmonii niż z autentycznego przekonania. Szczególnie nieprzyjemnie zrobiło się przy przenoszeniu z półki na półkę Szekspira. Kiedy George targał książki, ja zawołałam:

– Uważaj, żeby ustawiać w tej kolejności, w jakiej zostały napisane!
– Chcesz przez to powiedzieć, że mamy ustawiać chronologicznie także pozostałych autorów? – z wrazenia ledwo mógł złapać oddech. – Ale przecież nie wiadomo nawet dokładnie, kiedy Szekspir napisał swoje sztuki!

– Cóż – stwierdziłam przemądrzale – wiemy, że „Burzę” napisał po „Romeo i Julii”. I chciałabym to widzieć odzwierciedlone na naszych półkach.

George mówi, że był to jeden z nielicznych momentów, kiedy poważnie zastanawiał się nad rozwodem.

Przenoszenie książek przez linię Mason-Dixon dzielącą moje północne półki od jego południowych zajęło nam około tygodnia. Co wie-

szór ustawialiśmy je, przepłatając, w szeregu na podłodze przed umieszczeniem ich z powrotem na półkach, a co za tym idzie, przez cały tydzień musieliśmy kluczyć ruchem konika szachowego między setkami tomów, ilekroć chcieliśmy dostać się z łazienki do kuchni albo z salonu do sypialni. Braliśmy w dłonie – nie, powinnam raczej rzec: pieściliśmy – każdą książkę będącą w naszym posiadaniu. Niektóre z nich nosiły dedykacje od dawnych kochanków. Inne – nasze własne. Niektóre były niczym kapsułki czasu: moi „Najważniejsi pisarze brytyjscy” zawierali listę poetów, których musiałam przeczytać do egzaminu z angielskiego na koniec liceum w 1970 roku; z egzemplarza „W drodze” George’a wypadła pocztówka ze znaczkiem za dziesięć centów.

Stosy na podłodze rosły, a my sprzecaliśmy się zażarcie, nie tylko o to, które książki ustawić razem, lecz także o to, gdzie je ustawić. Mieszkałam na tym strychu o dziewięć lat dłużej od George’a i literatura angielska zawsze zajmowała najbardziej eksponowaną przestrzeń na ścianie na wprost wejścia. (Przeciwny kraniec spektrum wyznaczała mała szafka z drzwiczkami, na prawo od mojego biurka, w której ukrywały się „Spis kodów pocztowych” i „Kompletna dieta Scarsdale”). George uważał, że honorowe miejsce należy się literaturze amerykańskiej. Gdybym się zgodziła zaprezentować światu jako akolitka raczej A.J. Lieblinga niż Waltera Patera, musiałabym tym samym przyznać, że ostatecznie porzuciłam ambicję zostania naukowcem i na dobre zadomowiłam się w skórze dziennikarki. Uznawszy, że odpowiada to prawdzie, a także, co więcej, że nasza reprezentacyjna ściana powinna w równym stopniu odzwierciedlać duszę mojego męża co moją, skapitulowałam, choć ze ściśniętym gardłem.

Na półkach przy naszym małżeńskim łóżku stworzyliśmy nową kategorię: Książki Napisane przez Krewnych i Znajomych. Przejęłam ten pomysł od pewnej zaprzyjaźnionej pisarki (dzisiaj również obecnej na tej półce), która twierdzi, że to bardzo miłe uczucie zgromadzić w jednym miejscu tyle kochanych osób. Z początku George odniósł się do tego bez przekonania. Uważał, że stworzymy źródło potencjalnych konfliktów; Mark Helprin na przykład mógłby się poczuć dotknięty, gdybyśmy wygonili go z kanonu literatury amerykańskiej, gdzie mieszkał dotychczas po sąsiedzku z Ernestem Hemingwayem, i zmusili do dzielenia półki z Peterem Lerangisem, który pod kobiecym pseudonimem wydał szesnastce tomów „Klubu baby-sitter”. (W końcu jednak George zmienił zdanie, uznawszy, że Mark i Peter z pewnością będą mieli sobie dużo do powiedzenia).

Daleko trudniejsze zadanie stanęło przed nami pod koniec tygodnia, kiedy musieliśmy posortować dublety i zdecydować, które z nich zastrzymać. Uświadomiłam sobie, że oboje gromadzimy zapasowe egzemplarze naszych ulubionych książek na „wszelki wypadek”, gdybyśmy kiedyś mieli się rozstać. Jeśli George pozbędzie się swojego wyswiechtanego egzemplarza „Do latarni morskiej”, a ja pożegnani się z moimi „Couples” w miękkiej oprawie w kolorze genitalnego różu – które jako dorastająca panienka przeczytałam tyle razy (zglębiane przez Updike’a zawilgości małżeńskiego życia stanowiły dla mnie wówczas czystą egzotykę), że w końcu rozpadły się w trylogię trzymającą się w jednym kawałku tylko dzięki gumce recepturce – to wychodzi na to, że już na zawsze będziemy zdani na siebie nawzajem. Spalimy za sobą mosty.

Posiadaliśmy podwójne egzemplarze mniej więcej pięćdziesięciu tytułów. Przyjęliśmy zasadę, że wydania w twardej oprawie mają pierwszeństwo przed tymi w miękkiej, chyba że miękkie okładki zawierają marginalia. Zachowaliśmy mój „Middlemarch”, który przeczytałam w wieku osiemnastu lat i który stanowił bezcenne świadectwo moich pierwszych kroków na polu krytyki literackiej (strona 37: „Pfuj”; strona 261: „Co za bzdury!”; strona 294: „Uuuch”); „Czarodziejską górę” George’a; moją „Wojnę i pokój”. „Zakochane kobiety” wywołały zażartą dyskusję. George przeczytał tę książkę w wieku szesnastu lat. Upierał się, że jeśli kiedykolwiek będzie chciał przeczytać ją jeszcze raz, nie zadowoli go żadne inne wydanie poza własnym oryginalnym Bantamem.



w miękkiej okładce z psychodelicznym obrazkiem dwóch kobiet, nagiej i na pół rozebranej. Ja czytałam ją, kiedy miałam osiemnaście lat. Tamtego roku nie prowadziłam dziennika, ale nie był mi on potrzebny, żeby sobie przypomnieć, że to właśnie wtedy straciłam dziewictwo. Wystarczyło rzucić okiem na komentarze w moim Vikingowskim wydaniu (strona 18: „Przemoc ekwiwalentem seksu”; strona 154: „Seksualna udreka”; strona 159: „Potęga seksu”; strona 158: „Seks”). Cóż innego mogliśmy zrobić, jak tylko pójść na kompromis i zachować oba egzemplarze?

Ostatni wysiłek, już grubo po północy, i koniec. Nasze dublety, plus setka innych wydartych spod serca odrzutów, zgrabnie popakowane, czekały, żeby je wywieźć do Goodwilla. Spoceni, zasapani pocałowaliśmy się pod naszymi triumfalnie zjednoczonymi Melville’ami.

W bibliotece panował idealny porządek, zdawała się jednak odrobinną duszna, podobnie jak moje życie, zanim wkroczył w nie George. I tak, w miarę upływu tygodni, kroczek po kroczku, styl George’a zaczynał powoli znowu dochodzić do głosu, nie całkiem wbrew moim życzeniom. Jak nazbyt proste linie nowego domu zmiękcza dodatek paru przyniesionych wiatrem badyli czy porzucony pod ścianą dziecinny rowerek, tak nieskazitelność naszego nowego systemu zmiękczyły połączone siły entropii i mojego męża, blisko zresztą ze sobą spokrewnione. Szafki przy naszych łóżkach zaczęły się uginać pod ciężarem no-

wych, nieposortowanych nabytków. Sztuki Szekspira przetasowały się jak talia kart. Pewnego dnia zauważyłam, że „Iliada” i „Zmierzch cesarstwa rzymskiego” jakimś cudem zawędrowały na półkę zarezerwowaną dla Krewnych i Znajomych. George, skonfrontowany z dowodami rzeczowymi, westchnął rzewnie i powiedział: „Wiesz, że Gibbon zawsze był mi bratem”.

Parę tygodni temu, kiedy George’a nie było w mieście, postanowiłam przeczytać ponownie „Podróże z Charleym”. Wzięłam do łóżka egzemplarz, który po raz pierwszy czytałam w wakacje, gdy kończyłam siedemnaście lat. Jakże swojsko czułam się z moim starym, rozsypanym się wydaniem w miękkiej okładce, tym ze zdjęciem Steinbecka siedzącego po turecku obok swojego pudła, dopóki nie dotarłam do strony 192. Obok ustępu o kurczeniu się kalifornijskich lasów sekwojowych zanotowany młodszą wersją pisma mojego męża – poznałabym je na końcu świata – widniał płaczący komentarz: „Dlaczego niszczymy przyrodę?”.

Widocznie mieliśmy identyczne wydania, zachowaliśmy jednak egzemplarz George’a. Jego książki i moje książki stały się naszymi książkami. Teraz naprawdę jesteśmy sobie poślubieni.

Przełożyła HANNA PUSTUŁA

– Anne Fadiman, zapamiętaj – tak w zeszłym roku mówili mi przyjaciele z Nowego Jorku. Jej książka „Ex Libris” znalazła się na liście bestsellerów „New York Timesa”. Teraz jej sławne mikroeseje o czytaniu pojawiają się w Polsce – wydawnictwo Świat Literacki przygotowuje książkę na jesień. Fadiman jest redaktorem pisma „American Scholar”, jej teksty składające się na książkę „Ex Libris” ukazywały się w ru-

brycie „Zwykły czytelnik” w piśmie „Civilization”. Zwykły czytelnik jest przeciwieństwem specjalisty. To ktoś, kto kieruje się w czytaniu jedynie przyjemnością, nie chce wiedzy, nie chce krytykować, szuka tego, co go poruszy. Fadiman pisze o swojej rodzinie, nieco ekscentrycznej, w całości ogarniętej manią czytania. U nas kimś takim byli Antoni Słonimski i jego żona. Krąży anegdota, że w hotelu, gdy nie

mieli pod ręką żadnej książki, czytali nalepki na wodzie mineralnej i spisy inwentarza. Książka Fadiman przywołuje zapomniany model intelektualisty, który jak XVIII-wieczny dżentelmen interesuje się literaturą klasyczną, poezją i ornitologią i do tego kolekcjonuje motyle. Ktoś taki zagląda do książek z najróżniejszych dziedzin, ciekawia go tak jak rozmaite zjawiska natury. (JS)

Żmijowisko Altmana

„Gosford Park” ukazuje, jak przywilej urodzenia ustępuje przywilejowi sławy

Natura ludzka jest wszędzie taka sama, zwłaszcza w przypadku społeczności o silnych podziałach klasowych. Chyba najdosadniej ukazał ten fenomen Marcel Proust w tomie „Sodoma i Gomora” z cyklu „W poszukiwaniu straconego czasu”. Porównał tam obyczaje panujące w salonach francuskich arystokratów z zachowaniami obowiązującymi w publicznych toaletach. Arystokrację różni od anonimowych klientów kloaki głównie to, że potrafi tworzyć wokół siebie pozory.

Robert Altman w „Gosford Park” nie jest tak brutalny, lecz również tworzy dosadną satyrę społeczną na brytyjskich snobów. Film demaskuje świat bajki – podobnie jak czynił to „Gracz” tegoż reżysera. W tamtym Altman dobrał się do skóry panom z Hollywood, czyli producentom. W tym zdemolował angielską elitę społeczną. Świetny scenariusz według pomysłu Altmana napisał Julian Fellowes, nawiązując do serialu BBC z życia arystokratów „Upstairs Downstairs”, który podbił w Ameryce inteligentną widownię telewizji publicznej.

Ale tym razem pałac jest gniazdem żmij. Rzecz dzieje się w listopadowy weekend w roku 1932. Do posiadłości na wsi zjeżdża się doborowe towarzystwo, by postrzelać do ptaków. Sir William McCordle (Michael Gambon) i jego lodowata żona Lady Sylvia (Kristin Scott Thomas) przyjmują skłóconych krewnych, gwiazdora filmowego i piosenkarza (Jeremy Northam), a także amerykańskiego producenta filmowego pana Weissmana z młodym kochankiem – biseksualnym służącym (Ryan Phillippe). Lecz oto w środku weekendu sir William zostaje zamordowany. Śledztwo grzęźnie na mieliźnie. Czy towarzystwo skorzystałoby na ukaraniu sprawcy?

Intryga w stylu Agaty Christie jest słabszym elementem opowieści, a jej wyjaśnienie wywodzi się wprost z XIX-wiecznego melodramatu. Sir William ponosi zasłużoną karę. Mocniejszą stroną filmu stanowi wnikliwa obserwacja społeczna i komedia obyczajów stwarzająca wielkie pole do popisu wyśmienitym aktorom. Występuje tu śmietanka angielskiego teatru, w tym wspinała Maggie Smith w roli hrabiny Trentham, ciotki Lady Sylvii



Jak wytrzymać z tymi ludźmi?

(mimo królewskich manier i zimnej pogardy dla otoczenia owa dama pozostaje na utrzymaniu sir Williama, dorobkiewicza wżenionego w rodzinę zbiedniałych arystokratów).

Pod pozorami kryje się zupełnie inna prawda. Jeden z arystokratów, który bogato się ożenił, zdążył roztrwonić majątek żony i teraz potrafi jej okazywać już tylko zniecierpliwienie. Wyniosła Lady Sylvia każe przystojnemu służącemu przynieść sobie szklankę ciepłego mleka o godzinie pierwszej w nocy, uprzedzając, że będzie „całkowicie przytomna” – w końcu od czego mamy służbę! Tymczasem w pomieszczeniach kuchennych młody gość dobiera się na stole do pulchnej kucharki. Przełożona pokojówek rywalizuje z główną kucharką o pierwszeństwo „pod schodami”. Ta pierwsza miała romans z panem domu, lecz o tym się nie mówi. Ta druga potrafi okazać jej serce w nieszczęściu.

W tym towarzystwie próbuje się odnaleźć amerykański producent tandety dla mas. On też działa w świecie pozorów, tyle że ma gorsze maniery. Kiedy zapewnia panią domu, że zapłaci za swe telefony do Los Angeles,

ta udaje, że nie usłyszała. A gdy wzbrania się przed zdradzeniem zakończenia swego najnowszego filmu, naraża się na ripostę hrabiny Trentham: „Przecież nikt z nas tego nigdy nie obejrzy”. Znechęany Amerykanin pyta angielskiego gwiazdora, jak może wytrzymać z tymi ludźmi. „Żyję z tego, że ich udaję” – odpowiada tamten. Jego publiczność to głównie służba zachwycająca się występem przy fortepianie, podczas gdy wytwornych gości pochlania gra w karty.

Altman ukazuje tu historyczny moment zmiany elit. Przywilej urodzenia zaczyna ustępować przywilejowi sławy. Przy okazji reżyser drażni się z Hollywood, wytykając swoim kolegom prostactwo.

„Gosford Park” jest misterną opowieścią przenikniętą typową dla Altmana mizantropią, wielością wątków oraz przeplataniem planów wizualnych i dźwiękowych. To bardzo dobry film, choć z ubiegłej epoki. Ukazuje wszakże świetną formę reżysera, który właśnie skończył 76 lat.

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI
„Gosford Park”, reż. Robert Altman, USA 2001, Vision

W Cannes jury pod przewodnictwem Davida Lyncha będzie w tym roku wybierać laureata Złotej Palmy spośród nielicznych wielkich nazwisk z Europy i Ameryki oraz rzeszy nieznanych młodych twórców z Azji

Najlepsze z 2281 filmów

15 maja rozpoczyna się 55. edycja festiwalu filmowego w Cannes. Jak co roku konferencja prasowa była okazją, by zapoznać się z repertuarem, który w przyszłości pojawi się na naszych ekranach, oraz do dyskusji na temat kondycji światowej kinematografii. Jak się mieści kino w dobie ekonomicznej recesji i eskalacji międzynarodowych konfliktów? „Dobrze, nawet bardzo dobrze – odpowiada Gilles Jacob, dyrektor canneńskiego festiwalu. – Świadczy o tym najlepiej rekordowa liczba nadesłanych filmów, których było aż 2281”.

Jest to jednak ocena globalna. W kuluarach mówiło się natomiast o ogłoszonych niedawno katastrofalnych wynikach finansowych wielkich amerykańskich wytwórni takich jak Universal czy Warner oraz o niepewnych losach najnowszego filmu Martina Scorsese, który miał otworzyć tegoroczny festiwal. Od grudnia zeszłego roku „Gangs of New York” leży w magazynie – jego producent Miramax postanowił wstrzymać premierę w związku z recesją na amerykańskim

ryнку. Premierę nowej, przeznaczonej dla szerokiej publiczności wersji filmu (skrótowej o ponad godzinę i pozbawionej najbardziej drastycznych scen) zaplanowano dopiero na Gwiazdkę. W Cannes zaprezentowany zaś będzie jedynie 17-minutowy fragment. W rezultacie podczas ceremonii otwarcia festiwalu Martina Scorsese zastąpi jego nowojorski sąsiad Woody Allen, który poza konkursem zaprezentuje swoją najnowszą komedię „Hollywood Ending”. Sfrustrowanemu losami swojego filmu Scorsese na pocieszenie powierzono funkcję przewodniczącego jury filmów krótkometrażowych. Filmy fabularne oceniać będzie natomiast jury pod przewodnictwem zeszłorocznego laureata nagrody za najlepszą reżyserię Davida Lyncha. Po doświadczeniach z Charlotte Gainsbourg i Mathieu Kassovitzem, którzy w ubiegłym roku pokłócili się z przewodniczącą Liv Ulmann, w tym roku postanowiono zignorować głos młodzieży. Lynchowi towarzyszyć będą trzy dojrzałe aktorki: Sharon Stone, Michelle Yeoh („Przyczajony tygrys, ukryty smok”) i indonezyjska gwiazda Christine Hakim, a także pięciu jeszcze dojrzałych kolegów reżyserów: Duńczyk Bille August, Chilijczyk Raoul Ruiz, Brazylijczyk Walter Salles oraz Francuzi Claude Miller i Régis Wargnier.

Pośród wyselekcjonowanych 22 filmów, które ubiegać się będą o Złotą Palmę, znalazły się między innymi: „Punch-Drunk Love” reżysera „Magnolii” Paula Thomasa Andersona, „Spider” Davida Cronenberga, „All or Nothing” Mike’a Leigh, „Sweet Sixteen” Kena Loacha oraz – co dla nas najważniejsze – „Pianista” Romana Polańskiego. Oznacza to bowiem powrót polskiej kinematografii na canneńską arenę po ośmiu latach nieobecności (w 1994 w konkursie brał udział „Czerwony”; podobnie jak w przypadku „Pianisty” Polska była koproducentem) oraz powrót Romana Polańskiego, który ostatnio startował w konkursie 26 lat temu ze swoim „Lokatorem”.

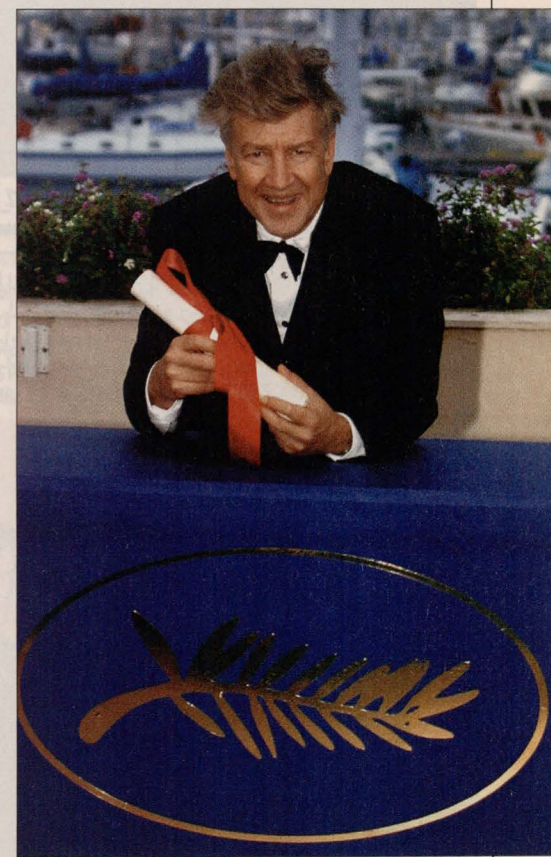
Z wielkimi emocjami oczekiwane są również: potępiona przez Watykan „Lekcja religii” Marca Bellocchia, nakręcony w jednym ujęciu półtoragodzinny obraz Aleksandra Sokurowa „Russian Ark” oraz konkurujący z filmami fabularnymi dokument o przemocy w Ameryce „Bowling for Columbine” Michaela Moore’a. Na tym kończy się jednak lista nazwisk znanych i łatwych do wymówienia. Organizatorzy konsekwentnie prowadzą politykę jak największego otwarcia na świat, promując kinematografie mało znane europejskiemu widzowi. W tegorocznej selekcji znalazły się więc filmy tureckie, brazylijskie, tajlandzkie, algierskie, a także i te pochodzące z krajów po raz pierwszy obecnych na festiwalu: Syrii, Palestyny, Libanu, Mauretanii i Tadżykistanu. Skromną europejską reprezentację zdominowali Brytyjczycy, dla któ-

rych ubiegły rok okazał się wyjątkowo dobry. W przeciwieństwie do zeszłego roku znane nazwiska ustąpiły miejsca młodym reżyserom i debutantom.

Mimo to w Cannes nie zabraknie gwiazd. Po czerwonych stopniach festiwalowego Pałacu wspinać się będą między innymi: Cameron Diaz, Leonardo DiCaprio, Emily Watson, Matt Damon, Antonio Banderas, Sandra Bullock, Ralph Fiennes, Claudia Cardinale, Jeremy Irons, Patricia i Rosanna Arquette i dziesiątki innych...

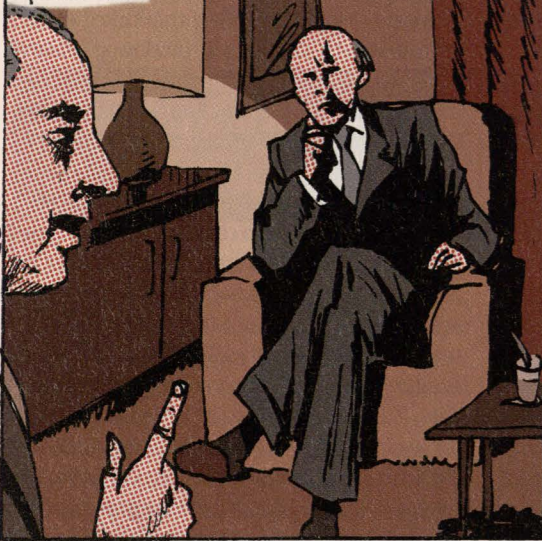
Dla odwiedzających corocznie Cannes tysiący miłośników kina, którzy zawsze narzekają na to, że festiwal zamknięty jest dla publiczności z zewnątrz, zainauguruje się w tym roku regularne projekcje w „sali piaskowej”, czyli na plaży przed ekranem zainstalowanym w wodzie. Plażowej publiczności zaprezentuje się filmy konkursowe oraz przeglądy filmów Jacquesa Tati i zmarłego niedawno Billy’ego Wildera. Kolejną atrakcją będzie „muzyczna promenada”. Wzdłuż bulwaru Croisette pojawią się słupy świetlne oraz głośniki, z których będą dobiegać tematy muzyczne z filmów. Organizatorzy zapowiadają także darmowy koncert, podczas którego orkiestrę poprowadzą popularni kompozytorzy muzyki filmowej, między innymi Ennio Morricone, Jean-Claude Petit i Michael Nyman.

RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI
Paryż



David Lynch, zdobywca zeszłorocznej nagrody za reżyserię, w tym roku przewodniczy jury

W jakich okolicznościach milicja powołała do służby komiksowego bohatera? Władysław Krupka: - W 1967 r. generał Tadeusz Pietrzak [komendant Milicji Obywatelskiej - PRZYP. P.] stwierdził, że trzeba poprawić wizerunek milicji w oczach młodego pokolenia.



Postępując się przystępną formą pokazać, jak trudna i niebezpieczna jest taka robota. Na bazarze Różyckiego pokazały się wtedy komiksy z Tarzanem [po angielsku, niemiecku i szwedzku - red.]



Były drukowane w Polsce na Zachodnie zamówienie. Często nakładu trafiała na bazar.



Komiks był nowością, która spotkała się

z entuzjastycznym przyjęciem.



Zaczeliśmy rozmowy z dyrektorem Alfredem Górnym i redaktorem Reną Lange-Riniś z wydawnictwa „Sport i Turystyka”



W Komendzie Głównej powierzono to zadanie dyrektorowi biura, pułkownikowi Zbigniewowi Gabirskiemu i mnie, naczelnikowi wydziału, odpowiedzialnemu za współpracę z literatami, mediami i filmowcami.

Doszliśmy do wniosku, że dla bohatera, którego zamierzaliśmy powołać do życia kapitan byłby najlepszym stopniem służbowym. To już bardzo przyzwoita szarża, a jednocześnie taki oficer może być jeszcze młody, a już daje rządy



Dlaczego „Żbik”?

- W 1968 r. pisząc scenariusz pt. „Dziękuję kapitanie” - drugi pasek do gazetowych wydań - nazwałem tak kapitana prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstwa dyrektora zakładu przemysłowego M-1. Były też inne propozycje: „Wilk”, „Brytan”, „Brutus”.



K. OSTROWSKI 1967

UWAGA! Ten wywiad zaczyna się komiksem po lewej stronie!

Akuszer Żbika

„Przekrój” drukuje pierwszy wywiad, jakiego udzielił Władysław Krupka, twórca postaci komiksowego milicjanta!

Dlaczego zaczął Pan pisać scenariusze?

- Poczuję, że mogę spróbować, bo mam już odpowiednie doświadczenie. Znałem problemy młodzieży, zawsze dużo pisałem, jestem autorem kilku książek, miałem pogadanki w radiu, no i nie ukrywam, że miałem ochotę. Z czasem nabrałem wprawy.

Jak uczył się Pan je pisać?

- Na początku budowałem „drabinę” - szkielet akcji. Wyobrażałem sobie miejsca, w których rozgrywa się konkretna sytuacja. Patrzyłem na tę rzeczywistość oczami bohaterów, obrazowo. Byłem na przykład Żbikiem lub jego przeciwnikiem. Pierwszymi recenzentami były moje dzieci i żięć. Porucznik Iwona i porucznik Marzena to imiona moich córek, porucznik Michał to mój żięć, a Ola to sekretarka.

Na co położył Pan akcent?

- Chcieliśmy, by Żbik zajął się rozwiązywaniem problemów kryminalnych i zapobieganiem przestępczości w sposób bezkrwawy. Inaczej niż to wyglądało w komiksach zachodnich. Chodziło o położenie akcentu na jego intelekt. Dzięki temu, trafnie analizując fakty, prowadziłyby skomplikowane niekiedy śledztwa.

Czy ta postać była na kimsz wzorowana?

- Oryginalnego wzoru nie mieliśmy. Postanowiliśmy dopasować fizjonomię najprzystojniejszego oficera. Był taki Heniu, nie chcę wymieniać nazwiska, do którego dziewczyny przysyłały oświadczenia, zdjęcia i listy miłosne. Natomiast osobowość Żbika to połączenie cech wielu oficerów, których znałem i z którymi współpracowałem. Oni stworzyli tę postać fikcyjną, a jednocześnie bardzo autentyczną dla młodzieży.

Która pokochała od razu sympatycznego kapitana?

- Mało tego. Od pierwszego odcinka czytelnicy uwierzyli, że to autentyczna postać. Miarą tego zaufania było to, że Żbik otrzymywał tysią-

ce listów. Ludzie zwierali mu się w nich z różnych problemów. Sygnalizowali patologiczne zjawiska. Prosił o pomoc w rozwiązywaniu najprzeróżniejszych spraw.

Nic dziwnego, skoro Żbik poprzedzał komiksy osobistym wstępem.

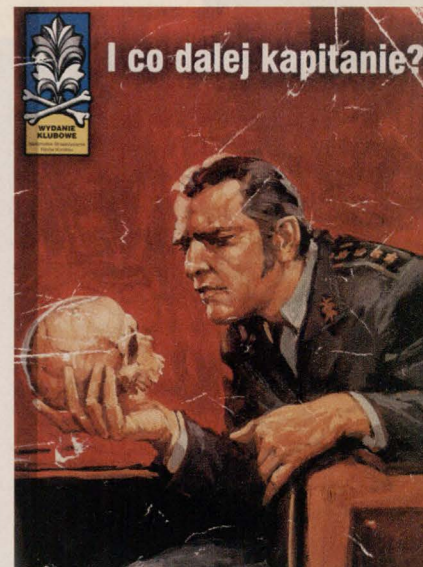
- Od piątego numeru wpadłem też na pomysł, by jako kapitan Żbik korespondować z czytelnikami. Komiks ukazywał się w nakładzie 200 tysięcy. Można więc było tą formą przemawiać do szerokiego grona czytelników. Na stronie „Droży Czytelnicy” poruszałem różne problemy, na które odpowiadali listownie czytelnicy. Kiedy przestałem nadsyłać z odpisywaniem, wydaliśmy ulotki z moim podpisem „Z pozdrowieniami od kapitana Żbika”, a potem majora. Dwie takie ulotki w nakładzie półmilionowym ukazały się, by podziękować młodzieży za listy. Były wkładane do komiksów. Tworzyły się drużyny przyjaciel kapitana Żbika. Wysyłałem oficerów na spotkania z młodzieżą, którzy tłumaczyli, że Żbik nie mógł przyjść osobiście, bo jest bardzo zajęty.

Idąc śladem jego sukcesu, zaczęto wydawać inne komiksy, między innymi „Kapitana Klossa”, „Pilota śmigłowca” i „Podziemny front”. Jak się okazało, komiks był formą, która nie mogła w niczym młodzieży zaszkodzić. Moje scenariusze były do tego cenzurowane przez Wydział Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego.

Były cenzurowane?

- Nie była to cenzura na takiej zasadzie, że czegoś nie wolno. Chodziło raczej o to, by nie proponować rzeczy zbędnych.

Nie mieliśmy żadnych problemów z cenzurą. Miał do mnie kiedyś tylko pretensje jeden z wiceministrów spraw wewnętrznych o to, że w jednym z odcinków pokazałem noktowizor. Wtedy to była straszna tajemnica. Wiceminister uznał, że zdradziłem tajemnicę służbową.



Pastiszowa okładka w hołdzie Żbikowi, rok 2002

Podwójny come back kapitana

Po 20 latach od zamknięcia najdłuższego (53 odcinki, 11 milionów egzemplarzy nakładu) PRL-owskiego cyklu komiksowego powraca największy bohater Milicji Obywatelskiej - kapitan Jan Żbik.

Między majem a sierpniem wydawnictwo Muza wznowi siedem komiksów sygnowanych taką samą paprotką, jaką na kłapie mundurów nosili funkcjonariusze MO.

Komiksowy kapitan Żbik rozwiązywał każde zadanie. Z równym powodzeniem łapał złodziei krajowych co zagranicznych. Pomagał nawet (w „Wyzwaniu dla silniejszego”) rozprawić się z przemocą gitowców w szkole, ucząc dzieci zdudo. Od połowy lat 70. w komiksach coraz częściej sygnał o przestępstwie otrzymywał właśnie od dzieci - w artykułach wstępnych podpisywanych przez tę fikcyjną postać zachęcane były one zresztą do donoszenia na milicję o podejrzanych sprawach. Był ponadto zabójczo przystojny - niezależnie od tego, który rysownik (było ich pięciu) tworzył dany zeszyt.

Wspominany przez Władysława Krupkę w drukowanym obok wywiadzie tryptyk „Wieloryb z peryskopem”, „Wiszący rower”, „Tajemniczy nurek” (według jego scenariusza) jako jedyny poświęcono szpiegostwu wojskowemu, ale nie znaczy to, że typowe

komiksy kryminalne były apolityczne. W „Wodorostach i pasożytach” (scenariusz Z. Gabiński i J. Bednarczyk) kapitalistyczni szpiedzy gospodarczy usiłowali wykraść wynalazek polskiego chemika – na dodatek przestępca okazywał się dawnym zbrodniarzem wojennym. W „Człowieku za burtą” i „Gotyckiej komnacie” (scenariusz W. Krupka) morderstwa dokonywane są na zlecenie byłych esesmanów chcących pozyskać nie tylko zamurowany w zamku skarb, lecz także swoje archiwa. Krzewiono nienawiść do nazistów, ale przestępców wybierano również spośród ich ofiar. W „Czarnej Nefretete” (scenariusz A. Kłodzińska i J. Tomaszewski) przemytnik antyków noszący nazwisko Rozen jest brodatym brunetem o mało słowiańskim wyglądem. W „SP 139 WA zaginał” (scenariusz J. Bednarczyk) fałszowaniem znaczków pocztowych zajmują się Cyganie, którzy na dodatek porywają polskiego chłopca. W innym kontekście Żydzi i Romowie w „kolorowych zeszytach” jakoś nie występowali.

Po 200 złotych za zeszyt!

– Nowy „Żbik” będzie na pewno hitem – komentuje Andrzej Grata, właściciel największego w Warszawie sklepu z komiksami Centrum Komiksu. – Dla wielu osób będzie to okazja do przypomnienia sobie lat młodości. W moim sklepie sprzedaje się miesięcznik minimum 20 „Żbików”. Najbardziej poszukiwane jest pierwsze osiem części. Oczywiście najlepiej w idealnym stanie, bo posklejanych nie brakuje. Każdy z pierwszych ośmiu „Żbików” w idealnym stanie osiąga cenę 200 złotych za sztukę. W złym – minimum 50 złotych. Ostatnie części kosztują po 15 złotych za sztukę. Wznowienie „Żbika” na pewno nie pogorszy sprzedaży starych odcinków – dużo osób preferuje nadal oryginały, które są przecież niewiele droższe.

Muza w zeszłym roku opublikowała reprints 20 komiksów o kapitanie Klossie, licencję na nie sprzedała ostatnio nawet do Czech! Jeśli chodzi o „Żbiki”, nie wznawia jednak na początku tych najstarszych, najbardziej poszukiwanych zeszytów, lecz tylko te, które rysował Bogusław Polch (w późniejszych latach rysował „Funky Kowala” oraz „Wiedźmina” według Sapkowskiego). Prowadzone są rozmowy z właścicielami praw do następnych komiksów. Rysownik największej liczby zeszytów Jerzy Wróblewski od dawna nie żyje, inny – Grzegorz Rosiński – zrobił wielką karierę w Belgii, rysując „Sznikla” i „Thorgala”.

Wznawiane komiksy Polcha to „Złoty Mauritius” (odcinek 17.), „Nocna wizyta”, „Wąż z rubinowym oczkiem”, „Pogoń za lwem”, „Salto śmierci” (odcinki 23–26; scenariusz ten został w latach 70. przerobiony także na odcinek serialu telewizyjnego „07 zgłoś się” z porucznikiem Borewiczem zamiast kapitana Żbika) oraz „Na zakręcie” i „Niewygodny świadek” (odcinki 31–32).



Drugie życie Żbika

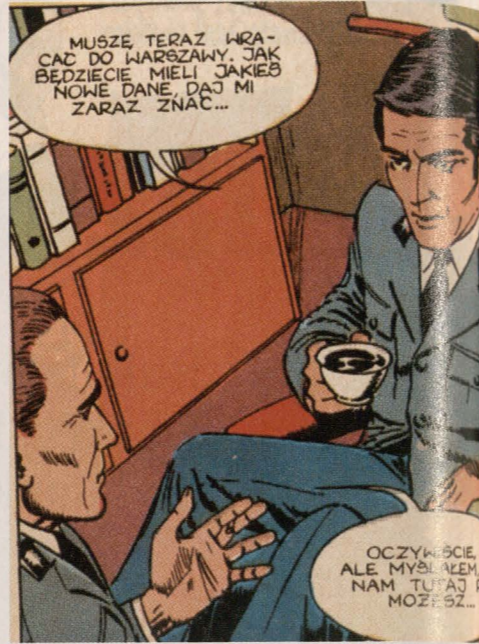
Właśnie „Na zakręcie” i „Niewygodny świadek” – obok powieści kryminalnych Anny Kłodzińskiej obrzydającej antykomunistycznych opozycjonistów – stały się już w latach 70. przedmiotem drwin Stanisława Barańczaka w „Książkach najgorszych”. W latach 80. sztycherką piosenkę o Żbiku napisał też Krzysiek Skiba z zespołu Big Cyc, wówczas lider Pomarańczowej Alternatywy w Łodzi.

Wydawałoby się, że razem z upadkiem dawnego systemu zapomniana zostanie jedna z głównych ikon socjalistycznej popkultury. Tymczasem legenda Żbika okazała się trwała. Dwa lata temu ukazał się piracki reprint komiksu „Pięć błękitnych goździków”, który – drukowany jedynie we wrocławskiej popołudniówce – nigdy wcześniej nie został wydany jako samodzielny zeszyt. W marcu tego roku na Warszawskich Spotkaniach Komiksowych miał natomiast premierę stylizowany okładką na oryginalnego „Żbika” zeszyt „I co dalej, kapitanie?” (wydawnictwo Kultura Wesółych Podskakiwaczy). Kilkunastu młodych rysowników w kilkuplansowych, czarno-białych komiksach oddało swoisty hołd ulubionemu milicjantowi, najczęściej parodiując jego przygody we współczesnych realiach. Niektóre z nich, jak „Żbik in Japan” Jarosława Jurgi, są łagodnie sentymentalne, w innych – jak w „Kapitanie Żbiku na tropie handlarzy zieloną śmiercią” Dariusza „Pały” Palinoskiego albo w „Wizycie na komendzie” Ceryla Lechowicza – kapitan ujawnia swoje nieznane oblicze: przeklina, prowokuje i brutalnie bije przesłuchiwanego.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Współpraca ALEX KŁOŚ

<http://www.serwis-komiksowy.pl/zbik>



Kadry ze wznowionych przez Mużę komiksów „Niewygodny świadek” i „Wąż z rubinowym oczkiem”

Na komiksy mówiło się oficjalnie „kolorowe zeszyty”.

– Chodziło o to, by nie drażnić zachodnią nazwą. Niektórzy mogliby się oburzyć: nie ma papieru na zeszyty, a jest na komiksy?

Czy były oparte na faktach?

– Każdy odcinek był kompilacją wątków kilku spraw. Miałem osobiste doświadczenia oficera, szeroki dostęp do akt i funkcjonariuszy, którzy opowiadali mi swoje historie. W wielkiej sprawie kryminalnej najbardziej ciekawy bywa na przykład początek, a banalne jest zakończenie. Był też wymóg wydawcy, że komiks powinien się składać ze 124 rysunków. A więc nie wolno było sobie pozwolić na jakąś fantazję. Wydawnictwo zgodziło się jednak na serie kilkuodcinkowe. To pozwoliło rozciągnąć historię. Chodziło przecież o to, by nie zubożyć tematu i sytuacji, tylko autentycznie ją oddać do końca. Starałem się też, by nie być mądrzejszym od czytelnika, tylko by mógł się on włączyć w rozgrywaną się sytuację.

Zabawne było to, że Żbik zajmował się obok poważnych spraw wręcz błahymi...

– Czasami były to z pozoru prozaiczne rzeczy: kradzież ryb czy nauka dżudo w szkole, w której pojawili się gitowcy. To też zjednywało tej postaci sympatię. Nie był jednostronny.

Nie był Pan jedynym autorem scenariuszy.

– Na 53 zeszyty, które się ukazały, byłem autorem scenariuszy 36 odcinków. Choć stworzyłem tę postać, unikałem monopolu i proponowałem kilku osobom, by napisały scenariusze. Uważałem, że każdy się może bawić. To były liczące się nazwiska, między innymi Jerzy Tomaszewski i Anna Kłodzińska, Zbigniew

Gabiński i Jerzy Bednarczyk, Wanda Falkowska i Barbara Seidler, Stanisław Milc i Krzysztof Pol. Pisali po jednym lub dwa scenariusze. Potem przestali. Warto też wspomnieć, że w roku 1973 scenariusz na konkurs ogłoszony przez wydawnictwo napisał Leszek Moczulski związany z opozycyjnym KPN [w 1973 opozycyjnego KPN jeszcze nie było, pytany przez dziennikarza „Gazety Wyborczej” dziewięć lat temu o „Żbika” Moczulski wypierał się udziału w konkursie – przyp. red.]

Dlaczego w roku 1982, po wydaniu 53. zeszytu „Smutny finał”, „Żbik” przestał się ukazywać?

– To dość skomplikowana kwestia. Mijał rok od wprowadzenia stanu wojennego. Całkowicie zmieniło się nastawienie dowództwa. Generał Tadeusz Beim, komendant MO, powiedział, że młodzież wcale nie musi kochać milicji. Musi ją szanować. Musi się jej bać. Zabrakło też po prostu na „Żbika” pieniędzy.

Przecież nie było problemów ze sprzedażą.

– Zakończenie druku wywołało duże zaskoczenie. Mówiliśmy, że będziemy go robili z powrotem za dwa, trzy lata. Kiedy wydawnictwo

zdania, że Żbik by do dzisiejszej sytuacji zupełnie nie pasował.

Postanowił Pan pogrzebać tę postać?

– Mam pewien pomysł. Mógłby odgrywać rolę, jaką w czasach jego młodości odgrywał jego zwierzchnik, pułkownik Czeladka. Już do tego dojrzał, przestawił się na nowe metody, a swoim doświadczeniem operacyjnym mógłby służyć nowemu komisarzowi. Opracowałem taką koncepcję, mam kilka nowych scenariuszy. Jest jeszcze za wcześnie na to, by ujawniać szczegóły. Tym bardziej że prowadzę rozmowy z dwoma wydawnictwami.

Żbik jest świetnie pamiętany przez pokolenia, które się na nim wychowały. W policji jest dziś niemało osób, które mówią: „Ach, myśmy trafili do szkoły oficerskiej, bo Żbik nas zainspirował”. Mam dużą satysfakcję, a wraz ze mną ludzie, którzy byli związani z tą postacią. Myślę, że kapitan zrobił w tamtym czasie kawał dobrej roboty.

Był postacią jednowymiarową, był tylko dobry.

– Postanowiliśmy stworzyć bohatera jednoznacznie dobrego. Faktycznie wyszła z tego

Sekretarki odpisywały: „Nie mogę się z panią spotkać, bo mam obowiązki służbowe”, a ja podpisywałem się jako Żbik

podniesie się trochę z finansowego dołka. Niestety, splajtowało. Uważałem, że jeżeli taki los spotkał „Żbika”, to niech on tak zakończy.

Ale były inne plany...

– Żbik się zestarzał, dostał majora, czego demagała się młodzież, stąd awans w 50. zeszyt. Potem pojawiło się pytanie o jego przyszłość. Wydawnictwo zaproponowało kompromis, na który się zgodziłem. Przerwać na pewien czas wydawanie, a potem wprowadzić młodego następcę. W „Smutnym finale” napisałem list do czytelników, w którym Żbik zasygnalizował, że odchodzi na zasłużony odpoczynek. Na jego miejsce przyjdzie być może ktoś nowy, na przykład porucznik Zalewski. Występowała taka postać.

Czy Jan Żbik odszedł na zawsze?

– Moje osobiste zdanie jest takie, że jako postać historyczna nie powinien już wracać. Byłby to siedemdziesięcioletni pan. Niezdolny do aktywnego działania w nowych warunkach komputeryzacji i informatyki. Przecież on posługiwał się samochodem marki Syrenka i w ogóle nie używał pistoletu. A jeżeli już, to miał rosyjskie TT albo hiszpańską Berettę. Raz pojawił się rewolwer, który narysował Bogusław Polch. Ale to oczywiście była nieprawda, bo milicjant nie mógł mieć takiej broni. Jestem

postać nieco oficjalna i dziś żałuję, że nie uczyniliśmy go bardziej zwyczajnym. Bardzo często zastanawialiśmy się na przykład, czy Żbik nie powinien założyć rodziny albo chociaż mieć dziewczynę. Wiedzieliśmy jednak, że jeżeli go oženimy, to stracimy bardzo wiele czytelniczek i nie będzie mógł być tak dyspocyjny. Żbik otrzymywał tysiące listów i fotografii od zakochanych w nim dziewcząt. Listy przychodziły do wydawnictwa i mojego wydziału. Sekretarki odpisywały: „Nie mogę się z panią spotkać, bo mam obowiązki służbowe”, a ja podpisywałem je jako Żbik.

Czy jego następcą też miałby taki charakter?

– Nowy bohater będzie zupełnie inny. Będzie, tak jak wszyscy, miał swoje słabości. Być może będzie na przykład palił, bawił się i miał dziewczynę... Na początku, przy okazji wydawania starych odcinków, na stronie „Drozdzy Czytelnicy” przedstawiłby swoją biografię i przebieg służby. Potem w pewnym momencie wszedłby do akcji i rozwiązał pierwszą i kolejne zagadki kryminalne. Jestem zdania, że potrzebny jest realistyczny, nowoczesny komiks policyjny, nie polityczny...

... i propagandowy?

– Żbik też nigdy nie bawił się w politykę. Do milicji były różnego rodzaju pretensje,

wielokrotnie słuszne. Trzeba jednak podkreślić, że jej podstawowym zajęciem było zapobieganie przestępczości i rozwiązywanie czysto kryminalnych spraw. Tylko w tryptyku „Wieloryb z peryskopem” pojawił się szpieg obserwujący lotnisko nieopodal jeziora, nad którym rozbili swój obóz harcerze. To był jeden jedyny wypadek. Żbik nie parał się rozwiązywaniem tego rodzaju spraw.

A teksty na wewnętrznych stronach okładki? Przedstawiały nieprawdziwą historię walki zbrojnej z okupantem albo na przykład lansowały ORMO.

– Ja byłem scenarzystą komiksów. Odpowiadałem za ten temat.

Dlaczego tak wyraził się bohater jak Żbik nie znalazł się na ekranie filmowym?

– Bo nie było czasu. Były pierwsze próby, by zrobić jakieś odcinki nadawane w porze dla dzieci. Tak jak to zrobiono z kapitanem Klosssem i z „Podziemnym frontem”. Krzysztof Szmagier,



Władysław Krupka

który był reżyserem serialu „07 zgłoś się”, nakręcił dwa odcinki na podstawie niebieskich zeszytów z serii „Ewa wzywa 07”. Być może po zakończeniu pracy nad swoim serialem zabrałby się za „Żbika”? Były takie wstępne rozmowy. Sprawa ucichła. Jednak ostatnio odżyła. Toczą się konkretne rozmowy na temat realizacji serialu telewizyjnego opartego na scenariuszach „Żbika”.

Czy ma Pan ulubiony odcinek?

– Byłbym niesprawiedliwy w stosunku do grafików, gdybym wybrał któryś z odcinków. Mam swoje typy w dorobku każdego z nich – na przykład „Kto zabił Jacka”. Zdawałoby się, że chodzi o jakieś dziecko, tymczasem chodzi o jelonka. To mój typ w dorobku świętej pamięci Jerzego Wróblewskiego.

Rozmawiał ALEX KŁOŚ

Władysław Krupka jest magistrem prawa, podpułkownikiem MO w stanie spoczynku, oficerem Wojska Polskiego i absolwentem Wyższej Szkoły Oficerskiej MO w Szczytnie.



Jak uwieść rozwiedzioną kelnerkę

Niech się święci 7 maja!
Tego dnia Tom Waits
wydał dwie nowe płyty

Płyty „Alice” i „Blood Money” ukazały się nakładem małej, niezależnej wytwórni ANTI. Obie zawierają piosenki napisane do przedstawień guru teatralnej awangardy Roberta Wilsona. Sam Waits mówi, że to jego najdojrzalsze dzieła. „Alice” oparta na biografii Lewisa Carolla to powrót ponurych knajpianych ballad z zawodzącym saksofonem w tle. Zaś „Blood Money” to wariacje na temat „Woyzecka” Georga Büchnera.

Równoczesne wydanie dwóch albumów wymaga od artysty zarówno odwagi, jak i pewności siebie. Waitsowi jednego i drugiego nigdy nie brakowało. Jak sam mówi, jest chodzącym przykładem tego, że i bez wy-

kształcenia można do czegoś dojść. Jako rezydent tanich moteli i barów chciał śpiewać piosenki, które uwodziłyby matkujące mu rozwiedzione kelnerki. Teraz jest przykładnym ojcem rodziny i komponuje w domowym zaciszu – ale wcale nie gorzej.

W drodze

Na przełomie lat 40. i 50. ubiegłego stulecia Jack Kerouac i Neal Cassady włączyli się po Ameryce. Kerouac zafascynowany podróżami, jazzem i poezją podłych barów napisał o nich swą najgłośniejszą powieść – „W drodze”. Zmarł w roku 1969 – w łóżku, w domu swojej matki. Cassady od-

szedł rok wcześniej. Kompletnie pijany zamarzył nocą na kolejowej bocznicy. Obaj stali się symbolami pokolenia amerykańskich bitników i Ameryki szukającej wolności, pędzącej przed siebie autostradą. Takiej właśnie wolności chciał zasmakować Tom Waits. Niestety, urodził się 20 lat za późno – 7 grudnia 1949 r.

Kiedy w drugiej połowie lat 60. światem rządziły dzieci-kiwiaty w kolorowych ciuszkach, wolna miłość i LSD, Waits snuł się po ulicach w znoszonych dżinsach i podkoszulku. Nie interesowała go gitarowa muzyka tamtych czasów. Słuchał Charliego Parkera i Franka Sinatry. „W latach 60. byłem trochę zagubiony... Nie pojechałem do San Francisco, dopóki nie skończył się ten cały kram pod tytułem „miłość i kwiaty”, a kiedy się tam już znalazłem, szukałem ducha Kerouaca” – wspo-

minał. Naśladowując swego idola, ruszył w drogę. Bez sprecyzowanych planów na przyszłość włączył się po barach i imał każdej roboty, jaka się nawinęła. Był na najlepszej drodze donikąd. Aż do pewnej nocy w pustej restauracji, w której był kelnerem, kiedy to samotnie oparty o bar sączył drinka i słuchał muzyki. „Stojąc tak, przepasany fartuchem, w papierowej czapce na głowie, wyobraziłem sobie, że słyszę swój głos płynący z szafy grającej”. Kości zostały rzucone.

Wódka, papierosy i fabryka snów

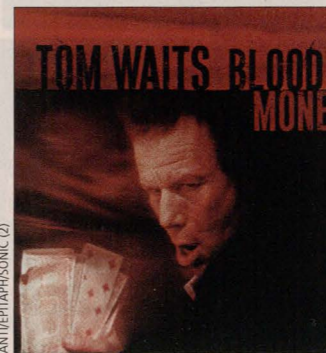
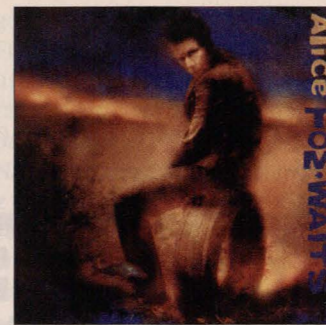
Pierwszy album Waitsa „Closing Time” ukazał się w roku 1973. To nie były dobre czasy dla muzyki. Królował art rock i jego napuszone aranżacje. Lekko jazzująca muzyka Waitsa na całe kilometry odstawała od modnych wówczas dźwięków.

Debiutancki album nie był może wybitny – głos Toma brzmiał na nim zadziwiająco niewinnie – ale wyznaczył drogę, którą Waits postanowił kroczyć. Śpiewał o niepokodzonych z życiem frustratach, którzy łudzą się, że ktoś ich jeszcze kocha. O ómach barowych i artystach, którzy mieli się wybić, ale im nie wyszło. Zgodnie z zasadą, że trzeba wiedzieć, o czym się mówi, Waits za wszelką cenę postanowił im dorównać. Zatracony w motelowym życiu (szczególnie upodobał sobie Tropicana Motel w Santa Monica, gdzie karłowców jest więcej niż gości) i barach na Hollywood Boulevard wcielał się w postacie ze swoich piosenek. Bywał mędrcom („Nigdy nie prowadź samochodu, kiedy jesteś martwy”), mistykiem („Nie ma Diabła, to tylko czasem Pan Bóg się upija”), mitomanem („Spałem z Marilyn Monroe, śniadanie zjadłem w oku cyklonu i walczyłem z Rockym Marciano”).

Gdzieś pomiędzy kolejną butelką *bushmillsa* a kolejną paczką papierosów głos Toma zaczął przypominać brzmieniem rozregulowany gaźnik. Charcząc i rżąc, nagrywał coraz lepszą muzykę. Dorobił się zresztą własnego stylu pracy nad płytą: „Wyjeżdżam w trasę. Wracam do Los Angeles, opijam się jak świnią, tak żeby trzymało mnie jeszcze przez trzy dni, i wchodzę do studia”. Swój najlepszy album z lat 70., „Small Change” (1976), nagrał w pięć dni. To wtedy ziściło się jego największe marzenie – w końcu nagrywał z zawodowymi jazzmanami z saksofonistą Lew Tabackinem na czele.

Muzyczna kariera Waitsa nabrała rozpędu. Coraz częściej doceniali go krytycy, zyskał grono oddanych słuchaczy, a na ulicy rozpoznawali go potencjalni bohaterowie jego piosenek.

W końcu o Waitsa upomniała się także fabryka snów. Debiutował rolę pianisty w filmie Sylvestra Stallone’a „Paradise Alley” (1978). Wkrótce zaprzyjaźnił się z samym Francisem Fordem Coppolą, który obsadzał



ANTI/VERTAPHONIC (2)

go w większości swoich filmów z lat 80., a w głośnym „Draculi” (1992) zagrał postać Reifielda – przyjemnego pana, który przez pół filmu siedzi w wariatkowie i zajada muchy. Nie miał problemów ze znalezieniem wspólnego języka z Jimem Jarmuschem i zagrał w „Poza prawem” (1986), „Mystery Train” (1989) oraz – z Iggy Popem – w trzeciej części „Kawy i papierosów” (1993). Sprawdzał się też u boku Meryl Streep i Jacka Nicholsona w „Chwas-tach” Hectora Babenca (1987) i w „Na skróty” Altmana (1992).

Abstynencja z Frankiem Leroux

Kiedy Waits zdecydował się już „zdeptać wszystkich w drodze na dno”, na horyzoncie pojawiła się Kathleen Brennan. Złośliwa kobieta pokrzyżowała jego plany. Wyciągnęła go z alkoholowego dołka i została jego żoną. Choć on sam widzi to z zupełnie innej perspektywy: „Chciała zostać zakonnicą, więc można powiedzieć, że uratowała ją przed Bogiem”. Brennan nie tylko zmieniła życie Waitsa, lecz także skierowała jego muzykę na zupełnie nowe tory. Na płytach Toma pojawił się Frank Leroux, bohater tryptyku:

„Swordfishtrombones” (1983), „Rain Dogs” (1985) i „Franks Wild Years” (1987). Frank to człowiek, który „powiesił dzikie życie na gwoździu, który sam wbił w czoło żony”. O ile historia bohatera nie zaskakiwała, o tyle sposób jej opowiedzenia – tak. Waits zrezygnował z jazzowego akompaniamentu i bluesowej gitary. Kakofoniczne dźwięki i okaleczone harmonie nie były tym, czego spodziewali się wierni słuchacze. Nawet pojawiające się czasem piękne melodie (takie jak „Time”) nie łagodziły muzycznego chaosu. Waits zainspirowany twórczością Harry’ego Partcha (włączył i muzyka, który konstruował instrumenty z przypadkowo znalezionych rzeczy) porzucił tradycyjne instrumentarium na rzecz kubłów na śmieci, talerzy itp. Najwyraźniej Waits prze-

stał szukać przygód w barach i odnalazł je w swojej muzyce.

Lata 90. przyniosły trzy kolejne albumy. Dwa – „The Bone Machine” (1992) i „The Black Rider” (1993) – utrzymane w stylistyce wspomnianego tryptyku oraz „Mule Variations” (1999). Ten ostatni znów osadzony w bluesie.

Tom Waits dożył czasów, kiedy najwięksi giganci muzycznego świata (Bruce Springsteen, The Eagles, Elvis Costello, U2) grają przeróbki jego utworów, a Keith Richards dziękuje mu za duchowe wsparcie przy nagrywaniu pierwszej solowej płyty.

A sam Waits?

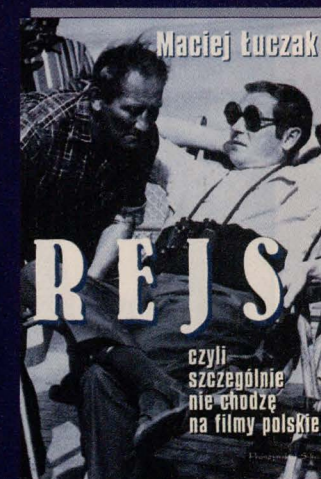
Mieszka z żoną i dziećmi na farmie z dala od zgiełku świata. Ciekawe, czy tęskni czasem za rozwiedzionymi kelnerkami z przydrożnych moteli?

ROBERT ZIĘBIŃSKI

Prószyński i S-ka

Maciej Łuczak

REJS
czyli szczególnie
nie chodzę na filmy polskie



Druga po bestsellerowym „Misiu” książka Macieja Łuczaka. Tym razem bohaterem opowieści jest kultowy film Marka Piwowskiego, jeden z najważniejszych, najlepszych i najchętniej oglądanych w całej historii polskiego kina. Autor, sięgając do pamięci twórców i świadków, a także do dokumentów – protokołów kłaudacyjnych, służbowych notatek cenzorów oraz urzędniczych zacięciem śledzi dzieje jego narodzin i batalię o wejście na ekrany.

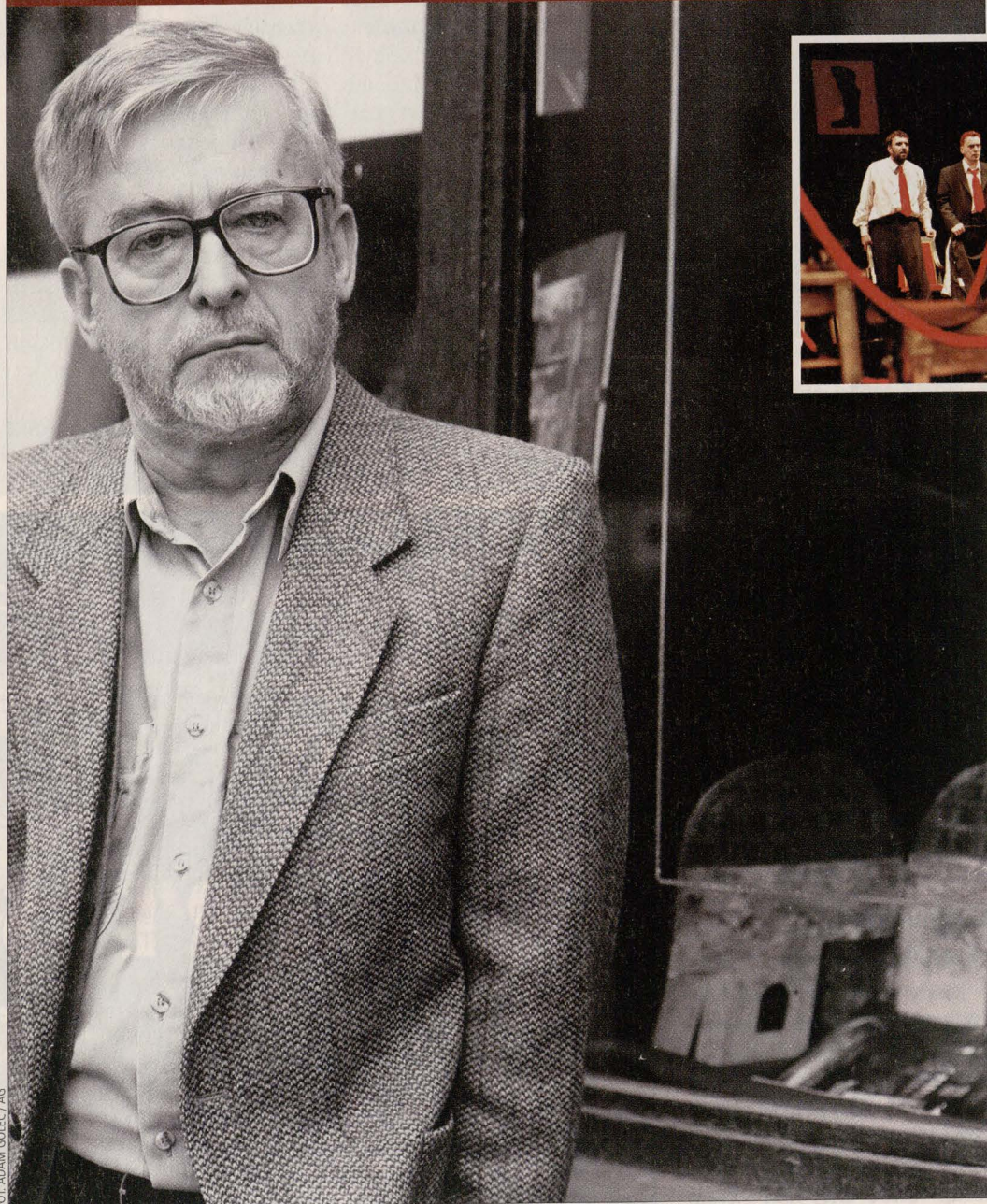
Patroni medialni

PRZE antena wprost KROŃ MAXIM ESPRIMO onet.pl

Katalogi internetowa www.merlin.pl

Jarocki

— nie udała się sztuka



„Szewcy” wyszewcowieni

Bodaj po raz pierwszy w twórczości Jarockiego on sam stał się ważniejszy niż jego spektakl

Wiedziałem się, gdzie jest teraz miejsce Jarockiego. Jego ostatnie spektakle to przecież walka z oporem materii teatru („Faust”), własnym wiekiem i zdrowiem, próba zamknięcia w teatrze doświadczeń epoki („Peerel według Mrożka”). Jarocki toczy tę bitwę nieustępliwie, ryzykując, że każde jego kolejne przedstawienie porównywane będzie przynajmniej z najlepszymi realizacjami lat 90. – ze „Ślubem”, „Płatonowem”, „Aktom pominiętym”, „Kasią z Heilbronu”. Przywracanie polskiej scenie Witkacego czy Mrożka nie dyktuje chęć podsumowywania, zwieńczenia własnej twórczości. Nie ma w nich też nic z pragnienia, żeby nadażyć za trendami czasów, by ścigać się z młodymi. Czy mają w takim razie

udzielał nam lekcji uprawiania teatru obiektywnego. Jego racjonalny sceptycyzm, chłód i intelektualny dystans od zawsze zdawały się być antidotum na reżyserów – sezonowych polityków, guślarzy i szaleńców. Kiedy zatarł się w pamięci obraz Konrada Swinarskiego, kiedy

umarli Kantor i Grotowski, a niektórych posunięć Andrzeja Wajdy nie szło nijak zrozumieć – autorytet Jarockiego jako reprezentanta starszej generacji polskich inscenizatorów stał się zgoła niepodważalny. Wybierając się na krakowską premierę „Trzeciego aktu” zastana-

przechowywać pamięć o pewnym stylu reżyserii?

Nieudany dobry spektakl

Najnowsze dzieło Jarockiego „Trzeci akt” według „Szewców” to typowy nieudany dobry spektakl. Mimo wspaniałej roli Krzysztofa Globisza jako Sajetana. Mimo świetnie funkcjonalnej scenografii Juka-Kowarskiego. Mimo zabiegu adaptacyjnego odkrywającego inną perspektywę patrzenia na bohaterów. Krakowskie przedstawienie to teatr zmęczony. Próbuje za wszelką cenę reanimować dziwną sztukę o rewolucji za pomocą witkacowskiego standardu inscenizacyjnego wypracowanego przed laty przez Jarockiego. Nie chciałbym podkreślać daremności tego kroku, chciałbym udowodnić, że wbrew intencjom artysty ujawnia on sensy zupełnie inne od zamierzonych.

Oglądając „Trzeci akt”, ma się wrażenie, że bodaj po raz pierwszy w twórczości reżysera on sam staje się ważniejszy niż jego spektakl. Tak, ten Jarocki, który jako artysta zawsze był schowany za sztuką, za myślami autora, za aktorami, dochodzi teraz do punktu, w którym przedstawienie zaczyna mówić więcej o nim samym niż o Witkacym i sportretowanej na scenie naszej rzeczywistości.

Człowiek ze zdjęć

Je Jarockiego jest poza jego teatrem? Bardzo trudno znaleźć jego przypadkowe, nieautoryzowane fotografie. Wszystkie zdjęcia, jakie znam, mają charakter artystycznego portretu, są wysmakowane, upczowane, znaczące. Najczęściej pojawia się na nich w towarzystwie innych artystów: oto Jarocki z Mrożkiem, Jarocki z Różewiczem, Jarocki z Puzyną i Grotowskim. Na jednym z najbardziej popularnych zdjęć portretowych reżysera za jego plecami widnieje obraz Nowosielskiego: Jarocki ma złożone na piersiach ręce – jak wódz Armii Czystej Logiki czy strateg Form Prostych.

Inne zdjęcie, z wrocławskiego „Notatnika Teatralnego”, pokazuje reżysera na bankiecie po premierze „Aktu pominiętego” Czechowa w otoczeniu pięknych, adorujących

go lwic (Ewa Skibińska, Jolanta Fraczyńska, Kinga Preis). Mimo uśmiechów i błyszczących spojrzeń widać wyraźnie, że starszy pan onieśmiela swoje aktorki. Na próbach nigdy nie przechodzi z nikim na ty. Twardy belfer, reżyser-kat – to najbardziej rozpoznawalne o nim opinie. Bardziej niż artystę przypomina profesora uniwersytetu. Wygląda jak naukowiec, fizyk jądrowy albo chirurg kardiolog. Zawsze dziwiłem się, że nie nosi białego kitla. Skryta za starannie przyszytą brodą i ciemnymi okularami twarz nie wyraża żadnych gwałtownych uczuć. Widać na niej pozę mądrości, taktu, umiarkowania: „Ja milczę, mówią moje spektakle”. To człowiek, który od samego początku siebie zaplanował. Reżim myślenia, reżim dla ciała, słabości, emocji. Jego postawa artystyczna jest prostą pochodną jego temperamentu.

Niezniszczalny jak automat

Jarocki daje premiery regularnie od 40 lat, z małymi przerwami na umieranie. Nigdy zresztą nie wierzyłem w jego choroby, choć doniesienia ze szpitali były nieraz zgoła dramatyczne. Nie wierzyłem, bo Jarocki funkcjonujący w wyobrażeniach teatromanów wydaje się wieczny, niezniszczalny jak automat, maszyna do analizowania i reżyserowania. Dla artysty funkcjonującego na takich zasadach reżyseria staje się wręcz sumą doświadczenia i wiedzy. Jego teatr jest jak nauka, wykalkulowany, z głowy, nie z ciała. Reżyser chce zasugerować odbiorcy, że on jako artysta potrafi przewidzieć każdą ewentualność i zawsze osiąga swój cel. Nie dopuszcza do artystycznych kompromisów. Nie przyznaje się do porażek. Nie odpowiada na zarzuty. Nie kłóci się o swój teatr. Jest ponad, jest obok.

Presja takiego wizerunku wywołuje wrażenie, że Jarocki nigdy nie popełnia błędów i że udały mu się wszystkie przedstawienia. Jeśli coś nie gra, to znaczy, że widzowie niewiele zrozumieli, krytycy nie domyśleli, przeszkodziły okoliczności zewnętrzne. Wzbudza tym szacunek aktorów i recenzentki

respekt. Mimo że dla nowych mediów jest zbyt nieludzki, zbyt nobliwy i stateczny, Jarocki zasłużył sobie, żeby o nim mówić z szacunkiem, nawet kiedy się myli, tak jak w przypadku „Trzeciego aktu”.

Nie chwyta za gardło

Co udowadnia krakowski spektakl? Choćby to, że osobista klasa Jarockiego jako artysty należy do czasu dokonanego. Nadchodzi czas reżyserów wściekłych, reżyserów od ludzkich bebeczków, dokonujących na publiczności szantażu emocjonalnego. To nie jest żaden dyktat kilkorga artystów i krytyków, ale wsłuchanie się w tajne pragnienia widza, szukanie analogii z jego wyborami w sztukach plastycznych, literaturze i kinie. Tymczasem teatr Jarockiego stoi dziś na granicy – jeszcze próbuje rozprawić się z teraźniejszością, ale czyni to już za pomocą języka, który od tej teraźniejszości wyraźnie odstaje.

Może także dlatego temperatura nowego spektaklu Jarockiego nie sięga gorączki dramatu Witkacego.

„Trzeci akt” nie wsysa widza we własne wnętrze, nie dusi i nie chwyta za gardło. Jego temat w zasadzie nie wychodzi poza socjologiczną diagnozę polskiej współczesności: oto jak wyglądamy w czasach stabilizacji, co czynimy z darem wolności, która nie uruchamia zachowań nadających życiu nowy sens, lecz tylko powoduje kręcenie się w zakłętym kole starych mitów i pustych rytuałów.

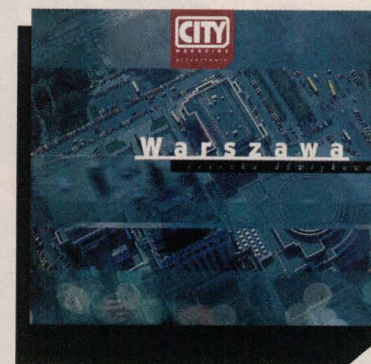
Pewne rzeczy starzeją się niezależnie, czy się nam to podoba, czy nie. Choć żal. Choć to niesprawiedliwe. Nie winię wcale reżysera, że zatrzymał się w zdefiniowanej do końca estetyce, że nie czuje, jak głucho brzmią dzisiaj akurat „Szewcy”. Zły jestem, że to my uciekliśmy tak bardzo do przodu.

ŁUKASZ DREWNIAK

Narodowy Stary Teatr w Krakowie, „Trzeci akt” według „Szewców” Stanisława Ignacego Witkiewicza, scenariusz i reżyseria Jerzy Jarocki, scenografia Jerzy Juk-Kowarski, muzyka Stanisław Radwan, choreografia Jacek Tomasiak. Premiera 19 kwietnia 2002 r.

CITY
MAGAZINE

przedstawia nową płytę



świeża muzyka ze stolicy

premierowe utwory najważniejszych twórców sceny alternatywnej

od 13 maja w sklepach muzycznych w całej Polsce

PATRONI MEDIALNI

PRZE
KRÓJ

gazeta.pl

gazeta

radiostacja

machina

kaktus

PRODUKCJA
I DYSTRYBUCJA

Sony Music

Andruchowycz jest praktycznie jedynym znanym u nas nowym pisarzem ukraińskim.

Nowym, bo 42-letni obecnie Jurij rozgłos zyskał już w niepodległej Ukrainie.

Nowym, bo w swoich powieściach, takich jak wydane również w Polsce „Rekreacje” oraz „Moscoviada”, znalazł sposób przekazania emocji młodych zachodnioukraińskich inteligentów.

Dwa lata temu Andruchowycz podróżujący po Polsce razem z Andrzejem Stasiukiem dowiedział się,

że pod jego nieobecność złodzieje doszczętnie obrabowali mu mieszkanie.

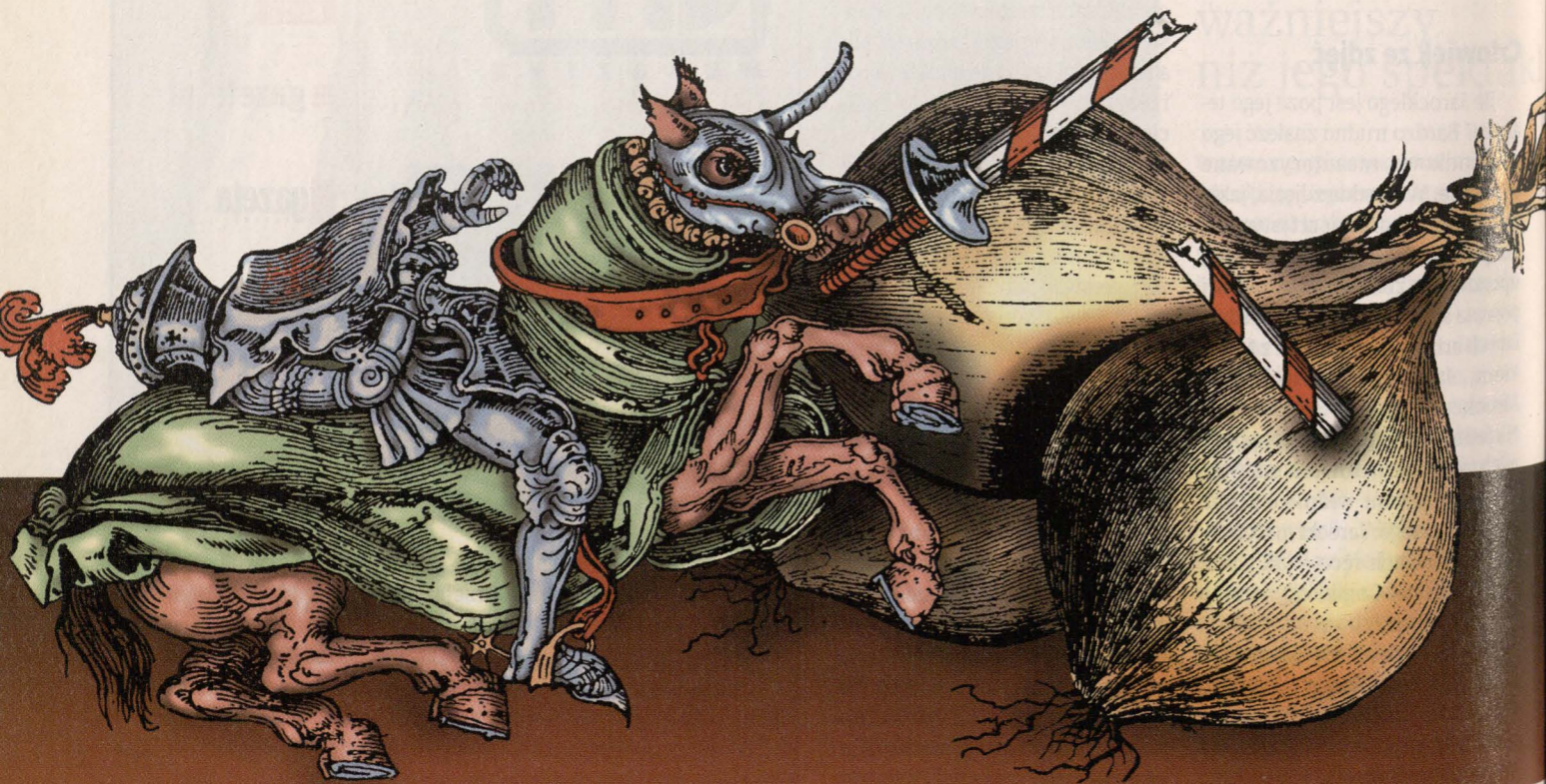
Doznana wówczas przykreść stała się punktem wyjścia drukowanego przez nas

- z niewielkimi skrótami - opowiadania, w którym obok wyobrażeń złodziei pojawiają się widma rycerzy zakonu krzyżackiego! (PDW)

Malbork i Krzyżacy

JURIJ ANDRUCHOWYCZ

RYUNKI DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIEŁOW



1

Malbork leży w tej wewnętrznie wgłębionej części świata, której fragmenty przyjęto na mapach fizycznych oznaczać kolorem ciemnozielonym. To taka kartograficzna konwencja; ciemna zieleń powinna kojarzyć się z wilgocią, bagnami, deszczami i miriadami owadów w lecie. Nadbałtycko-pruskie krajobrazy nie oszałamiają zazwyczaj swym ekstremizmem; prócz nudnawej równinności charakteryzuje je co najwyżej niesamowita ilość tu i ówdzie rozsianych niewielkich jezior. Na mapie wygląda to na naturalne wspomnienie okrucich rozbitego lustra. Tak też jest w rzeczywistości - cały ten jeziorny nadmiar stanowi pozostałość po do dziś topniejącym lodowcu. Zagrocona wszelkimi odpadkami pamięć werbalna podsuwa przy tej okazji słowo *moreny*, ale tu grzęźniemy, jednakowi w powierzchowności własnej wiedzy z geologii oraz innych nauk o ziemi (tak jakby nauki o niebie były nam bardziej dostępne). (...)

Kiedy więc wyrasta przed nami zamek, ten brontozaur z czerwonej cegły i zieleni, to zbyt potężne miasto wewnętrzne, czujemy się niemal szczęśliwi. Jest po temu kilka powodów. Po pierwsze - pod zamkiem mnóstwo piwa, wina i wolnego czasu. Po drugie - perspektywa dotknięcia czegoś kompletnego i autentycznego (choćby i muzealnego). Po trzecie - również perspektywa dalszej podróży, morskich pejzaży hanzeatyckich, bursztynowego Długiego Targu na końcu, czyli świadomość, że im dalej, tym lepiej. Po czwarte - fakt, że mamy 14 maja 2000 roku.

Tak więc 14 maja 2000 roku o godzinie gdzieś tak samo czternastej z minutami przekroczyliśmy granicę Niskiego Zamku czy też przedzamcza w Malborku i mijając kioski, kawiarnie, pocztę oraz biura turystyczne, ruszyliśmy w stronę Średniego i Wysokiego Zamku, w którego bramach dostrzegliśmy miejscowych chłopców w białych płaszczach z czarnymi krzyżami. Coś rozdawali - jakieś odezwy czy deklaracje, a może indulgencje, najpewniej jednak ogłoszenia o koncercie. Nigdy już się nie dowiemy, jaką tego wieczoru muzykę proponowano gościom zamku: gregoriańską, organową, free jazz czy hip hop? Nie doszliśmy do bram i nie znaleźliśmy się w zamku.

Właściwie do dziś nie wiem, dlaczego właśnie w tym momencie zachciało mi się zadzwonić do domu. Czyżby sam widok budek telefonicznych zdolny był wywołać tak niepowstrzymany napływ nostalgii? Czy też to moja wszechobecna paranoja z natarczywym wyobrażaniem sobie w najdrobniejszych szczegółach jakichś nagłych katastrof i nieszczęśliwych wypadków?

2

Kilkanaście godzin wcześniej, to znaczy 13 maja 2000 roku późnym wieczorem w Iwano-Frankiwsku, w budynku z wielkiej płyty nr 50, w pobliżu ulic Iwasiuka i Parkowej, również przekroczone granicę. Drzwi wejściowe uległy pod kopnięciem nogą, jeśli nie za pierwszym, to za drugim razem. Od tego momentu działający z zamiarem popełnienia przestępstwa stają się przestępcami, nie dostrzegając jednak metamorfozy prawnej. Dzielnica, w której mieszkamy, typowa dla późnoradzieckiej urbanistyki, zwykła chorobowa narośl na ciele miasta, zapewne jeszcze siłą socjalistycznej inercji została pomyślana przez cynicznych architektów jako Miasto Słońca. Pełno tam nikomu niepotrzebnej młodzieży, chroniczne bezrobocie, mnóstwo całodobowych sklepików i barków z wódką i narkotykami (do niedawna ta okoliczność, co tu krzyć, wydawała mi się zaletą). Najczęstsze i najwzkiejsze dla tutejszej milicji sprawy to - oprócz aktów przemocy - właśnie włamania do mieszkań i kradzieże samochodów. Przeciętnie milicja wykrywa jednego sprawcę na dziesięć takich przestępstw, statystyka pozwala zaokrąglić liczby po przecinku, jest

więc faktycznie bezradna, nadto w sumie dość zadowolona, i właściwe na nic już nie reaguje (...).

Oto wpadają do naszego mieszkania, nie jeden na przykład czy dwóch, ale troje, choć całkiem możliwe, że ktoś z nich został jeszcze na klatce schodowej, by kontrolować z okna podwórze i wejście do klatki. Tak, musiał być ktoś *na obcinie*, bo przecież nie dokończyli dzieła, a ściślej, dali dyla, porzuciwszy związane obrazy i niektóre *fanty*, więc jednak musiał ktoś stać *na obcinie*. Choć nie wykluczam też telefonu z jakiegoś bardziej odległego punktu obserwacyjnego, ale taki już mój los - dodawać mało istotne szczegóły do czterech uniwersalnych wątków. Ten jest o szturmie na ufortyfikowane miasto bronione przez bohaterów. Albo nie - o poszukiwaniach, oczywiście skazanych na niepowodzenie.

Teraz wracam jednak do tych trojga, wśród nich musi być dziewczyna, *dzieweczka*, suka, trochę jeszcze dziecko, ale już kobieta. Kobiety są niezbędne w takich operacjach, ponieważ potrafią znacznie uważniej obchodzić się z rzeczami, zdolne odczytywać aluzje codzienności niczym rozdział w Księdze Żywota, a dzięki temu momentalnie wyciągać intuicyjnie wnioski o miejscu przechowywania skarbu. Skarb zwykle wyobrażają sobie jako stosunkowo dużą (...) paczkę dolarów albo innych *nieprzemijających* wartości ukrytą przez zapobiegliwą gospodynię gdzieś w bieliźniarce.

Ta półżeńska istota potrzebna jest nadto do zbierania pomniejszych zdobyczy, trofeów mniej istotnych: perfum, szamponów, kremów, biżuterii, bibelotów z drewna, srebra, kości słoniowej, kamieni rzecznych - wszystkich tych od lat gromadzonych w coraz większych ilościach miłych damskich rupieci, efektu wszelkich urodzin, imienin i spontanicznych przyjęć z pijatykami, więc ona, tylko ona, zdoła odróżnić w tym wszystkim *firmę* od badziewia. Wybiegając naprzód i nie bez satysfakcji, jej pomyłki w tej dziedzinie okazały się po prostu podstawowe, wybór padał na to, co najbardziej błyszczało, tak więc jasne, to była *siksa* z wiecznie poobijanymi kolanami i podrapanymi łydkami, z poobgryzanymi paznokciami i nieuchronnie żółknącymi starym siniakami na wątych biodrach. Uzupelnienie: trochę za duży stanik matki. Starej dobrali się do dupy we Włoszech, a stary przepadł bez śladu w Rosji.

Prócz tego potrzebna jest do trójkąta. Wie, że obydwa są w niej - jak by to powiedzieć? - zakochani i będą się dla niej prześcigać w staraniach. To taka opowieść o rywalizacji, miłości i zdradzie. Ona jeszcze powie, którego z nich bardziej i z którym. Obydwa są niskiego wzrostu, ostrzyżeni na pałę, obydwa w dresach, tyle że pierwszy ma bardziej oryginalne kolory - zielony z szarym. Albo fiolet z szarym. Jeszcze nie wie, który z nich bardziej się jej podoba.

Obydwa udają o dziesięć lat starszych. Obydwa twierdzą, że są z szajki. Pierwsze mieszkanie obrobili rok temu, niby że to jest rocznicowe - dziesiąte, dwudzieste piąte, setne. Obydwo jednak zdradza drzenie rąk i głosu. W pierwszej chwili nie wiedzą, co robić - biegają z pokoju do pokoju, wpadając na meble i na siebie nawzajem, otwierają szafy, łapią się za szuflady, zapalają światło, gaszą, błyskają latarkami, znowu zapalają światło. Psa, który szczeka w łazience coraz głośniejsze, trzeba by uciszyć, ale nikt z nich nie potrafi tego zrobić, co samo w sobie świadczy o tym, że jest jeszcze dla nich jakaś nadzieja. W końcu wyganiają psa na schody. Uspokaja ich to z jakiegoś powodu, tak, czasu mają nie więcej niż trzy, cztery godziny, od czego tu zacząć?

Nazajutrz dowiemy się o wszystkim i od tej chwili zawładną nami niepodzielnie, będziemy o nich myśleć, mówić, będziemy ich sobie wyobrażać, zabijając powoli, używając własnych kolorów, projektując. Nazwiemy ich *oni*, po czym nigdy więcej się z *nimi* nie rozstaniemy.

3

Idea polegała na tym, żeby schryścianizować wszystko na świecie. Stopniowo posuwając się coraz dalej na północny wschód, poszerzać włości zakonu o coraz większe terytoria. Należało przebić się do morza i jego bursztynowych brzegów, biejących na widnokręgu żagli. Dostęp do morza jest przecież historycznym zadaniem dla każdego państwa. Jeśli nie dokona się tego w porę, wówczas wszystkie wybrzeża podzielią między siebie sprytniejsi, a wam przypadną w udziale dowcipy o ministerstwie żegluga morskiej.

Trzeba było nawracać na prawdziwą wiarę miejscowych dzikusów, to jest palić ich zawzione siedliska wraz z niemytymi idolami, a następnie całe plemiona zganiać do polodowcowych jezior i trzymać ich tak godzinami po szyję w wodzie na odległość najeżonych pik, żeby, kurwa, nabrali rozumu. Trzeba było godnie nieść swój cywilizacyjno-dezynfekcyjny krzyż, czyli miecz, dźwigać na sobie zbroję, ciągnąć za sobą, grzęznąć w piaskach, organy i ołtarz, tygodniami nie spać podczas wypraw, kopać rowy i sypać wały, pościć, modlić się, karmić komary swą nieskazitelną krwią i w skupieniu medytować, ale to próżny trud, nie sposób było nauczyć tych ciemnych głupków ani łaciny, ani nawet medycyny czy bodaj higieny. (Zabawne, że pod koniec czerwca znalazłem się znowu w Malborku, tym razem w towarzystwie setki wszelkiej maści cudownych pisarzy - z trudem unikam pokusy, by nie napisać: cudacznym - wówczas znalazłem się wreszcie w zamku, wszystkim pokazano te ich rycerskie toalety umieszczone w specjalnej wieży z kanalizacją. Kanale, już wtedy znali się na tych rzeczach!).

Tak więc w 1309 roku, kiedy wielki mistrz o nieco reminiscencyjnym imieniu Zygfryd von Feuchtvangen ogłosił marienburską siedzibę rycerzy niemieckiego zakonu swą główną rezydencją, z miejscową ludnością pruską dawno już się zwycięsko uporano. Co prawda w 1772 roku Prusy niby powróciły, ale nie te i nie z tymi Prusami, a raczej z Prusakami, których do dziś nikt w Europie nie lubi, niebezpiecznie kojarząc ich z tępyimi żołdakami, chirurgią polową oraz filozofią Kanta. Trzysta lat wcześniej jednak zamek w Malborku wpadł w ręce po sarmacku nieustraszonych rębajłów - Polaków - o czym nie wprost wspomina Szekspir w „Hamlecie”, czyniąc aluzję do porażki głośno rozreklamowanej kampanii Fortynbrasa.

Tak więc zwykła arytmetyka mówi, że panowanie Krzyżaków w tych okolicach trwało wszystkiego może jakieś dwa wieki, lokując się w otchłani czasu między połową XIII wieku a połową wieku XV. W ciągu tego okresu wzniesiono niejedną pas murów obronnych, potem zaś i całą tę czerwono-strzelistą bryłę, pałace, tarasy, galerie, krużganki, wieże, kaplicę Najświętszej Marii Panny z ołtarzem św. Anny i mnóstwo innych budynków: mieszkalnych, publicznych, szpitalnych i gospodarczych, gdzie obok niewyczerpanych zapasów zboża, mąki, chmielu i miodu nabierały mocy zdobyczo-rytualne wina. W sadzawkach pływały karpie, a w oranżeriach z fontannami przechadzały się pawie i bażanty, i aż się prosi, żeby dopisać: „i pingwiny”.



Nic więcej nie mogę sobie przypomnieć. Pozostają mi tylko słowa, a ściślej - ich powłoki (refektarz, dormitorium, kapitularz) i cierpkie *poczucie obecności* przeżyte w ogrodzie wielkiego mistrza.

4

„W rzeczywistości wino wolno było pić jedynie zwierzchnikom zakonu oraz chorym i rannym - poinformowała przewodniczka. - Zwykły rycerz zakonnik dostawał do kolacji tylko kufel piwa”.

Pokiwaliśmy głowami ze smutkiem, w żadnym razie niezdolni pojąć tego dramatu. Niektórzy z nas byli spragnieni bardziej piwa niż wina. „I tak ich pokonał” - rzekła pani z Białorusi, z poczuciem wyższości spoglądając z wieży na wypełniony tłumem turystów dziedziniec. „Może by zadzwonić do domu?” - zatrwożyłem się, rozpoznając pierwsze symptomy mej paranoi podróżniczej. Tym razem jednak w porę się powstrzymałem, uświadomiwszy sobie, że lepiej nie wiedzieć, niż wiedzieć, lepiej nie mieć, niż mieć i lepiej nie być, niż być.

5

W podobny sposób szukałem ratunku i wówczas, 14 maja. Staliśmy na moście nad rzeką Nogat i bezymyślnie gapiliśmy się na czerwoną bryłę zamku, który pozostał rzeczczą samą w sobie. „Szczęśliwy ten, kto nie ma nic do stracenia”, udzieliła mi pierwszej pomocy przypomniana i zapomniana maksyma. „Niczego nie traci tylko ten, kto niczego nie posiada”, weszła z nią w ukrytą polemikę inna, w porę zapomniana i przypomniana. „Banał odczuty na własnej skórze to już nie banał, a prawda cierpienia”, przedarł się z podziemi pamięci kolejny banał.

Musiało upłynąć trochę czasu, niezbędne dla boksera po nokaucie, żeby myśli o utraconych rzeczach ustąpiły poczuciu wdzięczności. Tak naprawdę mieliśmy szczęście, spróbowałem jakoś je podsumować. Po pierwsze, wszyscy przeżyliśmy, łącznie z psem. Po drugie, nie zdążyli wynieść wielu rzeczy: obrazów, które dostaliśmy od przyjaciół, glinianych dzwoneczków, kamieni rzecznych, żadnego albumu, pisma, książki, pocztówki, starego listu i - co w ogóle

wydawało się cudem i znakiem! - żadnego kompaktu z całej kolekcji wytrwale gromadzonej przez lata i niezbędnej mi jak powietrze, szczególnie kiedy jestem sam i nieco wstawiony, bo wówczas otwiera mi się trzecie ucho, i tym podobne. Ręka Opatrzności władczo powstrzymała ich właśnie na granicy z szafką, w której przechowywano całą Najlepszą Muzykę Świata. To znaczy butelkę Ballantine's Finest z poprzedniej szafki jeszcze zdążyli. Tu jednak uderzył w nich Grom z Jasnego Nieba i powstrzymał.

Po trzecie, pieniędzy nie znaleźli, bo ich prawie wcale nie było, ale gdybyż o tym wiedzieli! (Sieroca niczym liść jesienny ostatnia setka doczekała nas w swym zakamarku, nietknięta i cnotliwa - zapragnęliśmy ją zbezczeszczyć, to znaczy nakupić za całą stowę wszelkich trunków i urządzić jakieś apokaliptyczne urodziny dla wszystkich tych szubrawców. Ale mniejsza o to).

Kroczyli przez pokoje, półki, przedmioty niczym wojsko w natarciu podzielone na trzy dywizje. Dziewczyna przeczesywała

szafy z odzieżą, rozrzucając po podłodze ciuchy i przetrząsając stopy bielizny, w której (o czym już wspomniano) zwykle ukrywa się koperty. Jej pierwszy kochanek rozmontowywał i pakował gdzie się dało aparaturę, sprzęt, *farsz*, przy tej okazji pojawił się pierwszy wers wesołkowatego wierszyka bez dalszego ciągu: aiwa, philips, moulinex. (...)

6

Pierwszy dzień po powrocie do domu upłynął pod znakiem niezwykle wyczerpujących rozmów z milicją. Najpierw trafiliśmy do całkiem świeckiego z wyglądu stróża porządku publicznego: dzielnicowego, który kichał na wszystkie strony, z niezaprzeczanymi oznakami błyskawicznie postępującego kataru, i zapewnił nas tak przekonująco, jak tylko potrafił, że w naszej sprawie jego ludzie są tuż-tuż od wykrycia sprawców. Teraz, po półtora roku, są zapewne wciąż u progu sukcesu, wstydliwie nie mając odwagi zastukać do bram przestępstwa i przestępując z nogi na nogę. Naprawdę, jeszcze tego samego dnia zrobiło mi się żal tych naszych chłopskich synów, którym potrzebni byliśmy jak dziura w moście: krzywa przestępczości, sprawozdawczość itd.

Zresztą z zasady nie mogli niczego zdziałać. Było ich sześciu, całych sześciu stróżów porządku i prawa wkroczyło na *miejsce* zdarzenia, to znaczy do mojego domu, następnego dnia po kradzieży, trzaskali tylko drzwiami, kopali rozrzucone pod nogami rzeczy, biegali z pokoju do pokoju, i w końcu się zabrali, przy okazji zwiżając pozostawione szlachetnie przez złodziei sześć dolarów. Na każdego z nich przypadło po dolarze (podzielili je uczciwie - choć i w to można wątpić). Ale o jakim wykryciu sprawców może być mowa, skoro ci, do których to należy, okazują się *brudem spod paznokci* i zabierają nawet to, czym wielkodusznie pogardzili złodzieje.

Później miałem pouczającą rozmowę z pewnym śledczym przypominającym bardziej ucznia szkoły rolniczej. Ściślej mówiąc, było to przesłuchanie, a przesłuchiwanym byłem ja. „Dziś piątek, więc pracujemy na *dyskatiekie* - dzielił się ze mną operacyjnymi sekretami. - Myślę, że też tam będą. Puścimy naszych ludzi na *diskatieku* i *prowierim* wszystkie możliwości”. Wprost fizycznie czułem, jak by sobie potańczył. Wrażenie, jakbym znalazł się w środku jakiegoś byle jakiego radzieckiego filmu z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych, nie ustępowało.

„Komputer - przypominałem mu. - Warto sprawdzić, czy nie korzystają z mojego konta internetowego”. Po tych słowach zobaczyłem bezgraniczny brak zrozumienia w jego wodnistych oczach i miałem ochotę walić głową w milicyjne, odrapane mury. „Jóówicie, komputer - powiedział z wyrzutem. - A nasze komputery to papier, ołówki i nogi do biegania”. Nie powiedział: „i głowy do myślenia”, co samo w sobie nawet nieźle o nim świadczyło.

W korytarzu darła się wniebogłosa jakaś kobieta. Za wszelką cenę trzeba wyrwać stamtąd naszą córkę. Przesłuchiwano ją już ponad trzy godziny. Potem okazało się, że i pozostali śledczy są podobni. Nie było sensu szukać tam pomocy. Uzbrowiony w automat tłumok nie chciał nas wpuścić do małej. Obok przepchał się jakiś klient, niski, łysy, w dresach (szare z niebieskim). Byli niczym gracze jednego zespołu na treningu czy bracia bliźniacy, co z nadmiaru energii się pobili. To typologiczne, chromosomowe podobieństwo kodów genetycznych gliniarzy i bandytów mówiło samo za siebie. Najgorsze, że wychodziło daleko poza granice tego posterunku - to było podobieństwo ogólnogatunkowe; ta wielka ukraińska rodzina, ta parodystyczno-komiczna mafia, rodzina-rodzina - z ojca na syna, och, ród nasz piękny i wspaniały, napakowani, łysi, w dresach, gromadzili się koło bazarów, dworców, stacji benzynowych, budek, pobrzękiwali kluczami, drapali się w głowy, łuskali słonecznik, kradli, jedli, srali i tak dalej, a tacy Krzyżacy, ci to byli rośli,

długowłosi, czaszki wydłużone, czyste ręce, gorące serca, a że pragnęli oswobodzić Grób Pański, to trzy razy dziennie śpiewali modlitwę do Marii, dlatego kiedy wreszcie wyrwali się we trójkę z córką z tego ograbionego miasta, gotów byłem zakrzyknąć rytualne „Heil” - tak jakby nie było innego sposobu dla wyrażenia uczuć.

7

Mój dobry przyjaciel Gogo mieszka w Nowym Jorku, ale każdego lata przyjeżdża na Ukrainę. „Wiesz - powiedział - pewnego razu zrozumiałem, dlaczego jest tak paskudnie. Zauważyłem, że młodzi chłopcy i mężczyźni lubią siedzieć w kucki, po prostu na ulicy. Zbierają się po czterech, pięciu, siadają kołem w kucki, przy czym milczą, palą i spluwają. To na pewno tatarskie geny. To Tatarzy w stepie”.

W ogóle, tak naprawdę, to zwyczaj ukształtowany w *zonie*. Prostują przy tym ręce, opierając je łokciami na kolanie, żeby odpoczęły.

Ale nie zamierzałem burzyć historiozofii Gogo. Niech myśli o łucznicach Tamerlana. I tak ich pokonał, powiedziała pani z Białorusi. (...)

W ciągu niespełna dziesięciu lat zdążyłem wyrobić w sobie - o nie, niech w tym miejscu będzie bardziej patetycznie! - tak więc wypielegnowałem w sobie coś nadmiernie ciepłego i wilgotnego: miłość do powrotów. Miłość to nieco kazirodca - był to pociąg przede wszystkim do mego miasta, które nie wiedzieć czemu i czasem od rzeczy nazywam a to Stanisławowem, a to Frankiwskiem, zapominając, że w rzeczywistości to dwa miasta w jednym, których współżycie ze sobą pozostawia wiele do życzenia, choć w każdym z nich czuję się *jakby w domu*, a jednak w domu.

Tym razem jednak złapałem się na nienawiści. O ty, dziuro zapyziała, pipidówku zasrany, żalosne zadupie, cholerna, zabita dechami prowincjo, hybrydo dupy z pęcherzem moczowym, śmietnisko świata i pośmiewisko! O ty, co nie potrafisz ani docenić, ani obronić swych najlepszych ludzi, nie wiadomo za co ci podarowanych! O ty, co nie spoczniesz, póki nie przerobisz ich wszystkich na takich samych somnambulicznych meneli i niewydarzonych kmiotów jak przeważająca większość twych mieszkańców!

Całe miasto to *oni*, prawie nie pozostało w nim nas. *Oni* zewsząd śledzili nas, przez całe miesiące i lata przygotowując się do karnej ekspedycji: znali trasy, po jakich się przemieszczaliśmy, godziny wyjazdów i powrotów, improwizowane zygaki nocnych wycieczek; *oni* dziesiątki razy dzwonili i milczeli z tamtej strony, ale to napastowanie było najbardziej niewinne z *ich* psychologicznych ataków. Niekiedy strzelali pod naszymi oknami, częściej jednak dawali znać o swym istnieniu, po raz kolejny przewracając i bijąc do nieprzytomności na trawniku w parku czy na dnie Fortecznego Zaułka któregoś z naszych przyjaciół. Historia rozbitych okularów czy połamanych żeber mogłaby się okazać historią naszej zastygłej w latach dziewięćdziesiątych wieczności.

Nigdy nie sądziłem, że nie będę mógł widzieć twarzy. Ale tak się stało: nie było ich ani tego dnia, którego po raz pierwszy przestąpiliśmy próg naszego zbezczeszczonego mieszkania około siódmej rano, ani potem, przez następne dni *przyzwyczajania się*. Zamiast twarzy wciąż mi się trafiały wszelkie odrażające wizje w stylu Boscha, wzbogacone w swej potworności o czysto hollywoodzkie możliwości deformacji; idąc przez miasto, wyraźnie czułem, jak *oni* mnie poznają, z jaką złośliwą uciechą patrzą się na mnie: O, to on, k..., posuwa, a chatę mu obrobili! A także: Przebac, Panie! - kobiety i dziewczęta, szczególnie te ostatnie, nigdy nie myślałem, że *właśnie tak* na nie będę patrzył - jak na równoprawne współpracownice, oddane złodziejskie kochanki, wykonawczynie i wywiadownicze. W każdej z nich siedziała ukryta *ona*. Wszystkie

one to też *one*. A im ładniejsze, tym gorzej dla wszystkich i dla całego kraju. Przychodzą do was niby po to, żeby się poajdaczyć, a tak naprawę wszystko zapamiętują, co i gdzie leży, a w pochwach mają schowany gaz obezwładniający.

Odpowiedź na to wszystko mogła być tylko jedna: terror. Po raz pierwszy w życiu czułem wielki pociąg do pistoletów, potrafiłem myśleć tylko o strzelaniu. W myślach wpadałem do barów i kawiarni; byłem bezwzględny. Kładłem trupem wszystkich, co wyglądali na łysych. W zapale przesadzałem w niektórych przypadkach z okrucieństwem, odstrzelując *im* genitalia, czyli dokonując sterylizacji naszej przyszłości. Tak samo przeholowałem i z rzeczywistością, bo moje wspaniałe pistolety zamówione i kupione z najświeższych katalogów, jak się okazuje, nie wymagały ponownego załadowywania – mogłem rozwalić i po sto, i dwieście osób za jednym razem, faktycznie nie odrywając palca wskazującego od spustu.

Nie mniej natrętne były wizje czegoś takiego, co można by nazwać *systemem obronnym do rozstrzeliwania*. Ten system montowano gdzieś w moim mieszkaniu (techniczne szczegóły pozostawiam projektantom więzień i obozów koncentracyjnych przyszłości) i kiedy tylko ktoś obcy zbliżał się do drzwi, żeby po raz kolejny je wylać, uruchamiały się odpowiednie dzwignie, a drzwi same zaczynały strzelać, przesywając serią maszynową ich bezsensowne konwulsyjne ciała. „Kilka takich przypadków – przekonywałem sam siebie – tylko kilka takich wypadków i raz na zawsze położy się kres kradzieżom i włamaniom do mieszkań”.

Jednym słowem, wiedziałem, jak walczyć z przestępczością. Musiała dosięgnąć ich kara – nagła, straszna, nieuchronna – spadając na *ich* głowy całkiem irracjonalnie, mistycznie, w biały dzień.

To coś w rodzaju Niebieskiej Krucjaty: jakies metalowe konie z metalowymi dwumetrowymi aryjskimi jeźdźcami w białych płaszczach z czarnymi krzyżami, jakaś nieludzka muzyka, Richard Wagner, stare marsze niemieckie, czy może Rammstein albo Laibach...

8

Wśród wielu pytań pozostawionych bez odpowiedzi przez ową niedokończoną historię z raz i na zawsze zdematerializowanymi gdzieś nad Prusami metalowymi jeźdźcami mego gniewu najważniejsze wydaje mi się to, jak znowu pokochać to, co znienawidziłem?

Pewnego dnia kupię stare zwierciadło, w którym można ujrzeć duchy. Ludzie doświadczeni radzą nie kupować starych luster, bo w taki sposób przenosimy do własnego domu fragmenty cudzych, wymarłych światów, które zaczynają nas nawiedzać.

Ale tego właśnie mi trzeba. Chciałbym spotykać się z tymi ułamkami, widzieć odbite w lustrze nieistniejące perspektywy korytarzy, pokoi, postaci zjawiające się gdzieś w głębi. Wątpię, by dana nam była możliwość interwencji w przebieg wydarzeń widzianych w lustrze. „Rozminęliśmy się z przeszłością”. Tak więc, żeby jakoś sobie z tym wszystkim poradzić, pozostaje idealizacja przeszłości. Rozumiem, że tym samym robię straszne głupstwo. Ludzie przeważnie nie są wariaci tego, żeby o nich zbyt dobrze myśleć. Wyniesienie zmarłych kosztem tych, co jeszcze żyją, wydaje mi się niesprawiedliwe, a więc i niemądre, nie mówiąc już o naiwności. A im dawniej odeszli ci zmarli, tym mniej podstaw do tego, byśmy ich wynosili na piedestał.

Przed wszystkim trzeba było powstrzymać Krzyżaków. W jej kolejnej sprowokowanej przeze mnie potyczce tego, co europejskie, z tym, co ukraińskie, ich przewaga nie ulegała wątpliwości. Nie ważyło doprowadzać sprawy do końca, bo koniec okazałby się ostatecznym rozwiązaniem.

Chcę natomiast dać zapewne ostatnią szansę tym, którzy w nocy z 13 na 14 maja 2000 roku wyskakują na klatkę schodową z mojego mieszkania. Naprawdę nie mogę już się tu wtrącić, niech sami sobie radzą. Wszystkie drogi już odcięte, z wyjątkiem jednej – przez dach. Podają sobie zawinięte w prześcieradła i ręczniki rzeczy, torby, walizki, plecaki. Ich ruchy stają się dokładne i rytmiczne – można się zapatrzyć: pierwszy już na dachu, druga na drabinie, trzeci jeszcze na dole z ostatnim pakunkiem, który w mgnieniu oka przechodzi z rąk do rąk, możliwe, że pojawi się też czwarty – ten z *obcinki*, ale nam chodzi o tę trójkę, bo teraz wiąże ich znacznie więcej niż tylko wspólna akcja.

Kiedy znaleźli się na dachu, odetchnęli z ulgą, oglądają swe zdobycze, widzą nad sobą gwiazdziste niebo i całkiem szczęśliwi ruszają na spotkanie otchłani świata.

Przełożyła OLA HNATUK

Opowiadanie z tomu „Ostatnie terytorium”, który wkrótce ukaże się nakładem wydawnictwa Czarne



Robert Herrick

PŁACZĄCA WIŚNIA

Wiśniem płaczącą widział. Przecz płakała?

Gdzie też przyczyna? Wstyd to sprawił,
Czerwień czerwieszą nad własną ujrzała,

Traf Julii wargi mej tam stawił.

Alić, głuptasku śliczny, wściągnij żalę,

Niech też nie płyną już strumienie,

Wszak karbunkuły, szkarłaty, korale

Ta barwa wprawia w podziwienie.

Walt Whitman
POCHODNIA

Na moim północno-zachodnim brzegu w środku nocy stoi grupa rybaków i patrzy
Na jezioro, co rozpościera się przed nimi, pozostali łowią na harpun łososie,
Łódka, mroczny, niezwyraźny kształt, sunie przez czerń wody
Z płonącą na dziobie pochodnią.

Thomas Ernest Hulme

CZŁOWIEK W BOCIANIM GNIEZDZIE

Wicher gwizdże, taki dźwięk przeraża,
Samotną nocą z masztu zejść nie mogę,
A może to ocean gwizdże, niby to beztroski,
By ukryć trwogę
Jak chłopak z wioski
co drząc, przechodzi tuż koło cmentarza.

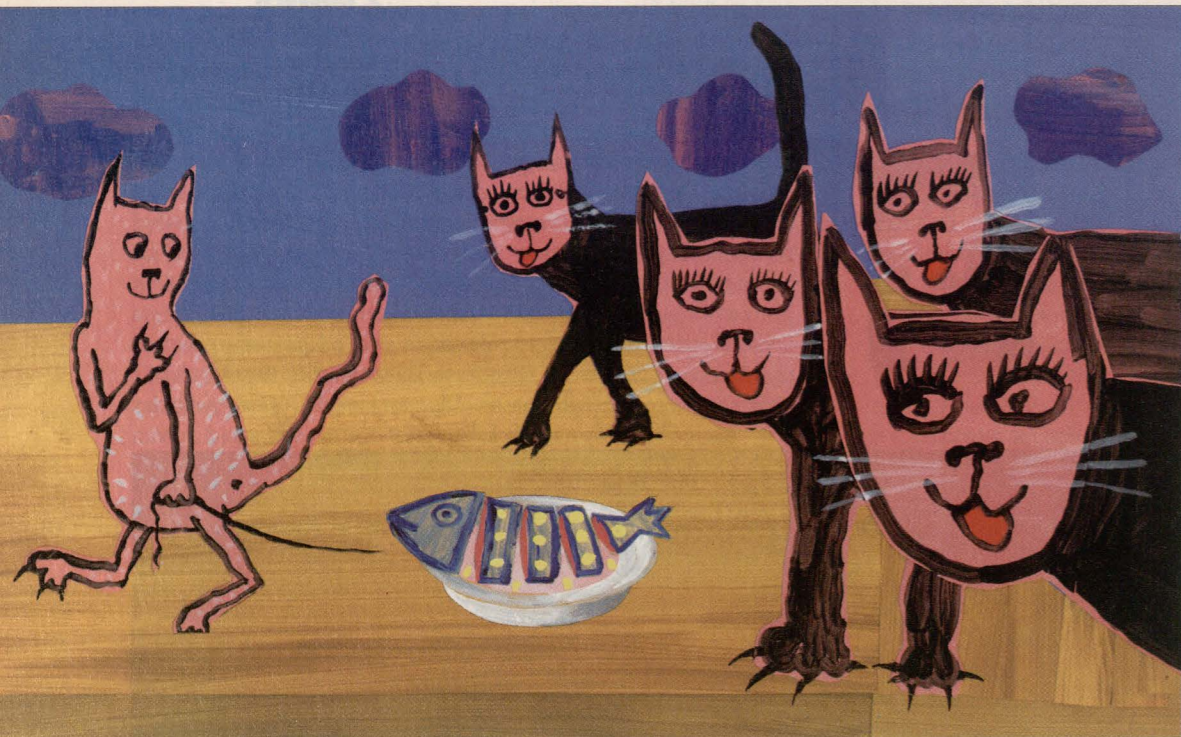
Wykorzystano fragmenty obrazów: Hendricka Avercampa „Rybacki w świetle księżycy”, Paulusa Moreelse „Vertumnus i Pomona”, Hendricka Dubbelsa „Widok plaży”.

Z nowych
przekładów
Leszka
Engelkinga

ROBERT HERRICK (1591–1674) młode lata spędził w Londynie, uczestnicząc w bogatym życiu literackim stolicy. Później, po przyjęciu święceń kapłańskich, przypadł mu w udziale los proboszcza w niewielkiej wiosce Dean Prior w hrabstwie Devon. Nie był tym zachwycony i – oprócz literatury – oddawał się także bardziej ekscentrycznym rozrywkom. Miejscowi wieśniacy jeszcze w XIX wieku opowiadali o dawnym proboszczu, który chodził na spacerzy z oswojoną świnią i uczył ją pić piwo z kufła z pokrywką. Przede wszystkim pozostawił jednak po sobie ponad tysiąc wierszy. Największy polski ich wybór to tom „77 wierszy” w przekładzie Stanisława Barańczaka (Arka, 1992).

WALT WHITMAN (1819–1892), adepty najróżniejszych profesji, piewca demokracji i miłości, pozostaje najślawniejszym i wciąż inspirującym poetą Stanów Zjednoczonych. Jego twórczość stanowiła punkt zwrotny w amerykańskiej poezji, wprowadzając do niej elementy codzienności i język potoczny. Na polski tłumaczono Whitmana już od roku 1872. Największym spośród wielu polskich wyborów jego poezji jest dwujęzyczny tom „Pieśń o sobie” w przekładzie i opracowaniu Andrzeja Szuby (Wydawnictwo Literackie, 1992).

THOMAS ERNEST HULME (1883–1917) był przede wszystkim eseistą, jednym z teoretyków kierunku poetyckiego zwanego imagizmem. Tłumaczył też na angielski francuskich filozofów Bergsona i Sorela. Uważa się, że jego prace wywarły spory wpływ na klasyków anglosaskiej poezji XX wieku Ezra Pounda i T.S. Eliota. Zginął na froncie francuskim podczas I wojny światowej. Za życia opublikował jedynie sześć wierszy. W Polsce prezentowany w czasopiśmie i antologiach. (MS)



FYS. MARIUSZ WILCZYŃSKI

jącego zbyt wiele składników, wymagającego czasochłonnych i niepotrzebnych procedur. Wątróbka po wenecku, którą na ogół się smaży lub piecze na ruszcie, tu jest zawinięta w słoninę i upieczona w piekarniku. Jednak z drugiej strony jest to wszystko bardzo smaczne. Sosy oparte na wywarach mięsnych, maśle i śmietanie wzbudzają sprzeciw dietetyków, lecz smakują wyśmienicie. W kucharskiej przesadzie można przecież dostrzec pieczołowitość – a nawet pietyzm. Rzecz w tym, żeby naśladować sposób, w jaki jadłano za czasów Casanovy, a przy okazji puścić wodze fantazji.

Bardzo przypadło mi do gustu prościutkie danie z ziemniaków autorstwa Romea Hofera z Alpenhotel Krone w Pfronten. Cieniutko pokrojone i podgotowane ziemniaki zapieka się z cieniutko pokrojonym jabłkiem w sosie ze śmietanki, w której poddusiliśmy podsmażoną w maśle szalotkę i wyciśnięty ząbek czosnku. Połączenie jabłka i czosnku z ziemniakami i śmietaną jest kongenialne. Tak jak szef Hofer podaje tę zapiekankę do kaczki. Interesujący jest również przepis na danie z dwóch rodzajów makaronu – nitek i rurki – w sosie maderowym. Ciekawy to sos, znany z kuchni północnych Włoch. Wołowinę naszpikowaną czosnkiem i obłożoną słoniną podsmaża się, a następnie dusi w rosolu z włoszczyzną i grzybami. Potem odciedza się wywar, zaprawia go maderą i polewa nim ugotowany makaron – rurki otaczają zwiłki spaghetti, wszystko zaś przybrane jest zblanszowaną kalarepką i posypane parmezanem. Mięso można wykorzystać do innych celów.

W ferworze naśladownictwa nie traćmy jednak z oczu sprawy zasadniczej: choć Casanova był smakoszem, a wręcz żarłokiem, wystawne posiłki miały dla niego zawsze ten sam cel – uwiedzenie tej bądź innej niewiasty. Wydając kolację *à la Casanova*, musimy więc być przygotowani na to, że goście poczują się urażeni, jeśli po deserze nie przejdziemy do *clou* programu, czyli amorów. Jak widać, niewinność i naśladownictwo rzadko idą ze sobą w parze – więcej na ten temat za tydzień.

TADEUSZ PIÓRO

À la Casanova

Proszę sobie wyobrazić *carpaccio* z głowizny wołowej z trufkami. Albo roladki z soli i krewetek z wątróbką drobiową w cieście. Dziwaczne, ale bardzo smaczne

Poza rzadkimi chwilami, w których udaje się nam wymyślić nową potrawę, wszystko, co robimy w kuchni, jest naśladownictwem. I coraz częściej naśladownictwo staje się istotą rozmaitych kulinarnych zabaw organizowanych pod każdym możliwym pretekstem. A to ucztą średniowieczną, a to popasy wielbiciele „Ulissesa”, na których je się te same dania, jakie bohater powieści Joyce’a Leopold Bloom spożywał 16 czerwca 1904 r., czyli w dniu opisanych w „Ulissiesie” wydarzeń, to znów rekonstrukcje dań z „Pana Tadeusza” – wydaje się, że można tak przebiec całą historię literatury. Interesującą formę nadał naśladownictwu Georg A. Weth, autor książek z rekonstrukcjami ulubionych dań postaci takich jak Salvador Dali czy Giacomo Casanova. Zaprasza do współpracy szefów kuchni z różnych restauracji niemieckich, którzy przygotowują po jednym posiłku,

opierając się na opisach poszczególnych dań dostarczonych im przez Wetha. Nie zawsze są to opisy szczegółowe, zatem kucharze mogą, a czasami wręcz muszą, wykazać się niemałą inwencją. O ile w książce o kuchni Dalego, którą już w tej rubryce omawiałem, dania nie wymagały uwspółcześniania, tak w przypadku XVIII-wiecznych potraw jadaných przez Casanovę konieczne były pewne modyfikacje, choćby ze względu na możliwości domowych kuchni, lecz także inne niż wówczas gusta dzisiejszych smakoszy.

Oto przykładowy jadłospis: zupa krem z bazylii; *fricassée* z pulardy; sałata *à la Casanova*; jesiotr z wody; *ragout* z pieczarek; królik po wenecku; gruszki *à la Casanova*. Nie powinna dziwić obfitość dań – Casanova był nie tylko uwodzicielem, aferzystą i filozofem, lecz także łakomczuchem. Dania te przygotował na użytek książki szef kuchni

w restauracji Die Weyberhofer w Sailauf Andrej Kuhar. Przyznam, że zdumiał mnie niektóre z jego receptur. Obecność kogucich grzebieni oraz grasicy cielęcej w przepisie na *fricassée* z pulardy rozumiem i doceniam troskę kucharza o tradycyjne składniki. Lecz sos do sałaty *à la Casanova*, składający się z bulionu wołowego, szalotek, oliwy, oleju z pestek winogron, oleju aromatyzowanego trufkami, co najmniej 10-letniego octu balsamicznego, półwytrawnego sherry oraz musztardy, wydaje mi się przeraźliwym wynaturzeniem. Sałata z bulionem? Czy warto zadawać sobie aż tyle trudu, żeby osiągnąć dziwaczny efekt?

Lecz chyba właśnie o dziwaczne efekty tu chodzi. Proszę sobie wyobrazić *carpaccio* z głowizny wołowej z trufkami. Albo roladki z soli i krewetek z wątróbką drobiową w cieście. Nawet z dań całkiem zwyczajnych i prostych niemieccy kucharze robią coś dziwnego, zawiera-

Wraca, nie odchodzi

Dżins ukochany. Nigdzie się nie wybiera, jest z nami ciągle. To schodzi na budowy, to wkracza na salony. Był mundurkiem przemytników, bojowników, najemnych robotników. Nośną go tacy, co mają pierwsze zęby, i tacy, co ostatnie. Nie uwierzycie, ale tu, w tym miejscu, napisałam sto lat temu pierwszy w Polsce artykuł o dżinsach pod tytułem: „Dżinsy – spodnie epoki”. I miałam rację. A wtedy było to tylko przeczucie.

Nosimy je właściwie prawie całą połowę XX wieku. Jedni w nich tylko sprzątają w szafie lub rąbią drzewo koło swego pałacu czy nory, inni chodzą na eleganckie party. Nie będę tu pisać historii dżinsów, przypomnę tylko, że przyjętą nazwę materiału, z którego są dżinsy, czyli „dżins”, wymyśliłam ja. Ten materiał nazywał się kiedyś u nas „teksas”. A naprawdę przecież nazywa się *denim*. Ja go nazwałam džinsem i tak weszło do języka.

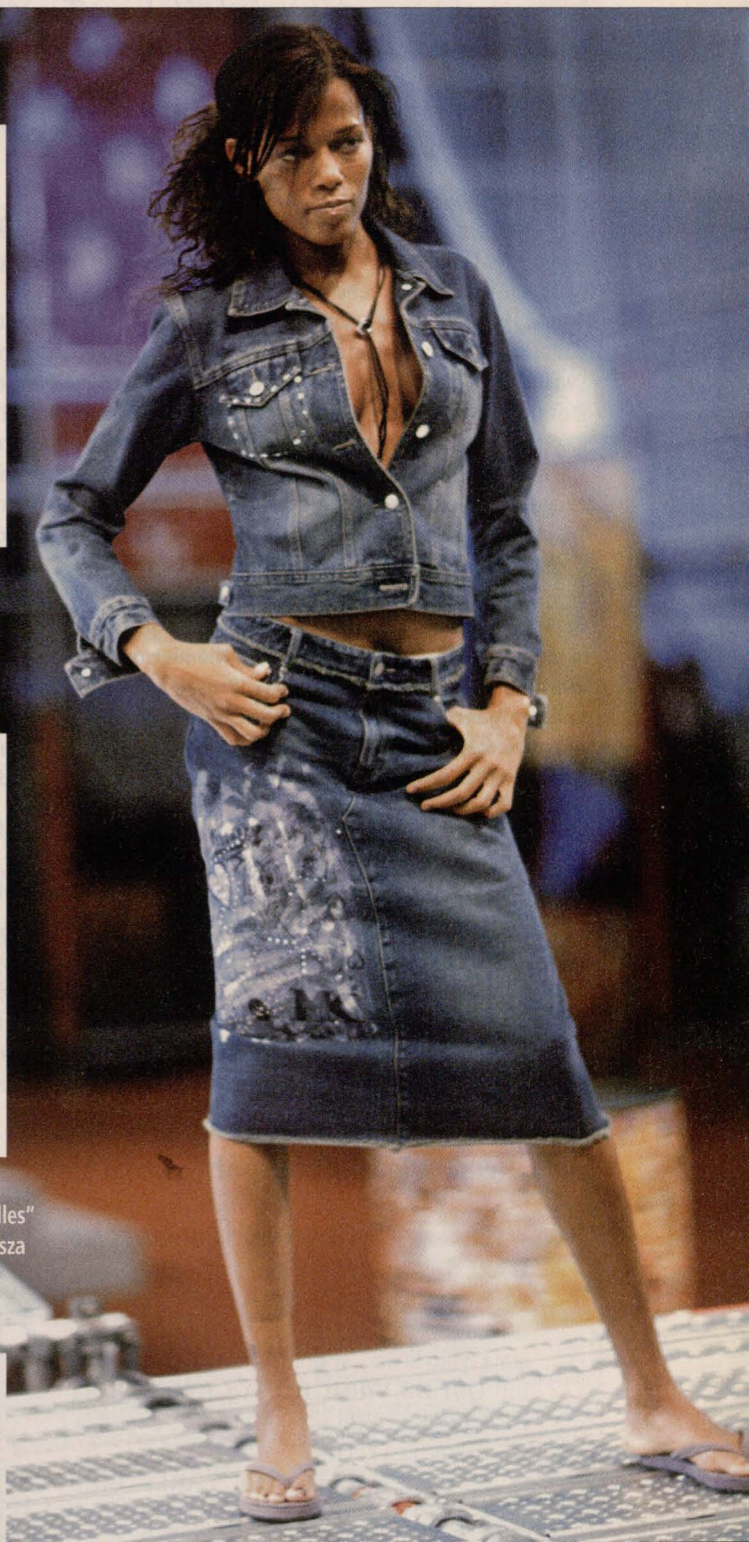
Bywało, że dżinsy musiały być markowe. Czyli być z którejś słynnej dżinsowej firmy. Firmy markowe rozlały się po świecie. Levi’s pozamykał fabryki w Ameryce i robił dżinsy głównie w Azji, bo taniej. Dlatego wszelkie etykiety, wszywki, plakietki, metki, nitki, napki i co tam chcecie, aby upartym uwiarygodnić firmowość dżinsów, robi się już wszędzie. A u nas? Ho, ho. Potrafimy podrobić wszystko, ale inni też. A marki dżinsowe zajęły się produkcją bluz, tiszertów, majtek itp., a różni słynni projektanci złapali się za dżinsy i już nie wiadomo, czy Chanel to perfumy, kostiumy, tiszerty czy dżinsy.

Po każdej wielkiej fali mody na dżinsowe rzeczy wydaje się, że to już koniec. Co jeszcze można wymyślić? Były podarte, były sprane, wyszarpane, haftowane, malowane, ścierane, elastyczne, z lusterkami, z cekinami, pruszone, złożone. Do tego masy różnych fasonów. Z dżinsów są kapelusze, torebki, buty, kostiumy kąpielowe. Jedwab na dżins, len na dżins, teraz będzie wełna w kolorze dżinsowym. Wchodzi w modę indygo i różne niebieskie kolory blisko dżinsów. To już nie jest dżins, ale ma ten kolor. Albo ma inny kolor, materiał, ale ten dżinsowy fason.

Oczywiście możecie powiedzieć, że dżinsy nie są eleganckie. Dla mnie są, ale się nie upieram. Ale przecież nie chcemy być eleganccy, tylko atrakcyjni. A w dżinsach wygląda się zgrabnie. Nie postarzają, mogą łatwo pomagać w określeniu stylu. Wielkie wiszące dżinsy z krokiem w kolanach – bardzo określony styl. Elastyczne ciasne dżinsy z opuszczoną talią i za mały podkoszulek – proste sygnały. Mamy dżinsy-dzwony, dżinsy rurki, duże szerokie pantalonki. Albo już klasyczny, ale bardzo popularny zestaw dla kobiet: dżinsy z czarną marynarką + biała bluzka. Albo biały tiszert. Bluzka może być bardzo wytworkna, prosta koszulowa, z popeliny czy jedwabiu. Jeśli do tego pójść ładne dodatki: pasek, torebka, buty, może być naprawdę stary zamek w tle. Albo wariacje do dżinsów: skórzana kurtka, kurtka motocyklowa, tiszert kolorowy albo czarny. Tradycyjnie, ale i moda. A kurteczka dżinsowa rozpięta i z buchającą naturą w środku stała się atrakcją pokazów mody.



Zdjęcia (4):
Groupe des Halles”
fot. Robert Kulesza



HOFF

Czy Pani zdaniem można farbować sobie włosy?

- Moim zdaniem sobie można robić, co się komu podoba. Mogą się ze mną nie zgodzić mamy dziewczyn instalujących sobie kolczyk w pępku, ale rodzina bez nieustającej różnicy zdań przestaje być rodziną.

W każdym razie dobrze, że skoro masz taki problem, zwróciłaś się akurat do mnie. Jestem osobą bezstronną, niezamieszana w sprawę farbowania włosów.

Nigdy Pani tego nie robiła?

- Owszem, robiłam, i to przez długie lata. Zaczęłam siwieć bardzo wcześniej. Dużo wtedy występowałam i jakoś nie widziałam siebie na scenie jako młodej babci z siwym koczkim, zaczęłam więc farbować włosy. Po 30 latach uznałam, że jestem już dostatecznie stara. Przekonana, że pod farbą stałam się siwa jak gołąbek, postanowiłam objawić to światu zewnętrznemu. No i okazało się, że w jakimś momencie przestałam siwieć, tylko że nie było tego widać. Przez 30 lat niepotrzebnie niszczyłam sobie włosy, że nie wspomnę o stałych dwugodzinnych sesjach u fryzjera (takie były wtedy farby). Teraz już nie rozumiem, dlaczego tak mi przeszkadzały białe włoki zakłócające naturalną czerń.

Te, jak je Pani nazwała, białe włoki niczego nie zakłócają, raczej przydają powagi i ważności. Cytuję opinię znawcy.

- Jakiego znawcy?

Osoby, która pomaga kształtować wizerunek politykom. Wypowiedziała się ostatnio w sprawie kanclerza Niemiec oskarżanego przez bulwarową prasę, że farbuję włosy. Proszę zobaczyć, podaje to niemiecka agencja Deutscher Depeschendienst ddp, a światowe agencje prasowe rozpisują się o tym w długich depeszach. Sprawę wniesiono do sądu. Więc problem ma charakter polityczny i międzyludzki.

- Pokaż. O rany!

Specjalistka od tworzenia wizerunku polityków w mediach nazwała Schrödera „politykiem ludzkim i sympatycznym, którego wiarygodność byłaby jeszcze większa, gdyby przestał farbować siwiznę na skroniach”.

Adwokat kanclerza złożył pozew, domagając się zakazania pod groźbą kary publikowania kiedykolwiek w przyszłości tej kontrowersyjnej wypowiedzi.

Fryzjerzy - berliński i hanowerski - kanclerza zeznali pod przysięgą, że oglądane przez nich z odległości 30 cm włosy kanclerza nie noszą śladów farby.

Opozycja włącza włosy kanclerza do walki przedwyborczej: „Kanclerz federalny, który farbuję sobie włosy, jest też w stanie upiększyć każdą statystykę”.



rys. MAREK SOBICZAK/RYBY

Sąd zapowiedział na 17 maja wydanie orzeczenia. Adwokat agencji zamierza w razie porażki odwołać się do Trybunału Konstytucyjnego.

O rany! Ale wiesz, co mi się w tym wszystkim podoba? Że kanclerz, o ile dobrze zrozumiałam, występuje do sądu z oskarżeniem prywatnym. U nas to prokuratura wszczęłaby z urzędu sprawę o lżenie głowy państwa. Byłoby jeszcze śmieszniej, ale za moje pieniądze.

Pani mi tu o prokuraturach, a ja chciałam o farbowaniu.

- Nie ma mowy. Większość znajomych starszych pań ma amarantowe włosy, a ja pamiętam, jak były blondynkami, brunetkami lub szarynkami. Jak myślisz, ile lat mogę dostać za taką publiczną wypowiedź? W kodeksie powinien być specjalny cennik kar za psucie image'u. Pomówienie o farbowaniu - tyle a tyle lat. Oszczerstwo o sztuczny ząb z przodu - tyle a tyle. Jeśli taka pani powoła świadków, że urodziła się z amarantowymi włosami, a przeze mnie nie została prezydentem, mogą mi wlepić niezłą odsiadkę.

Przy okazji chciałabym uspokoić „Przekrój”, że nie podam go do sądu za „posiwienie”.

Stefania Grodzieńska

Rozmawiała BEATA KĘCZKOWSKA („GW”)

SENNICZEK ŚCIŚLE JAWNY

Hamletem być albo nie być - dręczy cię jakieś dwuznaczne wspomnienie o wspólnych wakacjach, na które twoi rodzice zaprosili także stryjka.

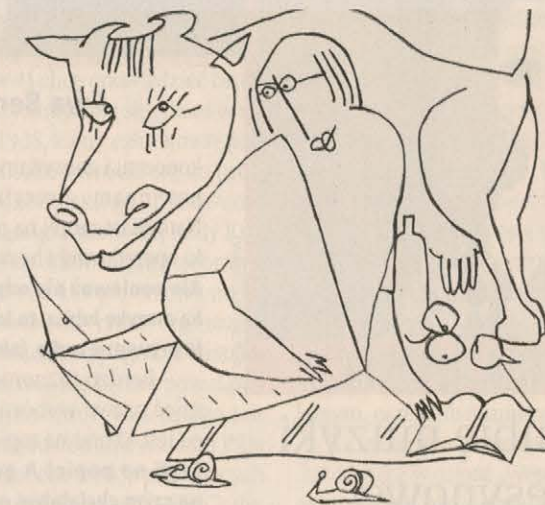
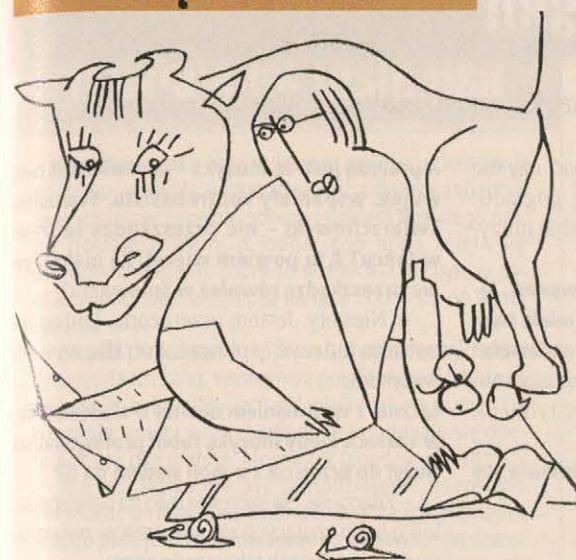
Hamulcowy płyn pic - chcesz się pohamować w picciu.

Handel wymienny uprawiać - opowiesz żonie, gdzie byłeś wczoraj, pod warunkiem, że ona ci nie powie, co o tym myśli.

Harvardem pogardzać - twój stosunek do macierzystej Wyższej Szkoły Pedagogicznej to coś więcej niż zwykła dumna i przywiązanie.

Hipermarketem zarządzać - chciałbyś mieć pod sobą bardzo dużo kobiet albo nie czujesz się bezpiecznie i chciałbyś wynająć ochroniarzy.

Baraneusz Dobrodziejewicz



...i znajdź 14 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki Hanny Kotowskiej. Rozwiązanie na s. 73.

daję słowo

Tyle

Tyle tych słów! Jest wśród nich i „tyle”.

Na pozór niespecjalnie ciekawe. Zwykła para do „ile”, jak „ten” do „który” czy „tak” do „jak”. „Ile?”. „Tyle”.

Kiedy mówię: „jest tyle”, to mówię, ile jest. Tyle że właściwie nie mówię. Niby mówię, tyle że nie słowami. „Mówię, tyle że...”. Czyli: mówię, ale niezupełnie. Pod jakimś zastrzeżeniem. Tu - raczej pokazuję ile, niż mówię. To tyle samo znaczy, co gdybym powiedział. „Tyle samo znaczy” znaczy tu: mniej więcej to samo.

A kiedy mówię „tyle a tyle” - to nie mówię, że akurat na przykład 12, tylko daję taki przykład. Jak wtedy, kiedy nie mówię jak, tylko mówię „tak a tak”. A kiedy mam „tyle, ile” - to mam zależność, „tyle mam, ile chcę” (tyle to nie mam, ale niech będzie taki przykład).



Często mówię ile (czyli, że tyle), kiedy policzyłem. „Popatrz, tyle mi wyszło”. 500. Albo dwa. Albo pięć razy tyle. To wtedy, kiedy liczę razy?

Ale nie muszę liczyć. „Popatrz, tyle zieleni!” - dziwię się. Tyle we mnie zdziwienia...

Czy to dużo? Czasem bardzo dużo. Tyle tego! Tyle roboty! Tyle na głowie! Tyle lat go nie widziałem! Chyba kopę.

A czasem bardzo mało, tyle co nic. Tyle co kot napłakał. Koty nie płaczą. I tyle z tego mam. Zniknął i tyle go widziałem.

Za dużo się nie napatrzyłem.

A kiedy próbuję zaprzeczyć „tyle” i mówię „nie tyle”, to nie tyle zaprzeczam, ile uściślam. „To nie tyle trudne, co żmudne”.

I już. I koniec. I tyle.

Jerzy Bralczyk

Jak powiedzieć, że spóźniałstwo nie popłaca

- w Polsce: KTO PÓŻNO PRZYCHODZI, SAM SOBIE SZKODZI
- we Francji: AUX TARD VENUS LES OS (w wolnym tłumaczeniu: tym, co się spóźniają, pozostają tylko kości - w domyśle: resztki jedzenia) lub QUI NE VIENT PAS À L'HEURE DOIT DINER PAR COEUR (dosłownie: kto się spóźnia, ten zostaje bez kolacji)
- w Wielkiej Brytanii: THE EARLY BIRD CATCHES THE WORM (wczesny ptak łapie robak - wyrażenie to świadczy o optymizmie Anglików, którzy wolą chwalić ranne ptaszki, niż ganić spóźnialskich - podobnie czynią Szwedzi)
- we Włoszech: CHI TARDI ARRIVA, MALE ALLOGIA (kto późno przybywa, ten źle sypia/dostaje „złe” spanie) lub CHI VA ALL'OSTO PERDE IL POSTO (kto idzie po drinka do oberżysty, traci miejsce), lub ewentualnie CHI DO-

- RME NON PIGLIA PESCI (kto śpi, nie łapie ryb)
- w Hiszpanii i Ameryce Południowej (poza Brazylią): QUIEN LLEGA TARDE NI OYE MISA NI COME CARNE (kto późno przychodzi, ten nie słucha mszy ani nie je mięsa) lub QUIEN LLEGA TARDE, NO ESCOGE (kto przychodzi późno, nie wybiera)
- w Szwecji: DEN SOM KOMMER FÖRST TILL KVARN FAR FÖRST MALA (kto pierwiej do młyna zejdzie, temu pierwiej zmielą)
- w Turcji: SONA KALAN DONA KALÝR (kto przychodzi ostatni, ten dostaje tylko gacie)
- w Niemczech: WER NICHT KOMMT ZUR RECHTEN ZEIT, DER MUSS ESSEN, WAS ÜBRIG BLEIBT (kto nie przychodzi na czas, ten musi jeść to, co zostanie)
- w Iranie: HAR KE CHÄBE, HASTEASZ BE ÄBE (ziarna należące do tego, kto śpi, porywa woda)

Kici Kic



Żyjemy pod okupacją, wykorzystywani przez niewidzialne pasożyty. Jedynym ratunkiem jest bezwzględne przestrzeganie praw moralnych. Tak twierdzi doktor Jan Pająk z Otago University w Nowej Zelandii, dawniej wykładowca Politechniki Warszawskiej.

Niewidzialni okupanci Ziemi, jacy od zarania dziejów rabują ludzkość, gwałcą (...), spychają nas w dół, wywołują na Ziemi wojny i nieszczęścia oraz nieustannie pozbawiają ludzi wszystkiego co najcenniejsze, (...) są jak my ludzie. (...) Ich wysokie zaawansowanie techniczne powoduje, że opanowali oni już technologię tak zwanego migotania. (...) Dzięki tej technologii na każde życzenie mogą stawać się niewidzialni dla ludzkiego wzroku, podobnie jak niewidzialne dla naszego wzroku jest przeskakiwanie kolejnych klatek filmowych w kinie czy szybko wirujące śmigło samolotu”. To nie zapis sennego koszmaru Stephena Kinga. To autentyczne cytaty z traktatu uniwersyteckiego naukowca.

Oczywiście, my, ofiary tajemniczej okupacji, nic o niej nie wiemy, bo okupanci migoczą zbyt szybko. Takie urywkowe istnienie nie przeszkadza im jednak na przykład nas dotykać. Ciekawe, jakie to uczucie: kontakt seksualny z isto-

PIATKA KLEPKA

tą migoczącą. Zdaniem doktora Pajaka wielu z nas miało taką przygodę, tyle że nic nie pamiętamy, bo migotliwy okupant był zbyt migotliwy.

Na szczęście, doktor Pająk utrzymuje także, że w kosmosie istnieje specjalne pole energetyczne, które pedantycznie pilnuje przestrzegania praw moralnych. Oddziaływanie tego pola sprawia, że każdy, kto na przykład zdradzi żonę, 30 lat później obleje się herbatą przy śniadaniu.

Czy możemy więc spać spokojnie, bo pole nas ochroni? Nie do końca. Do pola trzeba umieć się przystosować. Należy się z nim zestroić. Jak najdokładniej, całkowicie, totalnie. Dlatego system filozoficzno-fizyczno-moralny stworzony przez doktora Pajaka w celu zestrojenia ludzkości z polem nazywa się TOTALIZMEM. Kiedy już wszyscy będziemy totalnie stotalizowani według wskazań doktora Pajaka, tajemniczy okupanci przestaną migotać.

Należy żałować, że tak utalentowany specjalista jak doktor Pająk marnuje się za granicą. Zaprosimy go do Polski. Ma duże szanse w następnych wyborach. To nie jest żart. Podobnie jak cały ten tekst.

TOMASZ PIĄTEK



inne pytania

FOT. WOJCIECH OUKIŃSKI/AG

W ścisiku

Ewa Bem, piosenkarka, w rozmowie z Marią Czubaszek

koncertu i zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam zweryfikować tego poglądu. Natomiast raczej na pewno nie polubię muzyki operetkowej i heavy metalu.

Ale ponieważ nie odpowiedziałaś wprost, jaką muzykę lubisz, to inaczej. Gdybyś miała swoje prywatne radio, jaką muzykę byś nadawała?

– Bardzo różnorodną. Słuchacze powinni mieć prawo wyboru, a nie słyszeć tylko to, co jest akurat na topie.

Czyli na popie! A gdybyś nie śpiewała, to na czym chciałabyś grać?

– Na wiolonczeli.

Bo prześliczna wiolonczelistka?

– Może? Niewykluczone, że dyktuje mi to podświadomość.

A nie serce będące jak muzyk, który zwał z orkiestry...? A właśnie. Wolisz śpiewać z dużą orkiestrą czy tylko z akompaniamentem?

– Wolę jedno i drugie.

Po prostu wolisz śpiewać, niż nie śpiewać?

– Na pewno.

A w domu, prywatnie. Śpiewasz sobie?

– Raczej słucham. Zawsze musi być jakieś śpiewająco!

Wolisz męskie czy żeńskie?

– Męskich, które mnie poruszają, jest znacznie mniej. Ale za to jeden najbardziej.

Jeśli solista Ich Troje, to się zabiję!

– Będziesz żałować. Ale nie żałuj. To wokalista amerykański – u nas bardzo mało znany, tam bożyszcze od wielu lat: James Taylor. Działo na mnie terapeutycznie, relaksując pod każdym względem. Jeśli słysząc go w moim domu, to wiadomo, że była lub będzie jakaś draka. I chcę się rozładować.

Albo naładować... akumulatory?

– Też prawda.

A prawdą jest, że muzyka – jak twierdził twój wujek, wspaniały kontrabasista, Stanisław Zwierzchowski – nie przeszkadza ludziom w tańcu? A ja powiem więcej. Że niektórym nie przeszkadza również w śpiewaniu?

– Niestety. Jestem przerażona. Ludzie nie potrafią tańczyć i śpiewać. Potrafią wywalić wszystko.

Łącznie z wywalaniem akordu D siedem, który w czasach kiedy muzykę robili profesjonalści, służył do przejścia z a-moll siedem do G?

– Zdarza się. Na szczęście było mi dane spotkać kilku ludzi znających się na muzyce, zwłaszcza jazzowej, w sposób tak wyrafinowany...

Że?

– Drzę o nich. Że są otoczeni przez ludzi, którzy przy nich są głabami. Do tych wyrafinowanych zaliczam Ptaszyną Wróblewską, Wojtkę Karolaka, Zbyszka Namysłowskiego, Zbyszka Jaremkę czy Andrzeja Jagodzińskiego. Ale przede wszystkim zawsze myślę o Wojtku i Ptaku. Wszelkie spłykanie jest dla nich normalnie bolesne. Jak dla eleganckiej kobiety chodzenie w łachach.

A jak elegancka wokalistka, jaką niewątpliwie jesteś, odbiera zapowiedź innego wokalisty w jednej z komercyjnych stacji telewizyjnych? Cytuję: „Usłyszycie czaderski wykon piosenki Britney Spears! Będzie rew! To nara! Ścisik!”.

– Odbieram to jako znak czasu. I choć uważam, że każdy powinien umieć pięknie mówić po polsku, to w pewnych sytuacjach...

Skrótowa nowomowa jest OK?

– To pytanie tendencyjne.

W porzo. Przepraszam.

– Za co?! Było rew!

Ścisik.

TERAZ SZCZĘŚCIE

O dziwnym losie psa

Pan Tomek jako bardzo jeszcze młody student szedł do domu ze swoją narzeczoną. Już z daleka zobaczyli na wycieracze zupełnie obcego i całkiem kudłatego psa. Był pokiereszowany, a jedna jego noga zgięła się pod dziwnym kątem. Żadnego właściciela nie było w pobliżu widać, więc wzięli psa na ręce i udali się do weterynarza.

Musieli przeczekać parę psów bezwypadkowych. Kiedy przyszła ich kolej, weterynarz poinformował ich, że są dwa wyjścia. Mogliby zapłacić wielką jak na studenckie kieszenie sumę i wtedy weterynarz podejmie się operacji, która psa uratuje. Można też łagodnie psa uspić.

Nie jest łatwo nie być samodzielnym finansowo i mieszkać u rodziców. Trudno leczyć za ich pieniądze obcego psa i jeszcze sprowadzać go na zawsze do domu. Postanowili zostawić psa własnemu losowi – czytaj: wybrali drugie wyjście – i zaczęli się powoli oddalać z tego miejsca.

Nagle jednak, po kilkudziesięciu krokach, jak na komendę odwrócili się i pobiegli z powrotem. Nie mieli żadnego planu. Czuli tylko, że nie mogą opuścić psa, który już nie był taki obcy, bo przecież z ufnością oddał się w ich ręce. Z impetem wpadli do weterynarza. Zobaczyli kobietę, na którą przedtem nie zwrócili uwagi. Bez wstępów oświadczyła, że wszystko już opłacone i zaraz zacznie się operacja. Nie może jednak wziąć psa do siebie.

Para studentów odetchnęła. Co za dziwne szczęście ma ten pies. A oni? Przecież przed chwilą jeszcze nie widzieli żadnego wyjścia z sytuacji.

Ciapek już 10 lat żwawo, na trzech nogach, towarzyszy panu Tomkowi. Ma też swoją papugę – a raczej papuga – Puśka, bo ten postanowił kiedyś zaokrętować się na balkonie pana Tomka. Nie wiadomo tylko, kim była pani, która zapłaciła za operację. Może losem?

MAŁGORZATA BARANOWSKA

„TOTEŻ WŁAŚNIE”

Jako uzupełnienie znakomitego felietonu prof. Jerzego Bralczyka „Właśnie tak” („P” nr 15/2964) chcę opowiedzieć historię, jaka przydarzyła mi się gdzieś w roku 1987 czy 1988, kiedy członkowie polskiego PEN Clubu zwrócili się do prof. Bogdana Suchodolskiego, podówczas przewodniczącego Narodowej Rady Kultury, by zwołać nieformalne zebranie członków PEN, na którym omówiono by problem „odwieszenia” naszej organizacji.

Prof. Suchodolski się zgodził i ustalono, że na zebraniu nie będzie powołanego na początku stanu wojennego tak zwanego zarządu komisarycznego PEN złożonego notabene z osób niebędących nawet członkami polskiego PEN Clubu (*nomina sunt odiosa*).

Kiedy więc zebraliśmy się w jednej z sal Zamku Królewskiego, ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że owi członkowie komisarycznego zarządu są na sali. Prof. Suchodolski wszedł, zagał zebranie i stwierdził: „Jesteśmy w gronie członków PEN Clubu polskiego, nie ma nawet zarządu komisarycznego”. Na to zebranie: „Są, są, siedzą tutaj” itd. Na co niezbity z pantałyku prof. Suchodolski: „To też właśnie”.

JANUSZ ODROWAŻ-PIENIAŻEK

WERNYHORA-HAJDAMAKA

Łukasz Drewniak w recenzji z wrocławskiego przedstawienia „Wesela” („P” nr 15) najbardziej chwali pomysł z Wernyhorą jako „hajdamaką, kozackim rezunem” i wi-

dzi w nim – jeśli dobrze zrozumiałem – symbol ponurego dziedzictwa sarmackiego. Żałuje tylko, że pomysł ten jest wyizolowany z całości spektaklu.

Nasuwa się kilka pytań:

1. Czy można na scenie wykreować ukraińskiego hajdamakę, który byłby zarazem symbolem dziedzictwa sarmackiego, a więc polskiego i szlacheckiego?

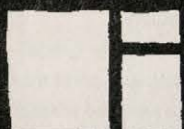
2. Jak uzgodnić koncepcję Wernyhory-hajdamaki z tekstem dramatu, w którym mówi się o nim jako o „wielkim panu”, „jednym z tych Polaków, co są piękni”, a on sam nazywa rezunów „ludem przeklętym, przekleństwami potępionym”?

3. Czy można wmontować Wernyhore-hajdamakę w całość „Wesela”, w którym występuje on jako zwiastun ogólnonarodowego powstania dokonanego w atmosferze „wielkiej Zgody”?

4. Po cóż sprowadzać do bronowickiej chaty ukraińskiego rezuna, skoro już przedtem pojawił się tam rodzimy, zachodniogalicyski rezun – Szela?

Uznaję swobodę reżyserów wobec literatury tekstu. Więcej: zachęcałbym ich, by dla uwyrażenia swej koncepcji śmiało teksty klasyki przerabiali, a nawet dopisywali do nich (przy pomocy literatów) to, co w tym celu jest potrzebne. Trudno natomiast zgodzić się z sytuacją, gdy pod hasłem „żadnych skrótów i znaczeniowych przeinaczeń” (cytowanym przez Drewniaka) rozprowadza się „pomysły” nie tylko gwałcące bezsporną semantykę lokalną tekstu dramatu, lecz także niezborne z jego całością.

MAREK WIERCZYŃSKI



TAM NAJDUŻEJ
ŚWIATŁO KTOŚ
PALI.

POSEŁ TAM
MIESZKA,
HARUJE.

WILHELM SASNAL

PRZE
KROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

REDAKTOR NACZELNY:
Roman Kurkiewicz

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:
Maria Świetlik

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Bauman (szef), Ewa Biała,
Magda Gędziorowska

KULTURA:
Manana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca),
Marcin Baran, Paweł Dunin-Wąsowicz,
Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan,
Tadeusz Nyczek, Magda Sendeczka,
Marcin Sendeczka, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:
Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz,
Agnieszka Litorowicz-Siegert,
Filip Łobodziński, Wojciech Maziański,
Jakub Mielnik, Magda Papuzińska,
Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz,
Anna Tamowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ:
Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie),
Marcel Andino Velez

NAUKA:
Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:
Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich,
Łukasz Dziedzic, Dos Dominos

FOTOEDYCJA:
Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska,
Ewa Morgunow, Marek Szczepański,
Bogdan Kręzel (fotograf)

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe

PRODUKCJA:
Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

ADRES REDAKCJI:
ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 584 25 25,
faks (0-prefiks-22) 584 25 21
e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA:
Edipresse Polska SA,
ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 00,
faks (0-prefiks-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES:
Krystyna Kaszuba

**WICEPREZES-DYREKTOR
ZARZĄDZAJĄCY:**
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

**DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:**
Agnieszka Smit

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:
Katarzyna Bem

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
tel. (0-prefiks-22) 584 22 28,
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:
Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek,
Bartek Kluczny, Adriana Olczak,
Marzena Kiedacz (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 19,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 94
faks (0-prefiks-22) 584 22 98

Druk:
Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła,
tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

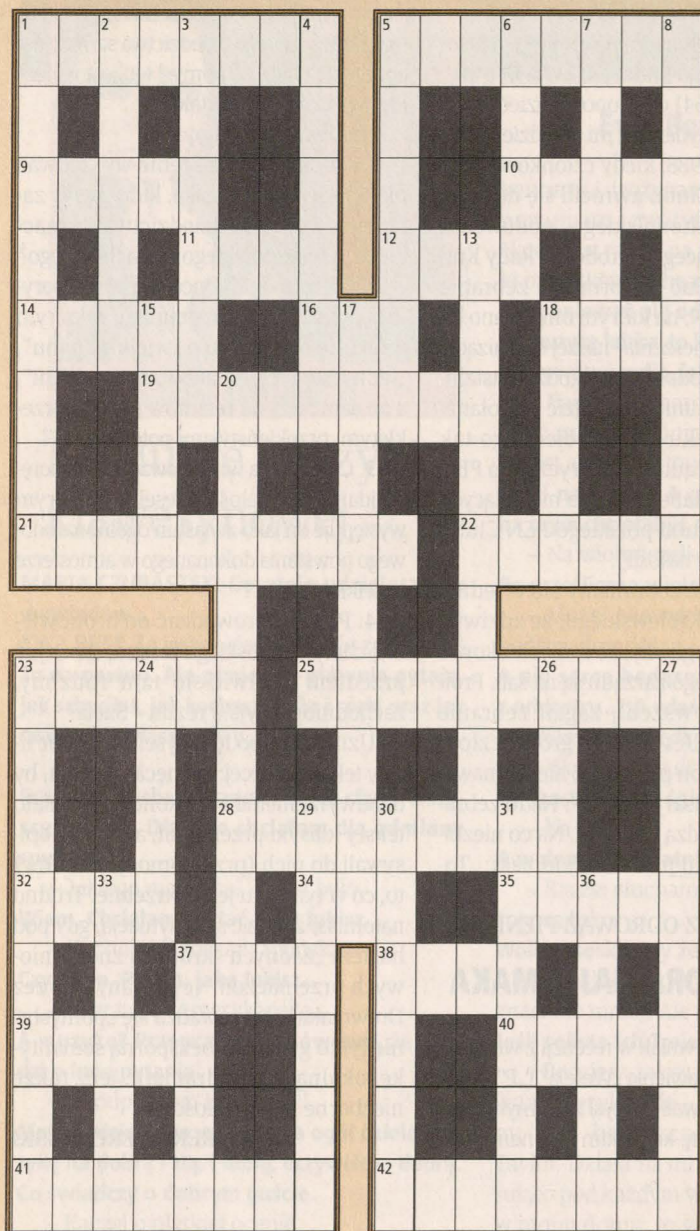
PRENUMERATA:
u Wydawcy

Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 29,
faks (0-prefiks-22) 584 22 32

przez pocztę
przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju

przez Ruch SA
informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31,
faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wyodrębkowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną. Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



KRZYŻÓWKA nr 19

POZIOMO:

- 1 jeździ na boazerii
- 4 skąpiec
- 9 pała w Rzymie
- 10 dwa królestwa za
- 11 koks
- 12 Polacy – nie
- 14 Nowy w Warszawie
- 16 lata
- 18 Gdynia – polskie na świat
- 19 garderoba na Helu
- 21 całki na baterię
- 22 gdy konieczna – usprawiedliwiona
- 23 pieska uprząż
- 25 mszary opału dostarczające
- 28 nie możemy napisać co
- 32 w Bułgarii w lutym
- 34 puszcza się w pończoszkach
- 35 król pokojowego stolarstwa
- 37 trawa
- 38 świeciturka
- 39 dwoje na huśtawce
- 40 funkcja korby
- 41 twarz kamienicy
- 42 od żurawia do indyka

PIONOWO:

- 1 nagajowy z serem
- 2 naszyjniki stanu wojennego
- 3 nieczytelnik „P”
- 4 do regulowania w samochodzie
- 5 sypialnia skrzydlatych
- 6 czarny kolor
- 7 przed zajechał młody panek
- 8 safandula
- 13 z nogami w stawie
- 15 malajski szal
- 17 bez pomocy akuszerki
- 18 do mielenia
- 20 przysparza ambarasu w negocjacjach
- 23 nie znoszą cukru, który nie jest w kostkach
- 24 nie ma bez ognia
- 26 ambitny pilot
- 27 forma muzyczna Gombrowicza
- 29 wyjątkowy papież
- 30 po ostatnim klapsie
- 31 włoski rzeźbiarz klasycystyczny
- 33 lubimy je, choć stone
- 36 poznańskie
- 37 na ustach Wodeckiego

Rozwiązanie krzyżówki nr 16:

- POZIOMO:** 1. dyskurs 5. batonik 9. Kafka 11. Palatyn 13. Dania 15. tło 16. lis 17. królowa 21. krowa 22. Greco 23. potomstwo 24. motto 26. Roman 29. Karaganda 32. Iza 33. lew 34. Marta 37. rozłogi 40. obawa 41. kwiatek 42. komnata
- PIONOWO:** 1. dobytek 2. Sapporo 3. Ural 4. skat 5. bard 6. tran 7. nowalio 8. krzesło 10. fantasmagoria 12. akr 14. Ali 17. kapok 18. Artur 19. Natan 20. agora 24. mniszek 25. trampki 27. maligna 28. nowenna 30. aut 31. dół 35. raut 36. amok 38. znak 39. omam

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 14 nagrody wylosowali: Tomasz Paślūt, Łęczyce; Zygmunt Mączka, Tarnobrzeg; Józefina Bartyzel, Toruń; Anna Berezcka, Bielsko-Biała; Jerzy Swoboda, Piastów. Gratulujemy!

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

Który jest który?

Inspektor spoglądał to w notatkę, gdzie miał zapisane zadanie do wykonania, to przed siebie. A stało przed nim trzech dobrze wyrosniętych, krótko ostrzyżonych osiłków. W notatce natomiast było tak: „Niebezpieczne trojaczki. Wacek zawsze kłamie. Placek zawsze mówi prawdę, a Jacek, jak to Jacek, raz skłamie, raz mówi prawdę. Polecenie: przesłuchać Placka”.

– Gorzej niż z bliźniakami – pomyślał Inspektor. – I jak tu rozpoznać Placka? Tyknął kawy, zaciągnął się papierosem.

– Oni wszyscy jak placki – pomyślał znowu Inspektor. I przestał myśleć. Zdał się na intuicję. Podszedł do środkowego, stanął przed nim twarzą w twarz, szturchnął go palcem i bezosobowym, oschłym tonem spytał: – A ten, jak ten ma na imię?

– Jestem Jacek – powiedział środkowy.

– Ten to Placek – powiedział ten z prawej strony środkowego.

– Ten to Wacek – powiedział ten trzeci.

Cofnął się nasz Inspektor, głową potrząsnął. Znowu kawa, znowu papieros, znowu intuicja i... już wiedział, który jest który i którego ma wziąć na przesłuchanie.

No właśnie. Który był który?

Otrzymaliśmy wiele odpowiedzi na konkurs **CZY COŚ CI TO MOVIE?** z numeru 13. Dziękujemy! Oto prawidłowe tytuły filmów: 1. „Nie ma mocnych” 2. „Magnat” 3. „Rozmowy kontrolowane” 4. „Wejście smoka” 5. „Psy wojny” 6. „Osiem i pół” 7. „Tylko dla orłów” 8. „Niemoralna propozycja”. Nagrody (kasety wideo z filmem „Magnolia”) wylosowali: Klara Białkowska, Katowice; Bogusława Zawieja, Augustów; Helena Piecuch, Rzeszów; Anna Żolnierek, Wrocław; Joanna Wołosiewicz, Pionki; Anna Mierzejewska, Wyszki; Ewa Ponikowska, Nowa Słupia; Lidia Wegner, Mosina; Jadwiga Wojdyło, Kraków; Jolanta Sierszeńska, Poznań. Gratulujemy!

Odpowiedź z ostatniego numeru

Spróbujmy uprościć naszą zagadkę o zagadkach. Wyrażenie „ta zagadka, którą rozwiązałeś później” zastąpmy wyrażeniem „zagadka druga”.

Nasza zagadka o zagadkach przybiera teraz postać: Czy ta zagadka, którą rozwiązałeś wcześniej, zanim rozwiązałeś zagadkę drugą, była trudniejsza niż zagadka druga, jeśli zagadka druga była łatwiejsza niż zagadka, którą rozwiązałeś wcześniej, zanim rozwiązałeś zagadkę drugą? Teraz wyrażenie „zagadka, którą rozwiązałeś wcześniej, zanim rozwiązałeś zagadkę drugą”, zastąpmy wyrażeniem „zagadka pierwsza”.

I nasza zagadka o zagadkach brzmi teraz: Czy zagadka pierwsza była trudniejsza niż zagadka druga, jeśli zagadka druga była łatwiejsza niż zagadka pierwsza? Odpowiedź oczywiście brzmi: TAK.



JOLKA nr 19

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

Ł15 – A11 – C4 – L13 – Ł7 / D10 – L5 – H16 – G15 – H6 – K1 – Ł3 – J7 – K4 / C14 – D7 – E14 – H11 – E8 – E3 / F9 – E6 – C2 – Ł14 / F12 – I4 – H3 / E12 – B7 – L16 – A14 – I7 / D1 – K12 / F14 – B16 – A2 – I11 – J5 – A15 – Ł13 – F7 / I15 – L7 – D4 – K5 – L1 – G13.

Wyrazy 13-literowe:

- nie tylko zielonym zatrawa • owoc niezdecydowania jałowca

Wyrazy 9-literowe:

- baba z wozu duszy • doskonałemu przychodzi lekko

Wyrazy 8-literowe:

- bliżej niż statek, którego już nie widać • na drzwiach lodówki w służbie pamięci

Wyrazy 7-literowe:

- wojsko, co z łodzi schodzi • kartka z charakterem • liże znaczek • makaron, po który się miewa fantuszek • przede wszystkim • recepta na stop • im wyżej wejdiesz, tym większa przepaść pod tobą • koniec całosci ubitego jelenia

Wyrazy 6-literowe:

- głęboki korzonek w drzewie genealogicznym Włocha • jeden

- ma do kogoś, drugi z kimś, a trzeci czyta • grafika z podręcznika

- kastaniety, gitara, para

- internetowa brama • elektryzuje żabę • co trzy głowy to nie Burek

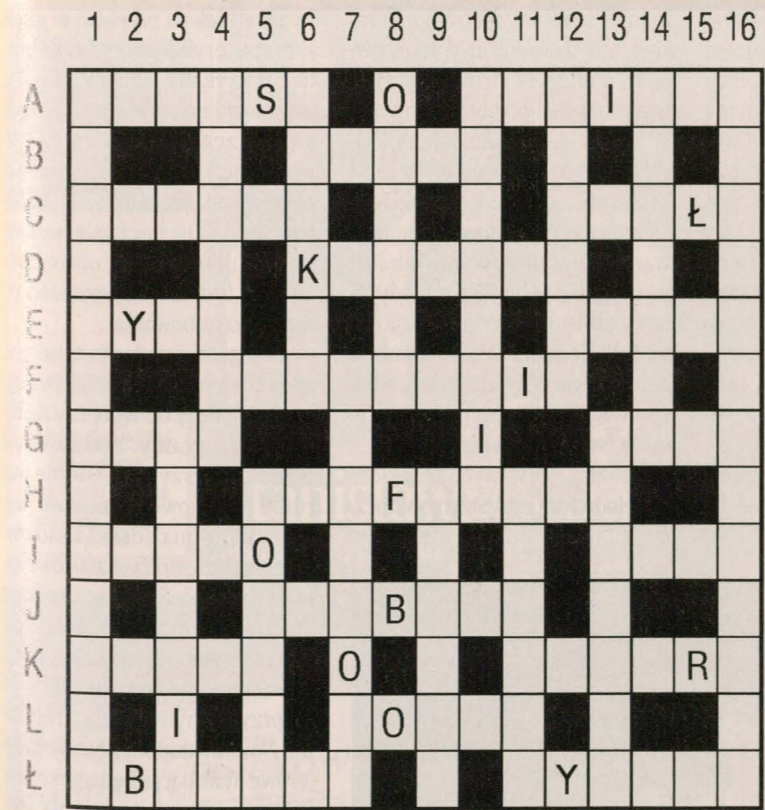
- patronka wycieczek do klasztoru (z Szekspira) • patron używanej odzieży (z Biblii) • schodzi z kopyta

Wyrazy 5-literowe:

- szklana ze sportem • mają rączki, nie mają kółek • chętnymi się mierzy • zmiłuj się nad nami! • miasto z zaatakowanym metrem • zielony los seradeli

Wyrazy 4-literowe:

- na bródkę hiszpańską lub na Harry’ego Pottera • nowość w kantorach • smali prążki do popeliny • wielkie – wielkim zawracaniem głowy



AUTOR: JERZY BUZEK

Rozwiązanie jolki nr 16: ZIEMIA, STARY INSTRUMENT PO BRZEGI PEŁEN MUZYKI (z Teatryku „Zielona Gęś” K.I. Gałczyńskiego)

Rzędami: przepis, frędzelek, wypad, kurs, emir, brawo, akcent, yeti, garnuszek, uzda, trucht, złoto, menu, aura, moral, ceregiele, lunatyk.

Kolumnami: powab, rudzielec, zupka, gatunek, podkowa, rzutnia, sfora, skrucza, tunel, odsiecz, egzamin, heretyk, obrót, debiutant, oblok.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 14 nagrody wylosowali: Leszek Dorochowicz, Suwałki; Zofia Istelska, Kraków; Alicja Dziekońska, Warszawa; Adam Cieślak, Wisła; Lidia Sujczyńska, Otwock. Gratulujemy!



KASIA
KASIU!
JA CIĘ UWIELBIAŁEM-

CAŁĄ DUSZĄ,
CAŁYM CIAŁEM,
A ŻE DO MNIE
NIE MASZ CHĘCI



WIĘC DZIŚ WYRWE CIĘ
Z PAMIĘCI!
Butenko pinxit

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 19 maja (decyduje data stempla pocztowego) nadesłają poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy powieści Imre Kertésza „Los utracony” (Wydawnictwo W.A.B.).



Nasz nowy adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 19 lub Krzyżówka 19.

WYTYCZ WZROK
rozwiązanie ze s. 69.

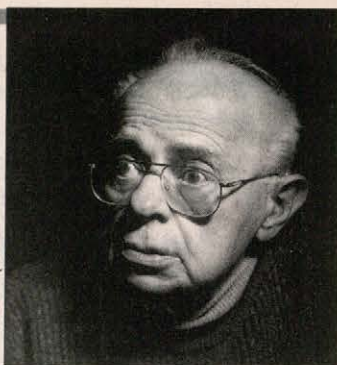
Modele i rzeczywistość

Przeprowadzana za pomocą komputerów symulacja dotyczyć może różnych dziedzin wiedzy, ale kapituluje wobec medycyny i polityki

W pierwszym wydaniu mojej książki „Summa Technologiae”, którą nazwałbym dzisiaj najchętniej przewodnikiem po możliwościach czasu przyszłego, znajdował się między innymi rozdział zatytułowany „Modele i rzeczywistość”. Mówiąc najbardziej ogólnie, chodziło mi o zastępowanie doświadczalnych prac ich modelowaniem możliwie wiarygodnym prognostycznie i tym samym zdolnym zastąpić mózół badaczy. To co dzisiaj urzeczywistnia się pod nazwą symulacji.

Rozwój informatyki otworzył w tej dziedzinie zupełnie nowe możliwości. W pracach nad pokojowym i militarnym wykorzystaniem energii atomowej przeprowadzana za pomocą komputerów symulacja pozwala już na prawie całkowitą rezygnację z rzeczywistych użyć broni nuklearnej, dawniej projektowanej i wypróbowywanej w seriach wybuchów na poligonach. Również w wielu rozmaitych domenach badawczej praktyki laboratoryjnej prowadzone są symulacyjne prace dotyczące na przykład zjawisk mikroświata, a w szczególności powstawania i zachowania się cząstek elementarnych. Prawdopodobieństwo uzyskania sukcesu, czyli dokładnego wirtualnego odtworzenia tego, co przy powziętych założeniach może zajść realnie, jest na ogół wysokie.

Nie znaczy to jednak, że potrafimy zastępczo lub wyprzedzająco symulować wszystko. Dziedziną, w której modelowanie rzeczywistości niczego prawie nie jest w stanie dokonać, jest światowa arena zajęć politycznych. Nie miałem zresztą, pisząc wspomnianą książkę, najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie będzie. Prawdziwie rzecz można, że polityczna przyszłość świata jest najbardziej nieprzewidywalna – szczególnie, jeśli ją mierzyć rozziwem oczekiwania każdej teraźniejszości i zachodzących przemian. Polityczne wypadki największej skali, jak na przykład rozpad imperium sowieckiego, w ogóle nie dawały się sensownie przewidzieć, aczkolwiek były do dyspozycji liczne dane świadczące o tym, że beton So-



FOT. BOGDAN KRZYZEL

Co Pan na to, Panie LEM?

wietów kruszał w miarę postępującego wyścigu z Zachodem.

Natomiast w sferach niepolitycznych, jak astrofizyka z jej odgałęzieniem w postaci kosmonautyki, w dziedzinie fizyki, ekologii, badań geologicznych, a także w wypadkach mających wykręcić, jak wyglądała głęboka przeszłość naszego globu, naśladowania perspektywnych procesów odznaczają się dużą wiarygodnością. To jednak nie znaczy, że zdołaliśmy tak udoskonalić symulację, iż potrafimy dzięki niej rozpoznawać najrozmaitsze stany mikro- i makroświata w sposób ścisły. Efektywność zabiegów symulacyjnych posuwała się i posuwa nierówno. W takich zagadnieniach, w których żadna porządna wyjściowa kwantyfikacja nie jest możliwa, nie może być też mowy o modelowaniu komputerowym. Tak jest na przykład w biologii z medycyną na czele. Na tym froncie możliwe były jedynie przewidywania ogólnikowe, z których jedno sprawdziły się lepiej, inne natomiast całkowicie nas zawiodły.

Można zauważyć, że proces projektowania i stworzenia sztucznej inteligencji także nie podle-

gał modelowaniu. Wskutek tego zrodzone w połowie ubiegłego stulecia przeświadczenia pierwszej generacji cybernetyków o rywalizacji możliwościom ludzkiego mózgu, a nawet prześcignięciu owych sprawności, okazały się mylne. Obecnie pojawiła się tendencja niejako odwrotna względem zamierzonego celu, czyli obdarzenia rozumem maszyny. Przypuszczałem co prawda, że tak się stanie, ale nie sądziłem, że owa dążność przybierze aż takie rozmiary jak na przykład w gałęzi skomputeryzowanego szkolnictwa amerykańskiego. Kwalifikacje umysłowe uczniów niejako zniża się, wprzęgając w systemy informatyczne, jakie dziś programowanie jest w stanie realizować, wskutek czego dzieci uczą się posługiwać komputerem na niekorzyść zwykłej ludzkiej umiejętności pisania i rozumowania.

Najogólniej wolno powiedzieć, że jakoś prawdziwościowa symulacji zależy od tego, czy służące jej programy rzeczywiście ogarniają wszystkie istotne warunki wyjściowe i brzegowe procesu, który ma zostać zbadany. Ponieważ często owe startowe założenia są niedostateczne bądź błędne, razem z molochem całego już przemysłu symulacyjnego naukowcy bywają zaskakiwani nieprzyjemnymi niespodziankami. Najprawdopodobniej komputerowe symulacje będą poszerzały front swego zastosowania, lecz nie tyle powinniśmy oczekiwać przejęcia przez nie roli człowieka, ile raczej współpracy. Pytanie, czy powstanie kiedyś symulator ludzkiego rozumu godny miana genialnego, pozostaje otwarte.

STANISŁAW LEM
29 kwietnia 2002



FOT. DIMITRI SEZONOV/KASHIENKOV

Św. Stanisław

biskup – patron jedności Polaków

Jan Paweł II
KOLEKCJA

Odcinek 28 (3) św. Stanisław cena 4,29 zł (zawiera VAT 7%)

Jan Paweł II KOLEKCJA

NIEZWYKLE HISTORIE LUDZI WIARY

Księga Świętych

MEJSCA ŚWIĘTA – TU ZGINAŁ ŚW. STANISŁAW

ŻYCZENIA ŚW. STANISŁAW W KULTURZE POLSKIEJ

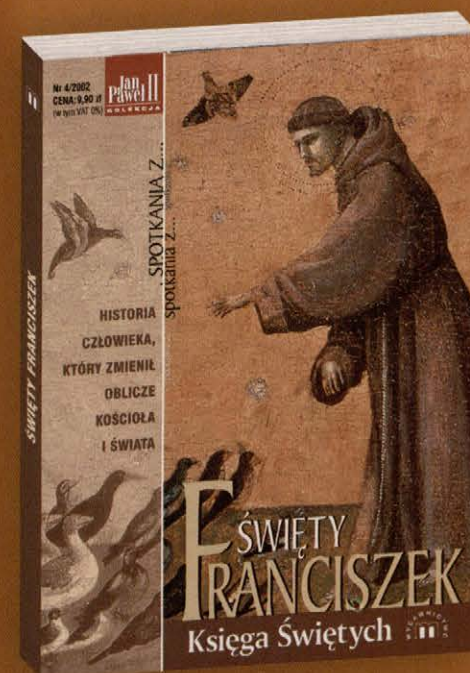
LEGENDA JAN BISKUP WSKRZESIŁ HOMESA PIOTRA

KRONIKA
NAJNOWSZY RAPORT
O ZDROWIU PAPIEŻA
POROBT: LAGIEWNI CZEKAŁ NA JANA PAPIEŻA

Stanisław ze Szczepanowa
Biskup i męczennik

Święty Stanisław patron Polaków

Księga Świętych poleca:



Św. Franciszek z Asyżu to najpopularniejszy i najsympatyczniejszy święty katolicki. Przyjaciel wszystkich ludzi i wszystkich istot żyjących, które nazywał braćmi.

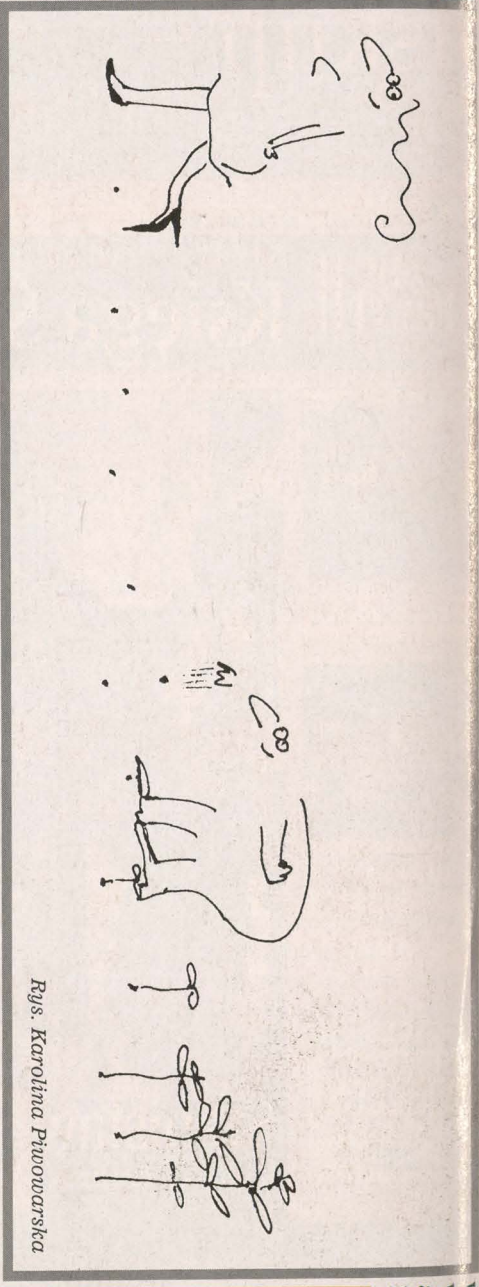
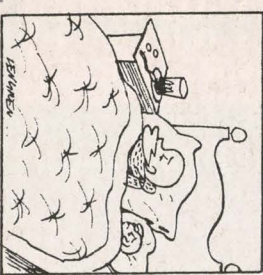
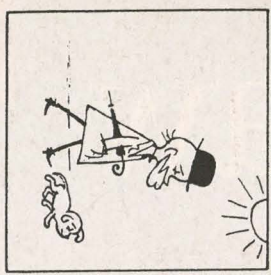
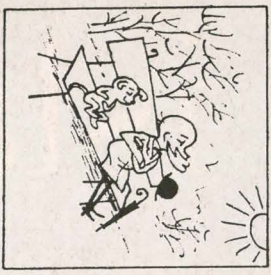
Najnowszy numer i książka już w kioskach!

KUP PAŃ KAMIENI

„Dziennik Polski” z 2 marca informuje o pracach zespołu kontrolnego
 „Komisji Rewizyjnej, który miał zbadać, jak gmina zabezpiecza prawa lokatorów w sprzedawanych kamieniach”.
 Zeby tylko członkowie Komisji nie okazali się twarzą jak głązy.
 (Nadesłała Barbara Raęczowska z Krakowa)

HAI!
 Japonka to ma życie – ledwie wstanie z łóżka i już w kinomno.

FILUTER



Rys. Karolina Piwowarska

KINOTEATRZYK P. JURKA

„Dziś nie o premierze, tylko zapowiedź, czyli

„Terminator III”
 Występują:
 TERMINATOR III
 PUBLICZNOŚĆ

TERMINATOR III
 (wychodzi na środek sceny)
 – Witam serdecznie. Oto ja, wasz nowy, lepszy Terminator. Już wiem, dlaczego płaczećcie. Wiem, że nie wolno zabijać. Wiem jeszcze wiele innych rzeczy. Kocham zwierzęta, kocham przyrodę. Kocham zachody słońca nad morzem. Czytam Norwida. (Wymruje z kieszonki „Poezja i dobroć”, niezreżymowana pauza)
 Hmm... Chciałbym zatem wygościć krótką pogadankę...
PUBLICZNOŚĆ
 (Jest w najwyższym stopniu zdegradowana) (zapada litościwie)

KRUSZYWKI

„NewswEEK” (nr 6/2002) opisuje historię Elektronik System, producenta podstuchów i wykrywaczy min. Otóż w roku 2001...

„10 osób pracujących w firmie przesiadło się do nowego biura i magazynów o powierzchni 1,5 m kw.”.
 Budynek w stylu secesyjnym, przepyszny, przepiękny.
 (Nadesłała Iwona Starak z Bilgorzja)

KŁOPOTÓW Z MATEMATYKĄ CD.

W „Gazecie Polskiej” nr 15 minister edukacji poprzedniego rządu M. Handke odstania kulisy swojej dyktanda: „Podjętem próby pozyskania dla samorządów obiecanych im w Karcie pieniędzy. Ostatecznie chodzilo o 800 milionów. (...) Rozmawiałem z ministrem Bau-cem. Propnowałem: dajmy szybko te 800 tys. i problem zniknie.”

Tytuł wywiadu: „Nie było żadnej pomyłki w wyliczeniach”.
 (Znalazł szef działu)

HUMOR W SZKOLNYCH ZESZYTACH

Człowiek jest ssakiem, bo nie znosi jajek, a jeśli już, to je zjada.
 W pierwszych latach po wojnie zaczęło się dynamicznie rozwijać hutnictwo, budownictwo i połoźnictwo.
 Stolik padł trupem. Potem bardzo żałował swojego czynu, ale było już za późno.
 Pojechał do Aniutki na toż śmierci.
 Ślimak rozmawiał z ziemią, ludzkim głosem.

Z GŁOWY...

Poezja jest ikebana słów, aforyzm – jednym ciętym kwiatem
...KRZYSZTOFA BILICY

TOFOTOFOTOFOTOFOTO



FOT. MONIKA ŁOBODZIŃSKA

MEOZWIĄZEK

Reklama po polsku
 „Trybuna Śląska” nr 19 ma prawdziwego newsa z dziedzinie sportowych kad:
 „Prezes Polskiego Związku Bokserskiego, Michał Lisickiewicz, przybywa obecnie w Sarajewie”.
 Wiadomo, że z ratlerkiem w piłce nie zagrasz – tylko bokserzy!
 (Nadesłała A. Piasinska, Tychy)

ARTUR ANDRUS
 wiersz o tym, że powinniśmy wybierać, ale pamiętać, a zwycięstwo musi być po naszej stronie

Jan Świtez – maź niejakiej Jadwigi Szoc Świtezianki – Przysiągł mieć żonę Polke I... skandynawskie kochanki.
 Żeby z tej namiętności Móc chociaż trochę korzystać, Pływa co dwa tygodnie Ze Świnoujścia do Ystad.

Świtez wyznał kolegom:
 „Ja to je tak zbalanucę, Po czym ni stąd, ni zowąd Wszystkie kochanki porzucę.”

Bo co mi tam Hiszpania, Włochy, Holandia czy Francja... Porzucić Skandynawkę! To to jest ekstrawaganca!”

Państwo być może myśla, Ze on być może idiota. Niel! On tylko pobiera Odszkodowanie za Potop.

Dwie zostawił z drugami, A trzecia zostawił z dzieckiem, Tylko jednej nie uwiodł... Nazwał ją Klekską pod Kleckiem.

(Na pamiątkę porażki Wojsk Stefana Czarnieckiego W maju roku tysiąc sześćset Pięćdziesiątego szóstego).

Popatrzcie na Świtezia, Mężczyźni! Młodzieńcy! Chłopcy! Czas pomścić biedną ziemię Spontawieraną przez obcych.

Niech każdy z was wybierze Dowolny fakt historyczny I niech smialo przyjmie Półgęzy z patriotycznymi!

Śpiew (na znaną melodie):
 „OBOK ORŁA ZNAK POGONI I SZWEDZKA KORONA, RÓŻNE SĄ POJĘCIA ZEMSTY I OJCZYZZNY ŁONA...”